

PATTI BERG

Zielona Gwiazdka

Prolog

Merry Nicholas wlokła się przez Park Centralny, dźwigając dwie torby podróżne. Jej luźna czerwona suknia i wykrochmalony biały fartuszek powiewały na letnim wietrze, gdy manewrowała pomiędzy wózkami, szczekającymi psami i bawiącymi się dziećmi. Doszła do Piątej Alei, zatrzymała się i zadarłszy głowę spojrzała na niebo, mrużąc oczy przed słońcem. Białe obłoki ułożyły się w kształt trzech postaci - kobiety, mężczyzny i jeszcze jednej kobiety. Zamrugła oczami ponad oprawką zsuniętych na nos prostokątnych okularów.

- Oj, tak, tak, tak. - Pokiwała głową. - Wiem, czego tu potrzeba. Nie martw się. Mikołajku. Zajmę się wszystkim.

Obłoki rozplynęły się, a Merry podreptała swoją drogą, podśpiewując:

- Tra la la la la, la la, la, la.

RS

Rozdział pierwszy

Jedenaście par oczu z lękiem wpatrywało się w mężczyznę siedzącego u szczytu stołu konferencyjnego. Wszyscy milczeli. Wstrzymywali oddech, dopóki O'Brien nie przewrócił kolejnej kartki.

Śledzili każdy jego gest, gdy z uwagą, strona po stronie, oglądał projekt nowego czasopisma. Doskonale zdawali sobie sprawę, że nie przeoczy najmniejszego szczegółu. McKenna O'Brien wymagał doskonałości: wszystkich kropek nad „i”, a Boże uchroni, jeśli ktoś zrobił błąd ortograficzny.

McKenna O'Brien - dla przyjaciół Mac, a dla personelu pan O'Brien. Darzyli go szacunkiem. Kupował szalone, lekko naszkicowane pomysły i odnosił sukcesy. Zatrudniał ludzi ze względu na ich talenty, a nie wykształcenie. Miał władczą, silną osobowość i rzadką zdolność robienia dużych pieniędzy na wszystkim, czego tknął. Powiadano, że McKenna O'Brien może przemienić w złoto nawet słomę i wielu w to wierzyło.

O'Brien dotarł do ostatniej strony i zawahał się. Jeszcze raz przyjrzał się okładce. Bębniąc palcami po stole, przesuwając wzrokiem po twarzach zgromadzonych. Było mu przykro, że niepokoją się, czekając na jego werdykt, ale nie okazał nawet najmniejszego śladu emocji. Żadnego skrzywienia, żadnego uśmiechu, nic, co wskazywałoby na aprobatę lub niezadowolenie.

Spojrzał na Kathleen Flannigan, jego wyblakłe od słońca, rudawoblond brwi nad szaroniebieskimi oczami zmarszczyły się.

- Czy mogłaby mi pani powiedzieć, skąd wziął się pomysł tego właśnie czasopisma?

Kathleen spojrzała mu prosto w oczy.

- Zatyłowałam je „Sukces”, a za punkt wyjścia posłużyły mi pańskie pomysły. Piszemy na najbardziej aktualne tematy. Zatrudniamy doskonałych dziennikarzy i z pierwszych analiz wynika, że będziemy mieli największy nakład spośród wszystkich naszych tytułów.

- Nie widzę tu żadnych moich pomysłów, panno Flannigan.

- Chciał pan mieć nowe i nowatorskie czasopismo dla kobiet i takie właśnie opracowaliśmy.

Mac oglądał makietę.

- Nie. Ja chciałem mieć czasopismo dla kobiet interesu, które odniosły sukces, osiągnęły szczyty.

Podniósł wzrok na Kathleen, zlustrował jej niegustowny, niemodny granatowy kostium, a potem znów spojrzał na makietę.

- One chcą czytać o inwestowaniu, finansach i... o tym, jak się ubrać do pracy.

- Myli się pan.

Gwałtownie uniósł głowę. Nikt nigdy nie powiedział mu, że się myli. Ale Kathleen Flannigan naskakiwała na niego przy każdej okazji od dnia, gdy ją zatrudnił.

- Wobec tego, niech mi pani powie - zażądał - czego chcą kobiety sukcesu.

- Chcą być postrzegane jako te, które odniosły sukces, niezależnie od tego, jaka jest ich sytuacja życiowa, czy są gospodyniami domowymi, czy też piastują kierownicze stanowiska. Nie życzą sobie, aby spoglądano na nie z góry, tylko dlatego, że są służącymi, sekretarkami lub też wykonują zawód, który komuś może się nie wydawać specjalnie atrakcyjny. - Kathleen głęboko zaczerpnęła powietrza, zmierzyła go wzrokiem, a następnie spojrzała na swoje ramię i bardzo ostrożnie, teatralnym gestem, strzepnęła mikroskopijny pyłek z żakietu. Mac omal się nie roześmiał z tego przedstawienia. Zachował jednak powagę i z założonymi rękami odchylił się na oparcie fotela, aby przemyśleć to, co usłyszał. Pozostali przestali dla niego istnieć, gdy zatrzymał wzrok na oczach Kathleen, tych samych błękitnych oczach, które sześć lat temu doprowadziły go do szaleństwa, tych samych, których nie zauważał przez następnych pięć lat. Spozstrzegł, że kobieta jest zdeterminowana, że się nie podda.

Okładka magazynu zaślniła w słońcu jaskrawymi barwami i Mac zmusił się, by nie myśleć o Kathleen i zająć się trzymaną w ręce makietą. Właściwie jego zdanie na temat „Sukcesu” nie miało znaczenia. Co on wiedział na temat czasopism dla kobiet? Zatrudniał ludzi takich jak Kathleen Flannigan, bo znali się na rzeczy i kochali swoją pracę, a Kathleen miała szczególne wyczucie tego, co się podoba czytelnikom.

Kathleen. Nie chciał o niej myśleć. Od pięciu lat unikał tego rodzaju zebrań po prostu dlatego, aby się z nią nie spotykać. Dlaczego wziął udział w dzisiejszym? Dlaczego skazywał się na tortury oglądania kobiety, o której starał się zapomnieć?

Odsunął imponujący skórzany fotel i z makietą w ręku podszedł do okna. Spojrzał na wieżowce otaczające budynek. Zauważył ze smutkiem, że widać stąd tylko skrawek błękitnego nieba. Dwadzieścia lat temu z okna jego biura roztaczał się rozległy widok; teraz wszystko zasłoniły drapacze chmur. Jak to się stało, że Nowy Jork tak go pochłonał? Już od dawna odczuwał zmęczenie, dlaczego więc nie wyjdzie stąd i nie zostawi tego wszystkiego? Ponieważ odejście nigdy nie jest łatwe. Czyż nie przekonał się o tym, odchodząc od Kathleen?

Odwrócił się i stwierdził, że wszyscy czekają na jego decyzję, nie spuszczać z niego oczu. Mógł bez trudu anulować całe przedsięwzięcie. Mógł wrzucić do kubła na śmieci efekt ich półrocznej pracy. Ale, w gruncie rzeczy, jedyne, co miał do zarzucenia temu czasopismu, to fakt, że kierowała nim Kathleen.

Dobrze wiedział, że nie może zrezygnować z pisma, które może być kopalnią złota, tylko dlatego że nie chce mieć do czynienia z kobietą, która je stworzyła.

Nie odrywał oczu od Kathleen, podczas gdy ona przewiercała go wzrokiem na wylot. Pomimo ucisku w gardle uśmiechnął się szeroko, przemierzył pokój kilkoma długimi krokami, po czym zatrzymał się obok niej. Położył na stole makietę. Pochylając swoją wysoką, liczącą ponad metr dziewięćdziesiąt postać,

oparł się o stół; jego twarz znalazła się tak blisko, że widział wszystkie pory na pozbawionej makijażu twarzy Kathleen.

- Skoro pani twierdzi, że to się uda, daję pani błogosławieństwo. Ale - wyprostował się - to pani dzieło. - Zniżył głos do szeptu. - Proszę nie oczekiwać ode mnie pomocy.

Niech to szlag trafi, Mac. Dlaczego zawsze pozwalasz tej kobiecie wyprowadzić się z równowagi?" Tak właśnie zapytałby jego ojciec, gdyby wówczas znajdował się w Sali konferencyjnej. Ale nie był w niej już od ponad pięciu lat i słowa rozległy się tylko w wyobraźni Maca, kiedy rozglądał się po dawnym gabinecie ojca. Zniszczone, lecz wygodne fotele, sięgające sufitu półki uginające się pod książkami, stare dębowe biurko, na którym Mac jako mały chłopiec wrył swoje inicjały, wszystko wywoływało czułe wspomnienia.

Wziął do ręki stojącą na biurku fotografię ojca i spojrzał w pełne ciepła, szare oczy starszego pana.

- Wczoraj stuknęło mi czterdzieści dziewięć lat. tato - szepnął - prawie pół wieku. I co osiągnąłem? Podwoiłem twoje imperium. Przebywałem wśród królów i prezydentów, ale jestem samotny. - Odegnął smutek i odstawił fotografię na miejsce, po lewej stronie biurka.

Zagłębił się w stosie papierów, marząc o tym, by praca, przedsiębiorstwo i wszystko to, co zaprzęta jego uwagę, zniknęło. Ścisnął palcami grzbiet nosa, próbując pozbyć się bólu głowy, który dokuczał mu od wczesnego ranka. Opadł plecami na oparcie fotela i rozmasował napięte mięśnie barku. Starał się nie marnować czasu na relaks, ale dziś sobie na to pozwolił. Zaczął się zastanawiać nad życiem, jakie wie dzie, i wcale nie był zachwycony.

- Przepraszam, panie O'Brien.

Nawet nie zauważył, że do gabinetu weszła Grace, jego sekretarka, i przyniosła następny plik zniechęconych papierów.

- Nie chciałabym panu przeszkadzać, lecz mam coś ważnego do powiedzenia.

- O Boże. Cokolwiek by się działo, proszę nie mówić, że pani odchodzi. - Pochylił się nad biurkiem, podpierając brodę rękami i uciskając palcami skronie.

- Nie - odparła Grace. - Ale może mnie pan wyrzucić.

- Dlaczego?

- Chcę porozmawiać na temat bożonarodzeniowego przyjęcia.

Przeniósł wzrok z drobnej kobiety o brązowych, mocno skręconych włosach na kalendarz.

- Mamy teraz czerwiec.

- Tak, wiem, że jest czerwiec - odrzekła Grace. - Ale żeby dostać dobre miejsce, trzeba je zarezerwować z góry. I...

- Pani wie, że nie świętuję Bożego Narodzenia.

- Świętował pan...

- Otóż to, Grace, świętowałem - przerwał jej znowu. - Świętowałem. Ale już nie świętuję.

- Za czasów pańskiego ojca świąteczne przyjęcia były tradycją. Nie pamięta pan, jak on lubił przebierać się za Świętego Mikołaja i rozdawać dzieciom prezenty?

- To było dawno temu. Teraz ludzie nie mają czasu na przyjęcia świąteczne. Są zbyt zajęci.

- To tylko wymówka.

- Zgoda, w porządku. To ja jestem zbyt zajęty, by organizować takie przyjęcia, i nie mam czasu na takie rozmowy.

- Świetnie - fuknęła Grace. - Spróbuję w przyszłym miesiącu. - Położyła na biurku stos dokumentów i podeszła do drzwi. Wychodząc dodała: - Mam nadzieję, że nie zdziwi się pan, jeśli zmienię pański podpis na Sknera O'Brien.

Mac ze zmarszczonymi brwiami spoglądał na zamykające się za Grace drzwi. Była dla niego bardziej matką niż sekretarką i dlatego mogła sobie pozwolić na takie uwagi. Jej lojalność i poświęcenie nigdy go nie zawiodły i Mac był przekonany, że Grace dokona żywota, nie opuszczając swego stanowiska.

Szybko przestał myśleć o Grace i przyjęciach; starał się pozbyć bólu głowy. Ale natychmiast opadły go inne myśli, a tekst umowy stał się niewyraźny. Oczy Maca powędrowały ku fotografii ojca, potem ku zdjęciu pulchnej, siwowłosej starszej pani o rumianych policzkach i miłym uśmiechu. Wszyscy w biurze myśleli, że to jego babcia. Prawda była inna. Lubiał srebrną ramkę i fotografię, która w niej tkwiła. Nigdy nie przyszło mu do głowy, by włożyć tam zdjęcie kogoś bliskiego. Był przywiązany do tej ramki i często wspominał świąteczny poranek Bożego Narodzenia, gdy ojciec podarował mu ją na kilka godzin przed śmiercią.

Z podarunkiem związana była pewna historia, w którą Mac nigdy do końca nie uwierzył. Jej wspomnienie sprawiło, że z miłością pomyślał o ojcu, który nigdy nie wypowiadał niemiłych słów, a wokół dostrzegał wyłącznie dobro.

- To nie jest zwykła ramka - powiedział ojciec, gładząc zaśniedziałe srebro. - Wczoraj wieczorem poszedłem do antykwariatu, by znaleźć coś dla twojej matki. Na półce stało wiele starych ramek z drewna i mosiądzu. Ta była między nimi, matowa i zakurzona, ale gdy wziąłem ją do ręki, lekko zaślniła. Może to nie było prawdziwe lśnienie, bo srebro wymagało polerowania. Starłem palcami kurz, żeby obejrzeć fotografię, i przysięgłbym, że dama z fotografii mrugnęła do mnie.

Mac uśmiechnął się, wspominając tę opowieść. To takie podobne do ojca, dopatrywać się czegoś niezwykłego w zwykłej zaśniedziałej ramce i w fotografii starszej pani. Ciągle pamiętał te słowa i pełne miłości spojrzenie ojca podczas ostatniego uścisku, jaki wymienili w tamto Boże Narodzenie. Po jego pogrzebie oczyścił ramkę i polerował ją, aż zaślniła, a potem ustawił ją na biurku, by przypominała mu człowieka, którego stratę odczuł tak głęboko. Od tamtej pory Boże Narodzenie straciło swój urok. Jakaś część Maca umarła wraz z ojcem - ta część, która umiała śmiać się i płakać, i dopatrywała się dobra w ludziach. Mac pragnął, by powróciła, lecz po prostu nie umiał jej ożywić.

Spojrzał na kobietę w srebrnej ramce.

- Chcę wierzyć w czary, tak jak mój ojciec. Chcę, żebyś mrugnęła i przyniosła mi szczęście - powiedział na głos. Potem roześmiał się, potrząsnął głową i powrócił do leżącego przed nim tekstu umowy.

Kathleen zastukała energicznie. Nieśmiałość nie leżała w jej naturze. Nie czekając, aż Mac zaprosi ją do środka, pchnęła drzwi i zatrzasnęła je za sobą; rzuciła makietę czasopisma na biurko, a potem usiadła naprzeciw olbrzymu, którego tytułowała szefem.

Mac nie poruszył się; uniósł tylko wzrok znad lektury. Nie patrz jej w oczy - przestrzegał sam siebie. Te oczy zahipnotyzowały go dziesięć lat temu, gdy Kathleen liczyła zaledwie dwadzieścia dwa lata. Skup się na czymś innym. Tylko nie na ustach. Wybierz klapę tego nudnego granatowego żakietu.

- Ma pani wyznaczone spotkanie? - zapytał pozbawionym emocji tonem.

- Nie, proszę pana. Ale musimy porozmawiać.

- Słucham. - Spojrzał na leżące przed nim papiery, byle tylko uniknąć widoku jej oczu i ust.

- Dlaczego tak trudno docenić panu moją pracę? - Odchyliła się na oparcie krzesła, założyła nogę na nogę, i czekała na odpowiedź.

Podniósł głowę, jego oczy spoczęły na odsłoniętym kolanie. Przypomniały mu się dawne czasy, gdy jej kolana okryte obcisłymi wyblakłymi dżinsami stanowiły dla niego wielką pokusę i gdy rozpaczliwie odżegnywał się od pociągu do kobiety o wiele od siebie młodszej. Weź się w garść - upomniął siebie.

Kathleen spojrzała w tym samym kierunku i zakłopotana przykryła kolano spódnicą.

Mac skrzyżował ramiona na piersi, stukając palcami lewej ręki po prawym przedramieniu; przybrał pozę, która przerażała większość ludzi. Jego ogromny wzrost onieśmielał, ale Kathleen Flannigan nie sprawiała wrażenia wystraszonej.

Spojrzeli sobie w oczy. Rozpoczęła się bitwa.

- Nie twierdzę, że nie podoba mi się pani praca. Gdyby tak było, nie zatrudniałbym pani. - Zmrużył oczy i szybko spojrzał na jej nogi. - Nie podoba mi się tylko to, że postępuje pani wbrew moim życzeniom.

- Pańskie życzenia i dobro firmy nie zawsze się pokrywają. Chciał pan, żeby czasopismo przynosiło dochody, właśnie to chcę osiągnąć.

Rozplótł ramiona, oparł dłonie na brzegu biurka i pochylił się ku niej.

- Przypuszczam, że to się pani uda. Zawsze miała pani szczęśliwą rękę.

- To nie jest kwestia szczęścia. Po prostu znam swój fach. I to cholernie dobrze.

Uniósł brew.

- Nie będę się spierał. Wiem o tym od dawna.

- To dlaczego pan mnie lekceważy?

Cisza. Odwrócił się i spojrział przez okno. Co mógł odpowiedzieć? Od pięciu lat nie był w stanie zapytać ją, czy plotki o niej i jego ojcu były prawdziwe. Wcale nie chciał w nie wierzyć, ale nie miał okazji wyjaśnić tego z ojcem. Znacznie łatwiej było nie zauważać Kathleen niż przyznać się jej do tych niepokojów.

Zlekceważył pytanie tak samo, jak lekceważył ją przez minione pięć lat. Nie odpowiedział. Chwycił długopis i zapisał na kartce coś, co właśnie przyszło mu do głowy: „gospodyni”. Podniósł głowę, lecz nie spojrział na Kathleen.

- Proszę mi opowiedzieć o „Sukcesie”. - Spoglądał ponad jej ramieniem na półkę z książkami.

- Zapowiada się wspaniale. - W jej głosie zabrzmiała duma. - Nie jest adresowany do żadnej szczególnej grupy czytelniczek, ale przeznaczony jest dla kobiet, które odniosły lub chcą odnieść sukces. Dla kobiet, które umieją sobie radzić z mężczyznami, i dla tych, którym potrzebna jest w tej dziedzinie pomoc. Pomimo usilnych starań, by tego nie robić, musiał na nią spojrzeć. Nie był też w stanie powstrzymać uśmiechu, słuchając, z jakim ożywieniem opowiada o czasopiśmie, które najwyraźniej pokochała. Nie zapominał, że zawsze ulegała emocjom, silnym emocjom.

- Powiedziałaś coś niewłaściwego? - spytała.

- Nie. Po prostu zastanawiam się, czy kieruje pani to czasopismo do feministek.

- A jeśli tak? Wzruszył ramionami.

- To by upodobniło je do wielu innych pism.

- Ma pan rację. Ale jak wspomniałam, nie kieruję go do żadnej szczególnej grupy. - Kathleen spojrzała na fotografię w srebrnej ramce. - Myślę, że nawet pańska babcia mogłaby skorzystać z porad zawartych w moim czasopiśmie.

Tłumiąc śmiech, Mac zdał sobie sprawę że tak jak wszyscy, Kathleen uważa kobietę na fotografii za jego babcie. Gdyby wiedziała, że jego dziewięćdziesięcioośmioletnia babcia była w swoim czasie najbardziej nieustraszoną feministką i że do dziś odrzuca wszelkie rady!

- Co z reklamą? Co z marketingiem? Z autorami artykułów?

- Panuję nad wszystkim. Pracujemy nad reklamą i mamy najlepsze artykuły od najlepszych dziennikarzy. Ostateczna wersja na pewno się panu spodoba.

- A więc zamierza pani pokazać mi końcowy produkt? Sądziłem, że będzie się pani starała uniknąć mego krytycznego spojrzenia.

- Zawsze sobie ceniłam pańską opinię. Brakowało mi jej w ciągu ostatnich lat. - Wstała, powoli podeszła do okna i spojrzała na nowojorski krajobraz. - Przyjaźniliśmy się, Mac. Co się stało? I dlaczego?

Spytaj ją teraz, Mac, podpowiadał mu głos wewnętrzny. Spytaj o to, co ją łączyło z twoim ojcem. Spytaj o córkę. Zaciśnął zęby. Zmrużył oczy, ból głowy, który już prawie minął, znów się nasilił. Masując skronie i zastanawiając się, co odpowiedzieć, patrzył na jej plecy, na pasma kasztanowych włosów wymykające się z koka, na bezkształtny granatowy kostium, ukrywający jej kobiece powaby. Gdzie się podziała piękna młoda dziewczyna z głową pełną

pomysłów, która śmiała się z jego dowcipów i sprawiała, że znowu czuł się jak dwudziestolatek?

Popatrzył na drapacze chmur, a potem znowu w jej oczy, bo właśnie się odwróciła, i przypomniał sobie, że nie odpowiedział na pytanie.

- To pani się zmieniła.

- Nie – stwierdziła beznamiętnym głosem. - Po prostu dorosłam i zmądrzałam.

- Nie tylko. Patrzyłem, jak pani odnosi się do zespołu. Stała się pani o wiele twardsza.

- Kobieta musi być twarda, jeśli chce coś osiągnąć. Mam przed sobą cel i nie dotrę do niego, jeżeli będę słaba.

Mac patrzył na jej oczy i twarz, szukając śladów tej Kathleen, którą znał dawno temu, ale jej wrażliwość i niewinność zniknęły.

- A jaki jest ten cel?

Podeszła do biurka, wzięła makietę i usiadła.

- Po pierwsze chcę, żeby ten magazyn odniósł sukces. Wielki sukces. Po drugie mam zamiar prowadzić McKenna Publishing.

Powiedziała to szczerze i bez cienia uśmiechu.

- Czy wynajęła już pani płatnego mordercę, żeby się mnie pozbyć? - Miał nadzieję, że jego uwaga zabrzmi dowcipnie, chociaż twarz pozostała nieruchoma jak u pokerzysty, a głos był całkowicie pozbawiony emocji.

- Nie potrzebuję rewolwerowca - odrzekła hardo, patrząc mu w oczy. - Zgon będzie pan zawdzięczał samemu sobie.

Omam nie parsknął śmiechem, słysząc tę uwagę, ale zrozumiał ją. Działalność wydawnicza przyniosła mu pieniądze, ale nie szczęście. I samo to wystarczyło, by wcześniej legł w grobie.

- Nie wierzy mi pan, prawda? - spytała.

- Nie mam najmniejszego zamiaru rzec się prowadzenia firmy.

- Pan nie lubi tej pracy. Dlaczego więc nie pozwoli pan, by przejął ją ktoś taki jak ja, ktoś, kto ją kocha?

- Bo pani się do tego nie nadaje.

Pochyliła się ku niemu, aby lepiej dostrzegł jej wyniosłą minę.

- Mam nie mniej energii niż pan, panie O'Brien.

To załatwiło sprawę. Boże, ta kobieta doprowadzała go do szaleństwa. Dlaczego nie oddać jej McKenna Publishing już teraz? Lepsze to niż wysłuchiwanie tych chełpliwych uwag.

- Mam propozycję - powiedział, panując nad narastającym gniewem. - Pomówimy o awansie, jeżeli to czasopismo odniesie sukces.

- Dlaczego nie teraz? Jestem tutaj od dawna. Pan wie, jak pracuję, a czasopismo odniesie sukces. Zasługuję na awans. I to poważny.

Zastanawiał się przez chwilę. Wstał i podszedł do okna, oświetliły go palące promienie słońca. Nie myliła się. Miał dość działalności wydawniczej. I to od dawna. Mniej więcej od chwili, gdy zdał sobie sprawę, że Kathleen Flannigan

zalaża mu za skórę. Od kiedy zorientował się, że jest dla niego zbyt młoda. Odkąd wyjechał do Europy, żeby uporządkować myśli.

Rok rozłąki zrobił swoje. Po powrocie ujrzał wszystko w nowym świetle, a zwłaszcza Kathleen. Sprane dzinsy zniknęły, zastąpione przez obrzydliwy granatowy kostium. I ten okropny kok! I to niemowlę! I te plotki! Te straszne plotki!

Przypomnił sobie pobyt w Europie, tęsknotę za domem i za Kathleen. Och, jakże mu jej brakowało. Ale wszystkie te uczucia zdusił w sobie w chwili, gdy zobaczył dziecko. Nie chciał wyjaśnić, nie pragnął poznać prawdy. Łatwiej mu było wyrobić sobie własną opinię, nie słuchając jej wersji. Trzymał się więc z daleka; wyrzucił Kathleen ze swych myśli, ale nie serca. A teraz znów wracała na dawne miejsce. Dlaczego po tylu latach powróciły wszystkie dawne pragnienia? Nie chciał o niej myśleć. Nie chciał jej widywać, ale im wyższe stanowisko zajmowała w McKenna Publishing, tym bardziej się do niego zbliżała. Była dobra. Cholernie dobra. Tak jak powiedziała, firma jej potrzebuje, nawet jeśli on tego nie chce.

Te myśli niepokoiły go. Ciężła mu cisza, czuł na karku jej oczy. Odszedł od okna, zbliżył się do pokrytego chłodnym marmurem barku i wyjął butelkę piwa Molson. Spojrzał na Kathleen, marszcząc brwi.

- Możliwe, że będę potrzebował naczelnego do „Nowych transakcji”.
- To dobre na początek - skwitowała.
- A jeśli się nie uda?
- Uda mi się - orzekła z uśmiechem. Mac tylko się skrzywił.

Rozdział drugi

Mac jeszcze raz przykręcił termostat, by obniżyć temperaturę w pokoju gimnastycznym. Uciążliwy upał i wilgoć nie powstrzymały go od ćwiczeń - poświęcał na nie godzinę dziennie.

Otarł czoło wierzchem dłoni, wsiadł na rowerek gimnastyczny, przestawił go na większy opór i natychmiast osiągnął prędkość czterdziestu kilometrów na godzinę, którą miał zamiar utrzymać co najmniej przez piętnaście minut. Naga pierś lśniła od potu, a on wściekle pedałował. Nie myślał o pracy. Zajmie się nią we właściwym czasie i miejscu. Tutaj pozbywał się napięcia, odzyskiwał zdrowie psychiczne i utrzymywał doskonałą kondycję. Jego ciało nie zmieniło się od dwudziestu lat.

Ostatnie pół godziny treningu poświęcał zwykle oczyszczającym umysł medytacjom. Ale dziś odstąpił od tej reguły. Przez większą część nocy rozmyślał o Kathleen, o jej oczach, uśmiechu, nogach, dziecku i jej dziwnym pragnieniu. Mój Boże, pomyślał, kobieta u steru McKenna Publishing! Niedorzeczne. Jego babcia mogła kiedyś prowadzić firmę, ale żadna kobieta nie będzie nią więcej zarządzała. Kiedyś miał zamiar przekazać McKenna Publishing swemu pierworodnemu synowi. Niestety, nie miał spadkobiercy i przy tym tempie starań szansa spłodzenia go była bliska zeru. Najpierw musiałby się ożenić, co było mało prawdopodobne. A jednak myśli o ożenku i spadkobiercy już od dawna stały się jego obsesją.

Kathleen była niekonwencjonalna. Co w niej w ogóle widział? Gustował raczej w delikatnych, kobiecych, małych blondynkach, wyrafinowanych i pełnych seksu. Jak Ashley Tate, która przez dziesięć długich lat była dla niego jedyną liczącą się kobietą i do której uciekł od Kathleen.

Uciekał, bo Kathleen nie była w jego typie. O wiele za wysoka. Chociaż ukrywała włosy w pedantycznym koku, wiedział, że są za długie, zanadto kręcone i nazbyt kasztanowe. Gdyby jej dobrze nie znał, przysięgłby, że ukończyła akademię FBI. Ubierała się jak agentka federalna. Czy nie miała ubrań w innych kolorach niż granat i szarość? Czy nie wiedziała, że krótkie spódniczki stały się znowu modne? Miała ładne nogi, długie, szczupłe, najlepsze, jakie widział. Ilekroć weszła do jego biura, nie mógł oderwać od nich oczu. W Kathleen Flannigan wiele go niepokoiło, ale nogi najbardziej.

Jeszcze zwiększył opór w rowerze i starał się nie myśleć o Kathleen. Ale nie mógł. Wczoraj zresztą nic się nie układało. Odeszła jego gospodyni. Nie podała żadnych powodów, powiedziała tylko, że nagle poczuła potrzebę podróży. Nie wiedziała nawet dlaczego. Nie wiedziała dokąd. Po prostu musi się spakować i odejść. Nazwała to przecuciem. Mac uznał to za objaw choroby umysłowej. Obiecywał, że podniesie jej wynagrodzenie, da gratyfikację. Ale ona uparła się, by odejść. Prosił, żeby została, dopóki nie znajdzie kogoś nowego. Nie zgodziła się. Został sam. Co gorsza, rozmowa z Kathleen tak go

zdegenerowała, że zapomniał powiedzieć Grace, aby poszukała mu nowej gospodyni. Potrzebował kogoś, kto by mu gotował, sprzątał i prasował.

Spojrzał na zegarek. Pół minuty dłużej. Pora przyspieszyć. Stał na pedałach, oparł się na kierownicy i pedałowal z całych sił. Nie myślał o niczym poza przyspieszaniem. Cały wysiłek skoncentrował na tym, by wychyliła się strzałka prędkościomierza. Jeszcze szybciej. Jeszcze więcej potu.

BZZZ!

- Otwórz drzwi - wydyszał. BZZZ!

- Cholera! - przypomniał sobie, że nie ma gospodyni. Przestał pedałowac, chwycił ręcznik, aby zetrzeć pot z twarzy, rąk i ramion, odrzucił go na kierownicę i popędził do drzwi, nie mając na sobie nic poza szarymi przepoconymi spodenkami.

Dzwonek zadzwieczał po raz trzeci akurat w chwili, gdy sięgał do zamka. Otworzył gwałtownie drzwi i wprawił swym wyglądem w zdumienie chłopca na posyłki, który stał, ściskając w rękach długie białe pudło przewiązane błękitną wstążką.

- Pan O'Brien?

- Tak - odparł z grymasem na twarzy.

- To dla pana - wykrztusił chłopak, wcisnął Macowi pudło i uciekł, nie czekając na napiwek.

To jakaś pomyłka, myślał Mac, zamykając drzwi i stawiając pudło na stole. Zauważył, że wazon jest pusty. Zawsze stały tam świeże kwiaty, zawsze, ale nie dzisiaj. Nie miał nikogo, kto napelniłby wazon, ułożył kwiaty i zajął się tym wszystkim, co mu się wydawało naturalne.

Odwiązał błękitną wstążkę, uniósł wieko i poczuł słodką woń wysokopiennych czerwonych róż. Zaniósł je wraz z ciężkim kryształowym wazonem do kuchni. Nalał wody i niezdarnie ułożył kwiaty. Zjrzał do pudła w poszukiwaniu wizytówki, ale nic nie znalazł. Uznał, że przysłała je Ashley i zastanawiał się czemu. Prawdopodobnie czegoś potrzebowała.

Tego wieczoru wybierali się do Pallenbergów. Od tygodnia namawiała go, aby ją tam zabrał. Mac nie znosił spędzania weekendów poza domem, ale w końcu ustąpił wiedząc, że Ashley Tate - piękna, wyrafinowana i, ku przerażeniu Maca, snobka - nie da mu spokoju, dopóki się nie zgodzi. Dał jej wszystko, co można kupić za pieniądze. Nie pragnęła niczego więcej. W wieku czterdziestu dwu lat nie chciała wyjść za mąż. Stanowczo nie życzyła sobie dzieci. Prawdę powiedziawszy, nie potrzebowała również Maca - tylko jego pieniędzy.

Dlaczego więc trzymał się jej? Ponieważ nie wiedział, czego chce i potrzebuje. Ponieważ umiał obchodzić się tylko z ludźmi swojego pokroju. Dorastał wśród nich, spotykał się z nimi i niczego innego nie zaznał. Myśl o wprowadzeniu do swego świata kogoś obcego lub o życiu w innym środowisku śmiertelnie go przerażała. Wiedział, czego się może spodziewać po Ashley, a po dziesięciu latach byłoby mu trudno zaczynać z kimś nowym.

Z zamyślenia wyrwał go energiczny dzwonek. Postawił wazon na stole i otworzył drzwi.

- Przepraszam pana - wymamrotał chłopiec na posyłki. - Zapomniałem o wizytówce.

- Dziękuję. - Mac wpatrywał się w nie znany mu charakter pisma, a potem zauważył, że posłaniec odchodzi.

- Poczekaj chwilę! - zawołał za nim.

- Tak, proszę pana - powiedział chłopiec, odwracając się ze strachem.

Mac uśmiechnął się.

- Zapomniałeś o napiwku.

Chłopak już bez lęku przypatrywał się mężczyźnie, przekopującemu szuflady w poszukiwaniu drobnych. Mac wreszcie wcisnął posłańcowi monetę do ręki i zamknął za nim drzwi.

Ze zmarszczonymi brwiami odczytał swoje nazwisko nagryzmołone na kopercie. Nie od Ashley, pomyślał, wyjmując liścik.

Dzięki za awans.

Zmarszczył brwi jeszcze bardziej i poczuł ból głowy. Kathleen Flannigan zakradła się do jego myśli i postanowiła tam zostać na dobre.

Mac wsunął rękę pod prysznic, sprawdzając temperaturę wody. Zrzucił opasujący biodra ręcznik i wszedł do kabiny. Właśnie ją zamykał, gdy usłyszał kolejny dzwonek.

- Cholera!

Zakręcił kurek, podniósł ręcznik, owinał się nim w pasie i pospieszył do drzwi. Ile razy jeszcze mu dzisiaj przeszkodzą?

Doszedł zaledwie do drzwi sypialni, gdy dzwonek zadzwieczał znowu.

- Nie tak ostro - mruknął.

Idąc długim korytarzem i przez salon, dwukrotnie zgubił ręcznik; jego gniew wzmagął się coraz bardziej. Dzwonek rozległ się po raz trzeci.

- Idę! - wrzasnął.

W myślach zaczął przygotowywać przekleństwa, którymi obrzuci osobę lub osoby, ośmielające się zakłócić mu kąpiel.

Odsunął zasuwę, otworzył drzwi na całą szerokość i już miał się odezwać, gdy stojąca przed nim kobieta rzekła:

- Ach, pan O'Brien. Tak się cieszę, że zastałam pana w domu.

Była niska, pulchna, o puszystych siwych włosach spiętrzonych na czubku głowy. Mówiła z akcentem, którego Mac nie potrafił rozpoznać. Nie dając mu czasu na dalsze obserwacje, weszła szybko do środka i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Mac zadrżał, czując chłód. Czy mu się wydawało, czy do domu wtargnął lodowaty powiew wiatru?

Nieznajoma odstawiła dwie duże torby podróżne, podparła się pod boki i wpatrując się w oszołomionego Maca powiedziała:

- Nie, nie, nie. - Pomachała palcem przed jego nagą piersią. - Przeziębci się pan na śmierć, biegając rozebrany.

Mac przytrzymał zimny, wilgotny ręcznik.

- Proszę pani. Nie wiem, kim pani jest, ale nikt nie ma prawa wdzierać się do mego domu.

- Ja się nie wdarłam. Pan otworzył mi drzwi.

- Otworzyłem drzwi, żeby zobaczyć, kto dzwonił.

- To prawda. Zobaczył pan, że to ja, więc weszłam do środka. Jestem pańską nową gospodynią i naprawdę będę wdzięczna, jeśli zamieni pan ten ręcznik na coś bardziej odpowiedniego. Słowo daję, młody człowieku, nic pan nie pozostawia wyobraźni.

Mac nachmurzył się.

- To mój dom i ubieram się tak, jak mi się podoba. Prawdę powiedziawszy wolałby mieć na sobie coś cieplejszego. Boże, był bliski zamarznięcia.

I wtedy dotarły do niego słowa: „Pańska gospodyni”.

- Zaraz, zaraz. Jak pani może być nową gospodynią? Nie dzwoniłem jeszcze do agencji.

- W porządku. A więc zaoszczędziłam panu czasu i kłopotów. - Zakrzętała się wokół róż i ułożyła je bez zarzutu.

Być może trzeba popробować innej taktyki, by pozbyć się jej z domu. Ale przecież potrzebował gospodyni, a ona wcale nie wyglądała groźnie. Właściwie miał wrażenie, że już ją widział, ale nie mógł sobie przypomnieć gdzie i kiedy.

- Czy ja panią znam?

- Można tak powiedzieć. - Otworzyła jedną ze swoich toreb i wyciągnawszy z niej miotkę do kurzu, zaczęła uwijać się po pokoju.

- Co to ma znaczyć?

Przerwała odkurzenie i odwróciła się, by spojrzeć na Maca.

- Jeszcze się pan nie ubrał?

- Nie ruszę się ani o milimetr, dopóki nie powie mi pani, kim pani jest.

- I tylko na to pan czeka?

- Tak.

- Nazywam się Nicholas, pani Nicholas, ale proszę do mnie mówić Merry.

- Dobrze, Merry. Kim pani jest, do diabła?

- Już panu mówiłam. Pańską nową gospodynią. I proszę przestać przeklinać.

- Nie przeklinam. - Poszedł za nią do salonu, gdzie delikatnie odkurzała szkło i chromy, a następnie wzięła się do czarnych skórzanych mebli.

- Oj, oj, oj. Te meble się nie nadają.

- Co takiego?

- Niech się pan nie martwi. Mam w swoim bagażu trochę sprzętów, które uczynią to miejsce bardziej przytulnym.

Stanął przed rumianą staruszką, której czubek głowy znajdował się na wysokości jego włochatej piersi.

- I pani sobie wyobraża, że pozwolę na jakiegokolwiek zmiany?

- Oczywiście, że tak, młody człowieku. Biegnij teraz i szybko dokończ kąpiel. Porozmawiamy, gdy będzie pan przyzwoicie ubrany.

Został odesłany i to przez osobę kompletnie obcą.

Po upływie pół godziny Mac wyszedł z sypialni ubrany w welwetowe spodnie i gruby zimowy sweter. Spojrzał na termostat. Ustawił go na 22°C, ale ochłodziło się do 15°C. Nie mógł sobie teraz zaprzętać tym głowy. Chciał się więcej dowiedzieć o Merry Nicholas.

Znalazł ją w kuchni. Nuciała pod nosem, układając bukiet z białych i czerwonych goździków.

- Oto i nasz pan O'Brien. Jak panu ładnie w tym ubraniu. - Pobiegła do stołu i wysunęła krzesło. - Niech pan siada. Przygotowałam panu smaczny, ciepły posiłek, a w piekarniku mam ciasteczka.

- Nie jadam lunchu.

- Ależ oczywiście, że pan jada. W każdym razie przygotowany przeze mnie. Proszę siadać i zjadać.

Nie miał zamiaru się z nią kłócić. A poza tym zupa i kanapka wyglądały i pachniały smakowicie. Czy w tym kubku naprawdę jest gorąca czekolada z pianką?

Ugryzł kanapkę z pieczonym indykiem i grubą warstwą majonezu. Kiedy po raz ostatni pozwolił sobie na tyle cholesterolu? - Pani Nicholas?

- Proszę mi mówić Merry.

- Merry. Skąd pani wiedziała, że potrzebuję gospodyni? Trochę się już pozbiarał. Nie mógł pozwolić, by ta staruszka tak nim rządziła. A jednak wbrew rozsądkowi czuł, że jest w niej coś, co mu odpowiada, coś miłego i niewinnego. Wzruszyła ramionami i otworzyła piekarnik, aby wyjąć blachę z posypanymi cukrem ciasteczkami.

- Och, po prostu mam swoje sposoby, by wiedzieć, gdy ktoś mnie potrzebuje.

- Coś jakby przecucie? - przypomniał sobie słowa poprzedniej gospodyni.

- Przecucie? Nie, nie, nie. To oznacza ostrzeżenie, gdy ma się wydarzyć coś złego. A kiedy ja jestem w pobliżu, nie zdarza się nic złego.

- Nic?

- Oczywiście, że nie, moje dziecko.

Mac ugryzł następny kęs i zmusił się do uśmiechu. Od przeszło trzydziestu lat nie był dla nikogo dzieckiem. Ale zrobiło mu się przyjemnie. Prawdę rzekłszy polubił Merry, pomimo jej niesłuchanie apodyktycznej osobowości. Nie wiadomo, czy sprawiał to jej ton, czy to, co mówiła, ale czuł się przy niej szczęśliwy. Boże, a przecież od lat nie był naprawdę szczęśliwy.

- Czy pani pochodzi z Nowego Jorku? - zapytał, jedząc kanapkę.

- O, nie, nie, nie. Po prostu przyjechałam tu na lato. - Usadowiła się naprzeciw z kubkiem gorącej czekolady i półmiskiem świeżo upieczonych ciasteczek.

Gdy usiadła, Mac zauważył na stole roślinę w doniczce. Gwiazda betlejemska? Czy nie kupuje się ich na Boże Narodzenie?

Małe, prostokątne okulary Merry tkwiły tak blisko czubka jej nosa, że lada moment mogły się zsunąć. Rozmawiając spoglądała znad błyszczących złotych oprawek.

- Zawsze wyjeżdżam na lato. Mikołajek, to znaczy mój mąż, lubi majsterkować w swoim warsztacie przez całe lato. Po prostu uwielbia robić zabawki dla dzieci.

Mac spędził popołudnie przy biurku, odpisując na listy, które wymagały jego osobistej odpowiedzi. Mimo że Merry nie przeszkodziła mu ani razu, słyszał, jak podśpiewuje kolędy w salonie, który przylegał do jego gabinetu.

- Dla dzieci?

- Och, rozumie pan - odrzekła mrugając.

Potrząsnął głową. Nie, nie rozumiał. Dlaczego nie odpowiadała mu wprost? Mógłby przysiąc, że pani Mikołajowa mrugnęła do niego. Ależ tak! Ze też nie wpadł na to wcześniej. Fotografia na biurku. Zdjęcie kobiety, która mrugnęła do jego ojca.

- Właśnie zdałem sobie sprawę, gdzie panią widziałem.

- Wiedziałam, że pan sobie przypomni. Ile lat temu ojciec подарował panu tę ramkę na Boże Narodzenie? Pięć? Sześć?

- Pięć, ale skąd pani o tym wie? Wzruszyła ramionami.

- Już mówiłam. Po prostu wiem takie rzeczy.

- Ale czy to pani jest na zdjęciu?

- Och, miałam kilka fotografii.

- Nie odpowie mi pani, prawda? Spojrzała na zegar i skoczyła na równe nogi.

- Niech pan spojrzy, która godzina. Czy nie musi pan popracować, i czy nie wybiera się pan na przyjęcie? Wyprasować panu koszulę? Prasowanie to coś, co robię naprawdę dobrze. Nie wszystkie kobiety to potrafią, ale ja mam do tego dryg:

Ona czyta w moich myślach. Ta staruszka, która właśnie wkroczyła w moje życie, zna mnie doskonale, a ja jej pozwalałam na wszystko. Chyba straciłem rozum.

Miał wrażenie, że przesuwa meble, ale nie chciało mu się sprawdzić, chociaż trochę się bał, co ta dziwna kobieta może robić. Wydawała się niegroźna, może trochę ekscentryczna, ale nie sądził, by przeszukiwała mieszkanie lub kradła kosztowności.

O szóstej wieczorem wszedł do salonu; wysoki, przystojny, elegancki i całkowicie nie przygotowany na to, co zobaczy.

Merry siedziała w starym drewnianym fotelu na biegunach przed płonącym na kominku ogniem, z ażurowym szalem z białej wełny na ramionach. Zanim zdążył zapytać, skąd wziął się fotel na biegunach, spojrzała znad robótki.

- Och, mój drogi. W smokingu wygląda pan naprawdę wspaniale. Mój Mikołajek ma słabość do flanelowych koszul i szelek. Nie mogę go sobie wyobrazić w czymś tak eleganckim.

- Może zechciałaby pani zabrać do domu kilka moich starych smokingów?

- Nie, nie, nie. Mikołajek nie jest taki wysoki. Prawdę powiedziawszy jest niskiego wzrostu. A jego brzuch, och, zna pan stare powiedzonko, że komuś brzuch trzęsie się jak galareta? Cóż, pasuje jak ulał do Mikołajka.

- Jakoś mnie to nie dziwi - wymamrotał Mac pod nosem.

- Co pan powiedział?

- Och, nic. - Stał przy drzwiach, rozmyślając o tajemniczym pojawieniu się fotela, mężu imieniem Mikołajek i o jego brzuchu trzęsącym się jak galareta. To nie do wiary, zbyt szalone, żeby brać pod uwagę. Nie, ona nie może być żoną Świętego Mikołaja. A poza tym Mac przestał wierzyć w Świętego Mikołaja czterdzieści lat temu - to bajka dla dzieci, a Mac żył przecież w świecie rzeczywistym.

- Wróć późno - powiedział, myśląc z niechęcią o opuszczeniu swego chłodnego mieszkania i zanurzeniu się w upalną czerwcową noc.

- Raczej wcześniej. Skoro świt?

- Niech będzie. Proszę na mnie nie czekać.

- Co to, to nie. Będę czekać. Mamy parę spraw do omówienia.

- Na przykład?

- Że nie znajdzie pan sobie żony na takiej potańcówce jak ta, na którą się pan wybiera.

- A kto mówi, że szukam żony?

Nie odpowiedziała, tylko wzrokiem pełnym politowania spojrzała na niego sponad śmiesznych małych okularów.

- Nie szukam żony u Pallenbergów.

- Mam nadzieję. Te typy z towarzystwa nie są dla pana odpowiednie.

- A pani wie, kto jest dla mnie odpowiedni?

- Mam parę pomysłów. Idź teraz, moje dziecko, i baw się dobrze. Porozmawiamy później.

Mac nie lubił przyjęć. Wolał spokojne, intymne spotkania; tylko on i piękna kobieta. Ale jego pozycja towarzyska wymagała, aby bywał w świecie i by go zauważano. Od dnia, kiedy skończył dwa lata i matka ubrała go po raz pierwszy w smoking, stale brał udział w wydarzeniach towarzyskich. Kopał i wrzeszczał, aż matka odciągnęła go na bok, otarła łzy, i powiedziała, że ma doprowadzić się do porządku i zachowywać jak przystało na dżentelmena. Nosi nazwisko O'Brien, a O'Brienowie zawsze robią to, co do nich należy, nawet jeśli tego nie lubią.

Tego wieczoru, jak zwykle, robił to, co do niego należało, spędzał czas wśród elity, wśród śmietanki, której życie upływało na przyjęciach, wylegiwaniu się na słońcu i radości ze stałego dopływu gotówki, której strumień nigdy nie wysychał. Mac mógłby się stać jednym z nich. Wystarczyło znaleźć kogoś, kto poprowadzi McKenna Publishing i inne przedsiębiorstwa, które stanowiły o potęgę imperium McKenna. Lecz on nie mógłby spojrzeć sobie w oczy, gdyby

nie pracował. Nigdy nie chciał, aby mu cokolwiek podawano na srebrnej tacy, chociaż wielu ludzi wpychało mu ją pod sam nos.

Stanął przed dwumetrową rzeźbą z lodu, przedstawiającą obejmujące się łabędzie, i popijając szampana z kieliszka z kruchego kryształu, marzył o butelce zimnego piwa. Chłodne powietrze wokół lodowej figury było jedynym sympatycznym akcentem tego przyjęcia, może z wyjątkiem kobiety, która mu towarzyszyła.

Ashley rozmawiała z panią Pallenberg i wyglądała pięknie, wdzięcznie i pogodnie. Jasne, zaczesane do tyłu włosy odsłaniały szczupłą, doskonale prostą szyję. Nawet w upale sprawiała wrażenie chłodnej, tak jakby gorąca noc była specjalnie dla niej klimatyzowana.

Wzrok Maca wędrował po jej szczupłych i wyprostowanych plecach ku wąskiej tali. Kiedy po raz ostatni pieścił jej plecy, zsunąwszy suknię, aby napawać się pięknem aksamitnej skóry? Rok temu? Dwa? Stracił rachubę czasu. Zamiast się kochać, kupowali biżuterię i futra. Zamiast dogadzać sobie deserami, jadali zielsko jak króliki. Zamiast pocić się w miłosnym uścisku, Mac ćwiczył, aby utrzymać się w formie, na wypadek gdyby ktoś zechciał sprawdzić, jak wygląda rozebrany.

Och, Ashley. Jak to się stało, że jesteśmy parą? Patrzył, jak jego towarzyszka z ożywieniem przesuwając się wśród zebranych gości, rozdając pocałunki. Dziesięć lat temu prosił, by za niego wyszła, ale zamążpójście nie leżało w jej planach, zwłaszcza gdy wspomniał o dzieciach. To zniechęciło ją zupełnie. Ale on wciąż się jej trzymał, rok po roku. Śmiała się, wyglądała pięknie, sprawiała, że nie czuł się samotny podczas dalekich podróży służbowych. Kiedy to się skończyło? Nie mógł sobie przypomnieć, dlaczego i kiedy namiętność wygasła. Po prostu tak się stało i nie obwiniał o to nikogo prócz siebie.

Sporadycznie umawiał się z innymi kobietami, ale nie było to nic poważnego. Ashley nie miała nic przeciwko temu, jeśli nikt o tym nie wiedział. Inne kobiety nie różniły się od niej - bogate, rozpieszczone, zepsute. Miał dar przyciągania nieodpowiednich kobiet, tych, które kręciły się wokół niego dla jego bogactwa. Urodził się bogaty i nic nie mógł na to poradzić.

- Sprawiasz wrażenie znudzonego - szepnęła Ashley, wsuwając mu rękę pod ramię.

- Znudzony? Dlaczego myślisz, że się nudzę?

- Przez cały wieczór ani razu się nie uśmiechnąłeś. Nie uśmiechniesz się nawet do mnie?

Spojrzał w dół na jasnowłosą głowę nie sięgającą mu nawet do ramienia. Wymuszony uśmiech rozciągnął usta, oczy pozostały poważne.

- Jak długo musimy tu tkwić?

- Nie wypada tak wcześnie wychodzić. Patrzyłam na ciebie, kochanie. Nie ruszyłeś się z tego miejsca i z nikim nie rozmawiałeś. - Pocałowała swój środkowy palec i przycisnęła go do ust Maca, a fotograf uchwycił ten moment. - Wprawiasz mnie w zakłopotanie. Nieszczęśliwa mina niszczy nasz image.

- Wyglądam na nieszczęśliwego?
 - Napij się. Dobrze ci zrobi.
 - Potrzebuję czegoś innego. - Ujął jej małą dłoń, odstawił kieliszek z szampanem i pociągnął ją przez patio.
 - Chodźmy stąd.
 - Ale ja nie chcę wychodzić.
 - Chcesz zostać sama? Odeła wargi.
 - Nie, proszę, Mac. Zostańmy jeszcze trochę.
 - Chodźmy do mnie do domu... - Zamilkł, przypomniawszy sobie, że teraz rządzi tam Merry Nicholas. Nie mógł zabrać Ashley do siebie. - Weźmy pokój w hotelu, zamówimy sobie mnóstwo jedzenia i spędzimy miły wieczór.
 - To nie jest wieczór w moim stylu i ty doskonale o tym wiesz.
- Mac położył dłonie na jej ramionach i ustawił ją na wprost siebie. Spojrzał w brązowe, pozbawione życia oczy. Nic do niej nie czuł. W ciągu ostatniej doby zdał sobie sprawę, że nie ma ochoty kontynuować tego niepoważnego związku.
- Masz rację. Wiem o tym od dawna i, Boże dopomóż, ciągnąłem to. Ale ani chwili dłużej.
 - Co masz na myśli?
 - To koniec. Nic nas nie łączy.
 - To niemożliwe.
 - Skończyło się wiele lat temu. Nie rozumiem, dlaczego wciąż jesteśmy razem.
 - Ależ ty mnie kochasz.
 - Naprawdę?
 - Oczywiście, że tak. Zawsze mnie kochałeś.
 - Może kiedyś tak. Ale to nie bajka, w której żyje się długo i szczęśliwie.
 - Nie rób tego, Mac. Nie pozwolę, byś mnie rzucił.
 - Nie uważam tego za rzucenie, no cóż, po prostu rozejdziemy się.
 - Chyba straciłeś zmysły.
 - Nie, raczej je odzyskałem. - Schylił się i pocałował ją w czubek głowy. - Odwiozę cię do domu.
- Odskoczyła od niego gwałtownie.
- Sama trafię. Nie martw się o mnie. Doskonale sobie poradzę.
- Podszedł do drzwi, czując ciężar na piersi. Dziesięć lat życia wyrzucone na śmietnik. Czy uda mu się zacząć od nowa? Czy chce zaczynać od nowa? Odwrócił się i spojrzał na Ashley. Zmrużyła oczy, wykrzywiła usta. A potem usłyszał pożegnalne słowa:
- Niech cię cholera, Mac. Jeszcze mnie popamiętasz. Zobaczysz.

Rozdział trzeci

Mac przestąpił próg i poczuł zapach choinki. Świeżo upieczona szarlotka z cynamonem przeniosła go w czasy dzieciństwa i dawno zapomnianych Świąt Bożego Narodzenia.

Merry, zgodnie z obietnicą, czekała na niego w fotelu na biegunach. Spojrzała na niego znad robótki. Na jej rumianej twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

- Proszę, proszę, proszę. Wrócił pan wcześniej, niż się spodziewałam.

- Już późno, Merry. Nie powinnaś czekać tak długo.

- Powiedziałam, że zaczekam.

Przysunął sobie krzesło i usiadł okrakiem, kładąc ręce na wysokim oparciu. Przyglądał się, jak Merry zręcznie robi na drutach ażurowy ścieg. Nigdy przedtem nie obserwował dziergającej kobiety i zdziwił się, że Merry patrzy na niego i mówi, nie gubiąc oczek.

- Czy możemy porozmawiać? - spytała.

- Jeśli zamierzasz roztrząsać moje życie osobiste, to ja pasuję. Jest w rozsypce.

- To właśnie odpowiednia chwila na rozmowę, młody człowieku. - Wcisnęła kłębek włóczki i druty do torby obok fotela, a następnie poczęstowała Maca ciasteczkami.

- Nie, dziękuję - powiedział, lecz wbrew sobie wziął jedno z półmiska. Obejrzał je, obracając w palcach. Miało kształt aniołka ze srebrzyście przyprószonymi skrzydłami.

- Trochę za wcześnie na Gwiazdkę, prawda?

- Och, nie. Lubię sobie wyobrażać, że Boże Narodzenie trwa przez cały rok. Dzięki temu mam doskonały nastrój.

- Powiedziałem mojej sekretarce, że nie lubię świąt. Próbujesz zmienić moje zapatrywania?

- Mam zamiar zmienić znacznie więcej niż pańskie zapatrywania, panie O'Brien.

- Na przykład co?

- Cóż, pańskie życie, oczywiście. Mac potrząsnął głową i roześmiał się.

- Lubię cię, Merry.

- Ja też pana lubię - powiedziała, mrugając okiem. - Ale zdaje się, że musimy przedyskutować coś ważnego.

Chwycił następne ciasteczko i czekał, co powie.

- Doszłam do wniosku, że potrzebna jest panu żona. Byłby pan o wiele szczęśliwszy. Będzie pan musiał zapytać o to Mikołajka. Słowo daję, nie wiem, co by beze mnie zrobił.

- Właśnie zerwałem trwający dziesięć lat związek. Absolutnie nie potrzebuję żony. A zresztą nie nadaję się na męża.

- Bzdury, młody człowieku. Każdy mężczyzna potrzebuje żony. Po prostu nie trafił pan na odpowiednią kobietę.

- A jak mam jej szukać?

- Och, to bardzo proste.

- Jeśli to takie proste, to dlaczego w wieku czterdziestu dziewięciu lat ciągle jestem nieżonaty? Proszę mi wierzyć, próbowałem różnych sposobów.

- Ale nie wszystkich. Wydaje mi się, że szukał pan żony wśród przebranego towaru uczęszczającego na te pańskie przyjęcia. Cóż, nie twierdę, że w pańskim otoczeniu brakuje kobiet z zaletami, ale pan po prostu nie zdaje sobie sprawy, że one nie są dla pana odpowiednie.

- A ty wiesz, co jest dla mnie odpowiednie?

- Wiem, ale jestem pewna, że ma pan niejasne wyobrażenie, czego pragnie. Niech pan spróbuje mi o tym opowiedzieć.

Mac myślał, rozglądając się po salonie. Merry wprowadziła w nim pewne akcenty osobiste. Serwetki na zagłówkach i oparciach foteli, połączone ramy z kolorowymi zdjęciami niemowląt i dzieci. Przytulny pokój przypadł mu do gustu. Trzaskanie ognia w kominku wprawiło go w pogodny nastrój, czuł, że gorzkie przeżycia i pełne nienawiści słowa Ashley odchodzą w niepamięć. Już dawno nie doświadczył takiego spokoju i radości. Jeśli to tylko sen, wcale nie miał ochoty się budzić.

Wstał, by dorzucić drewno do kominka. Jakże miał powiedzieć, czego wymaga od kandydatki na żonę?

- Nie bardzo wiem, od czego zacząć.

- Uważam, że najlepiej od początku.

- Jak ma wyglądać?

- Miała na myśli coś więcej, coś bardziej istotnego niż wygląd.

- Och! Przyniosę sobie piwo, dobrze? Merry wstała i otuliła się szalem.

- Pije pan zbyt dużo piwa. Przyniosę szklankę ciepłego mleka. Przez ten czas niech pan pomyśli o trwalszych zaletach.

Mac przysunął do kominka kanapę, by móc wyciągnąć się przy ogniu. Zsunął trzewiki, usiadł wygodnie, zamknął oczy i pograżył się w myślach o kobiecie swych marzeń. Nie widział jej twarzy. Doświadczał tylko uczuć. Ciepło. Wesołość. Inteligencja. Poczucie więzów rodzinnych. Radość z posiadania kobiety, która troszczy się, kocha, poświęca życie dla męża i syna. I przez krótką chwilę mignęły mu długie kasztanowe włosy.

- Proszę. - Meny podała mu szklankę i usiadła przy kominku. Spojrzała mu prosto w oczy.

- A więc, jaki typ kobiety mam panu znaleźć?

- Ona nie istnieje, Merry.

- No, no, no!

Mac roześmiał się, słysząc, jak Merry potraja wykrzykniki.

- To, czego pan pragnie, istnieje. Czasem trzeba tylko uwierzyć w cuda.

Zastanawiał się nad tym przez chwilę. Nie wierzył w cuda, ale uwierzył w Merry, uwierzył, że ma ona jakąś dziwną, tajemniczą moc. Sam nie wiedział dlaczego, ale uwierzył w to.

- Trzeba by cudu, by znaleźć taką kobietę. Jakie masz plany?
- Trzeba dać ogłoszenie w prasie, w rubryce towarzyskiej. Omal się nie udławił. Nigdy nie słyszał czegoś równie szalonego. Tylko kompletnie zdesperowani zamieszczają takie ogłoszenia. Pomysł był iście absurdalny.
- Absolutnie nie.
- Ma pan lepsze propozycje?
- Jakie propozycje?
- Otóż to. Nie ma pan żadnych pomysłów, więc musi się pan zdać na mnie. Merry wstała, wzięła ze stołu opróżnioną szklanę i półmisek z okruchami po ciastkach. Przy drzwiach odwróciła się.
- A teraz, proszę pana, najwyższy czas spać. Włożyć piżamkę, wyszorować ząbki i do łóżka. Obudzę pana wcześniej, aby zdążył pan zamówić ogłoszenie. Im szybciej się ukaze, tym lepiej.
- Ale ja nie wiem, co w nim umieścić!
- Ja wiem. Może pan na mnie liczyć, młody człowieku. Napiszę je dla pana i zanim się pan obejrzy, kobieta ze snów wkroczy w pańskie życie. Spojrzał na Merry sceptycznie. Ten pomysł wcale mu się nie podobał, ale ona już podjęła za niego decyzję. Jutro rano zamieści ogłoszenie.

Kathleen siedziała przy stole konferencyjnym zarzuconym zdjęciami reklamującymi nowe czasopismo. Jedno z nich trzymała i przyglądała mu się od dobrych pięciu minut.

Kierownicy działu reklamy - Jon i Wayne - siedzieli po przeciwnej stronie stołu. Czekali na jej opinię.

- Co powiesz o tym? - zapytał w końcu Jon.
 - Nie jest dobre.
 - O takie ci chodziło. Kobieta interesu, siedząc w prowadzonej przez szofera limuzynie, czyta „Sukces”.
 - Ale... - Kathleen zamilkła nagle usłyszawszy, że otwierają się drzwi. Na widok wchodzącego Maca poczuła ucisk w gardle. Dlaczego, u diabła, musi wyglądać tak zabójczo? - myślała, starając się nad sobą zapanować.
 - Czy możemy zamienić kilka słów, panno Flannigan? Spojrzała na Jona i Wayne'a i na stertę papierów poniewierających się na stole. Bądź stanowcza, mówiła sobie.
 - To nie potrwa długo. Przyjdę do pana, gdy tylko skończę.
- Uśmiechnął się. Nie widziała tego porywającego uśmiechu już od lat, odkąd Mac wyjechał do Europy.
- Poczekam. - Usiadł przy końcu stołu, skrzyżował ręce na piersi, założył nogę na nogę, odchylił się na oparcie krzesła i wpatrywał się w Kathleen.
- I jak ja mam pracować, kiedy on nie spuszcza ze mnie oczu? Jeszcze raz spojrzała na zdjęcie i podniosła je, zasłaniając się przed wzrokiem Maca. Usiłowała się skupić, ale bez skutku. Wyjrzała spoza zdjęcia. Nie przestawał się

w nią wpatrywać. Zrobiła głęboki wdech, przyjrzała się jeszcze raz zdjęciu i wreszcie zrozumiała, co jej się nie podobało.

- Jon, Wayne, popatrzcie na tę kobietę. Nie o taką mi chodziło.

Jon i Wayne wymienili niespokojne spojrzenia.

- Mnie się podoba - powiedział Wayne z westchnieniem, uderzając się w pierś dla podkreślenia, że mówi prawdę.

- Wspaniałe nogi - dodał Jon.

- W tym właśnie problem. Ona nie powinna mieć wspaniałych nóg. Ona nie może wyglądać... ładnie. - Kathleen uderzyła się w pierś, naśladując Wayne'a.

- Dlaczego? - spytali jednocześnie.

- Ponieważ nie chcę, aby to pismo miało opinię, że jest przeznaczone dla pięknych kobiet sukcesu. Chcę, żeby było dla wszystkich kobiet, które chcą odnieść sukces.

Usłyszała zbliżające się kroki. Unikając oczu Maca, wpatrywała się ciągle w ilustrację. Zdała sobie sprawę, że on opiera się o jej krzesło, czuła jego oddech, gdy pochylił się, aby spojrzeć na zdjęcie.

- Nie widzę nic złego w tym, że kobieta sukcesu wygląda pięknie.

Jego oddech muskał jej szyję. Ciepły. Nie, gorący. Odurzająca woń wody kolońskiej. Dlaczego on musi stać tak blisko?

- Dziękuję za pański wkład, panie O'Brien. Ale zechce pan pamiętać, że to moje czasopismo, a pan zdecydował, że nie będzie mi pan w niczym pomagać.

- Po prostu powiedziałem, jakie mam zdanie na ten temat, panno Flannigan. I nie ma to nic wspólnego z czasopismem.

- W porządku. - Kathleen odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy. - Proszę mi więcej nie przeszkadzać.

- Zgoda - rzekł, nadal opierając się o jej krzesło.

- No dobrze, kobieta może zostać - powiedziała Kathleen, zwracając się do Wayne'a i Jona. - Ale czy nie można by zmienić jej fryzury? Ubrania?

- A może by tak kok, pończochy przeciw żyłakom i ortopedyczne buty? - Mac zaśmiał się.

Kathleen rzuciła zdjęcie na stół.

- Dosyć. O czym pan chce ze mną rozmawiać? Uśmiechnął się i idąc w stronę drzwi, powiedział:

- Dziękuję za róże.

Kathleen poczuła nieprzepartą chęć, by rzucić czymś ciężkim w tego nieznośnego faceta, choć po raz drugi zdała sobie sprawę, że już od lat nie widziała, by jego oczy promieniowały tak ciepłym blaskiem. A przepadała za tym.

Kathleen wpadła do ciasnego, zaniedbanego mieszkania i podniosła słuchawkę. Ściągnęła granatowe pantofle i rzuciła je przez pokój aż ku drzwiom sypialni.

- Hallo - wydyszała.

- Cześć, dziecinko. - Poznała głos ojca i natychmiast się rozpogodziła.

- Cześć, tatusiu. Wszystko w porządku? Julie nie sprawia wam kłopotu?
- Wspaniale się bawimy. Pamiętasz, że matka zawsze chciała mieć więcej dzieci.

Kathleen roześmiała się.

- Możecie jeszcze spróbować.
- Myślę, że zadowolimy się wnuczętami. Twoja córka błaga mnie, żeby dać jej słuchawkę. Porozmawiamy później, kochanie.

Hałas wskazywał na to, że aparat na drugim końcu linii wylądował na podłodze. A potem usłyszała głos Julie i łzy napłynęły jej do oczu.

- Cześć, mamusiu. Zgadnij co.
- Co?
- Dziadek pozwolił mi pojeździć na Scottym.
- Scotty? Nie pamiętam. Kupił nowego konia?
- Nie, mamusiu. To ten, którego dziadek nazwał przedtem Randolph Scott. Ale ja uważam, że to głupie imię dla konia.
- Ja też tak uważam. - Kathleen nigdy by się nie przyznała, że to właśnie ona ochrzciła tak konia i przekonała ojca, by nadawał koniom tak dziwaczne imiona jak John Wayne i Roy Rogers. W swoim czasie brzmiały o wiele lepiej niż Furia, Pchełka czy Grzmot.
- Robiliśmy z babcią ciasteczka czekoladowe.
- Mniemam. Brzmi zachęcająco.
- Napisałam do ciebie list i odbiłam ślady palców umazanych w czekoladzie, żebyś o mnie nie zapomniała.
- Będę o tobie pamiętać, kochanie.
- Ale nie zobaczymy się bardzo, bardzo długo.
- Szybko zleci - skłamała Kathleen już stęskniona, chociaż Julie wyjechała niecały tydzień temu.
- Babcia chce, żeby kończyć. Mówi, że rozmowa telefoniczna kosztuje mnóstwo pieniędzy.

Kathleen roześmiała się. Matka zawsze była oszczędna, a ona poszła w jej ślady.

- Bądź grzeczna i dobra dla babci i dziadka.
- Dobrze, mamusiu. Kocham cię.
- Ja ciebie też, skarbie.

Usłyszała brzęk odkładanej słuchawki, a potem sygnał. Ot, i cała rozmowa.

Odłożyła słuchawkę. Wsłuchiwała się w ciszę. Żadnych kreskówek w telewizji, żadnych pytań dlaczego?, dlaczego?, dlaczego?, tylko spokój i samotność. Boże, jakże tego nienawidziła.

Julie wniosła w życie Kathleen rodzinną atmosferę, której brakowało jej, odkąd opuściła Montane.

Poza pracą, którą kochała, adoptowana córeczka była jej największym skarbem. Nigdy nie żałowała swojej decyzji, chociaż przyjaciele uważali, że straciła rozum.

Adopcja. Mój Boże. Kathleen. Dzieciak tylko cię uwiąże, mówili. Ale ona się śmiała. Mała dziewczynka rozjaśniła jej życie jak nikt dotąd.

Zdjęła żakiet w jodełkę. Tak jak wszystko, w co ubierała się do pracy, był granatowo-biały, nieco zbyt obszerny i wymagał czyszczenia oraz prasowania. Powiesiła go na oparciu starego, zniszczonego fotela, rzuciła na wierzch białą jedwabną bluzkę i sięgającą poniżej kolan spódnicę. Odnotowała w pamięci, że należy wysprzątać to okropne mieszkanie. Może powinna zatrudnić gosposię, ale wolała nie wydawać pieniędzy na coś, co mogła równie dobrze zrobić sama. Nienawidziła sprzątania. Nie przepadała za gotowaniem. Wolała spędzać wolny czas, rozmyślając o nowych czasopismach.

W jedwabnych majteczkach i staniku przeszła do kuchni. Wyjęła z lodówki puszkę coca-coli, otworzyła i włożyła do niej słomkę. Przejrzała szafkę w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Zadowolona się masłem orzechowym i czekoladowymi herbatnikami. Zajadając się słodyczami, dziękowała Bogu, że nie ma tendencji do tycia.

Wsunęła herbatnik do ust i czekała, aż się rozpuści, myśląc o McKenna O'Brienie, tym najbardziej nieuchwytnym, denerwującym ze wszystkich mężczyzn. Może nie powinna była wysłać róż, ale chciała zapaść mu głęboko w pamięć. Od dawna nie zdarzyło im się uprzejmie porozmawiać. A tak bardzo pragnęła powrotu ich dawnych spotkań, gdy mówili i śmiali się całymi godzinami i gdy on poświęcał dużo czasu jej szalonemu pomysłu. Wtedy Mac był człowiekiem o wielkim sercu. Ale wyjechał, a gdy wrócił, umarł jego ojciec i wszystko uległo zmianie, a zwłaszcza ich przyjaźń.

Oczywiście, Ashley już wtedy była jego kochanką, a Kathleen tylko przyjaciółką. Nigdy nie mogła zrozumieć, jak tej złośliwej jędzy z nowojorskiego towarzystwa udało się go usidlić. Ale nigdy o niej nie rozmawiali. W ciągu dziesięciu lat pracy w McKenna Publishing Kathleen widywała Maca wyłącznie z Ashley. Podczas spotkań służbowych, na przyjęciach dla personelu Ignęła do niego, a jej sztucznie uśmiechnięta twarz zdawała się mówić: Ręce przy sobie. Jest mój. Na widok Kathleen oczy Ashley rzucały mordercze spojrzenia. Prawie się do niej nie odzywała. „Witam, jak się pani ma.” To było wszystko, co miała do powiedzenia.

Kathleen roześmiała się. Ta kobieta przyłgnęła do Maca tak mocno, że z trudem oddychał. Jej zimny, wyrachowany sposób bycia i śmierć ojca odmieniły go. Stał się tyranem. Ale Kathleen kochała go mimo to. Przeczuwała, że w głębi serca pozostał tym samym człowiekiem, którego podziwiała i o którym marzyła. Właśnie takiego znowu zobaczyła, gdy dziękował jej za róże.

Wzięła gazetę, przejrzała wydarzenia towarzyskie i zauważyła fotografię. Mac i Ashley stoją jak zakochana para obok łabędzi z lodu; ona przyciska mu palec do ust.

Kathleen wpatrywała się w zdjęcie. Przestań marzyć, powiedziała sobie. Żyj. Mac nie był twój wtedy i nie jest teraz. A sądząc po minie, nigdy twój nie będzie. Westchnęła przeciągle, zjadła jeszcze jedną łyżkę masła orzechowego i

starala się o nim zapomnieć. Ale nie mogła. Wyobraziła sobie nagi tors Maca i zastanawiała się, czy jego klatka piersiowa jest owłosiona czy też gładka i czy rozebrany wygląda równie dobrze jak w kosztownych garniturach. Była ciekawa, czy robi pompki, aby utrzymać się w formie, i pomyślała, że byłoby zabawnie pomagać mu w ćwiczeniach.

Przypomniała sobie zdjęcie na okładce pisma „Fortune”. Miała wtedy zaledwie osiemnaście lat, ale po przeczytaniu artykułu o przyszłym dziedzicu fortuny McKenna, była nim kompletnie oczarowana. Bystry, pełen seksu. Uwielbiała czytać jego wypowiedzi o prowadzeniu interesów i postawiła sobie za cel pracę u niego. Był jej bohaterem. I nadal nim pozostawał, mimo że stali się przeciwnikami. On był konserwatystą, ona liberałem. On miał lat czterdzieści dziewięć, ona trzydzieści dwa. On wywodził się z najwyższych sfer, ona ze średnio zamożnej rodziny w Montanie. Połączenie nie było możliwe.

On miał spełnione życie uczuciowe, ona tylko marzenia. Nadszedł czas, żeby pożegnać się z nimi i stawić czoło rzeczywistości. Przejrzała ogłoszenia towarzyskie. „Mężczyzna poszukuje kobiety. Musi to być pierwszorzędną dziewczyna dla pierwszorzędnego faceta.” Ale kapcan!

To głupota. Chyba postradałam zmysły. Muszę być chora. Nigdy nie znajdę mężczyzny w ten sposób. Ale przynajmniej nie będę sobie więcej zawracała głowy O’Brienem.

Rozdział czwarty

Kathleen nie marnowała sobotniego poranka na sprzątanie i zakupy. Od środy ani razu nie spotkała Maca i zgodnie z tym, co postanowiła, przestała o nim myśleć.

Ubrana w szorty i podkoszulek zbiegła po schodach z piątego piętra. Było to jej codzienne ćwiczenie. Nienawidziła tego, ale chciała utrzymać się w formie. Uznała, że to niezbędne dla zapchanych niezdrowym jedzeniem naczyń krwionośnych.

- Dzień dobry, Sam. - Uśmiechnęła się do staruszka, który stał na rogu, sprzedając prasę. Chwyciła gazetę, podała mu piątkę i truchtając w miejscu, czekała na resztę, którą wysupływał artretycznymi palcami.

- Ładny dzień, nie ma co - powiedział, salutując do kapelusza.

Kathleen pomyślała, że jego prywatny zegar musiał stanąć gdzieś w latach pięćdziesiątych. Miły, łagodny człowiek. Zamieniała z nim ledwie parę słów, ale zawsze uprzejmych, i stanowiły one przyjemny początek dnia.

- O tak, Sam. Bardzo piękny. - Kathleen posłała mu pocałunek, uśmiechnęła się i pobiegła do domu, nie mogąc się doczekać chwili, gdy przejrzy ogłoszenia. Poprzysięgła sobie, że właśnie w ten sposób znajdzie partnera.

Wbiegła na górę po dwa stopnie i wpadła do mieszkania akurat w chwili, gdy rozległ się gwizdek czajnika. Nalała sobie gorącego mleka i doprawiła je syropem czekoladowym.

Z kubkiem w ręku, kawałkiem wczorajszej zimnej pizzy oraz gazetą zasiadła w fotelu. Rozłożyła gazetę na stoliku, a raczej starym kufrze, który służył jej za stolik, i zaczęła przeglądać artykuły. Przebrnęła przez wydarzenia światowe i nudne nagłówki. Wreszcie dotarła do ogłoszeń.

Wodziła palcem po kolumnach, nie znajdując nic, co by ją zaintrygowało; ciągle to samo. Czy ludzie nie mają za grosz wyobraźni? I raptem znalazła. Wyprostowała się i zaznaczyła ogłoszenie grubym czerwonym flamastrem.

„Czy jesteś prezentem gwiazdkowym, którego wypatruję pod choinką? Nadają się tylko małe, pięknie opakowane podarunki. Dżentelmen pod pięćdziesiątkę pragnie czegoś kobiecego około trzydziestki - antyki wykluczone.”

Roześmiała się. Cóż, nie jest mała. Nie jest też taka, jakiej on pragnie, ale ma ochotę spotkać się z mężczyzną, który odważył się na zamieszczenie takich kompletnych bzdur. Zanotowała numer ogłoszenia, pod który należało wysłać odpowiedź, wzięła notes i ogryziony długopis. Zastanawiała się, co odpisać.

Merry wkroczyła do gabinetu Maca ze stosem listów, które przyniosła z biura ogłoszeń. Przeglądała je, nie zwracając uwagi na otoczenie, ale jakimś cudem udało jej się ominąć meble.

Odsunęła krzesło i usiadła obok Maca przy biurku. Ubierała się zawsze w to samo, ale wyglądała równie świeżo i schludnie jak wtedy, gdy po raz pierwszy przekroczyła próg jego domu. Czerwona suknia, biały fartuszek, czarne sznurowane trzewiki ze skóry i białe pończochy. Mac wiele o niej myślał. W końcu po prostu pogodził się z obecnością tej najmiłszej i najserdeczniejszej ze wszystkich starszych pań.

- Spodziewałam się, że przyjdzie ich znacznie więcej - powiedziała, biorąc nożyczki, aby pootwierać koperty.

- A ilu się spodziewałaś? To straszne. Musiałem postradać zmysły, żeby się na to zgodzić.

- Bzdury. Jestem przekonana, że wśród listów znajduje się ten, o który chodzi. - Wymawiała listy jeden po drugim i głośno je czytała, a Mac sporządzał notatki.

- Przeczytaj ten fragment jeszcze raz - powiedział zaintrygowany czwartym z kolei listem.

- Chwileczkę. Och, tak. Mam. „Jeśli szukasz prezentu idealnego, nie zwlekaj ani chwili. Mam metr pięćdziesiąt pięć wzrostu, niebieskie oczy i nie uwierzysz, czego te półtora metra może dokazać!” - Merry wymamrotała coś pod nosem, a Mac roześmiał się, widząc pełną niesmaku minę staruszki.

Ku jej niezadowoleniu pomyślał, że ten list korzystnie wyróżnia się spośród nieciekawych odpowiedzi.

- Ten jest dobry.

- Jak pan uważa.

Dlaczego tak łatwo się zgodziła? - zastanawiał się Mac. Wzięła następną kopertę. Dużą, świąteczną, czerwoną. Wyjęła z niej staromodną kartę ze Świętym Mikołajem. Jej oczy zabłyśły z zachwytu. A może powlekła je łza wzruszenia?

- To już coś lepszego - powiedziała. Pięknie wykaligrafowane złotym, atramentem litery układały się w kształt choinki na kosztownym czerpanym, zielonym papierze. Autorka włożyła w ten list wiele czasu i starań.

- Nieważne, co pisze, według mnie to ona - powiedziała Merry, ocierając z policzka łzę.

- Jesteś zbyt sentymentalna.

- Wcale nie. Po prostu wiem, że to ideał.

- A co z innymi?

- Och, może pan się spotkać z kilkoma. Ale ja stawiam na tę miłą damę.

Mac wyjął z jej rąk kartę i list. Odczytywanie treści zajęło mu dobrą minutę.

- A więc sądzisz, że to ideał?

- Oczywiście.

- Czytałaś, co napisała?

- Nie. Nie musiałam.

Wstał i poszedł do kuchni, by przegryźć coś ze stale znajdujących się pod ręką świątecznych wypieków Merry.

Wrócił z kilkoma kawałkami ciasta z kremem czekoladowym. Wpakował jeden do ust, popił mlekiem i pomachał zielonym papierem przed nosem Merry.

- Posłuchaj: „Moja choinka jest bardzo ozdobna, o delikatnych gałązkach i pniu, który ma trzydzieści dwa słoje. Pod gałęziami ukryte są trwałe, wartościowe dary płynące prosto z serca. Nie oczekuję prezentów, ale chętnie zgodzę się, by u mego boku rosło dojrzałe drzewo.”

- Widzi pan, mówiłam, że to idealna kandydatka.

- Chyba postradałaś zmysły. W tym nie ma ani krzty sensu.

Merry wyjęła mu list z ręki.

- Proszę mi dać, ja to panu wytłumaczę. Mac odebrał jej kartkę.

- Nie trzeba. To nas wprawi w zakłopotanie.

- Uważam, że ta jest doskonała.

Wypił jeszcze trochę mleka, wziął serwetkę, ułożył na niej kawałki ciasta i poszedł do gabinetu, aby w samotności przestudiować odpowiedź na ogłoszenie.

„Bardzo ozdobna” - hm! Duży biust.

„Delikatne gałązki” - nogi. Wspaniałe nogi.

„Trzydzieści dwa słoje” - trzydzieści dwa lata. Prawdopodobnie uzna, że jestem dla niej za stary. Cóż, rzeczywiście autorka ma pewne zalety.

Położył zielony list na wierzchu i przeczytał pozostałe. Dwa spośród ośmiu były nie najgorsze. Jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mu, żeby wyrzucić zielony list, ale Merry nigdy by mu tego nie wybaczyła. A zresztą sam był ciekaw.

Kathleen dostała list tydzień po wysłaniu odpowiedzi. Był niesłychanie zwięzły. Jeśli jest zainteresowana, ma się zjawić w barze hotelu Plaża, o ósmej wieczorem, w poniedziałek. On będzie miał gałązkę jemioli w kłapie. Jemioła? Dziwne. Cóż, przynajmniej nie pomylił go z nikim innym. Ona z kolei ma włożyć białe rękawiczki. Spodobało jej się, że spotkają się w Plaża, mimo że nie przepadała za luksusami. Z pewnością będzie tam mnóstwo ludzi, więc ucieknie, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Dlaczego pomyślała o ucieczce? I co ma włożyć? Kostium biurowy? Białe rękawiczki nie pasują do granatowo-białej jodełki. Nie miała sukni wieczorowej. Poza tym, w co ubierała się do pracy, miała jeszcze dżinsy, podkoszulki, kilka swetrów, ale absolutnie nic nie nadawało się do hotelu Plaża. Spojrzała na zegarek. Ósma godzina. Za późno na zakupy. Pozostaje tylko niedziela. Zdecydowała, że wybierze się na zakupy w niedzielę po południu. U Macy'ego nie znalazła nic, podobnie jak u Blóomingdale'a, i u Saksa. Nic jej nie zachwyciło. Zbyt wiele cekinów, za mało materiału. Nad chodził wieczór, była obładowana zabawkami i ubrankami dla Julie, lecz nie znalazła niczego dla siebie. Popadła w rozpacz. Rozbolały ją nogi. Wydawało jej się, że nie zrobi już ani kroku. I wtedy zobaczyła szyld z napisem „Jemioła”. W sam raz, pomyślała. Dziwne, że nie trafiła tu wcześniej. Na pewno by go zapamiętała.

Sklep udekorowany był jak na Boże Narodzenie. W końcu czerwca! Iskrzył się od wymalowanych na oknach wystawowych płatków śniegu. Przystrajały go

gałązki jemioli. Na drzwiach wisiał przyozdobiony mosiężnym dzwonkiem wieniec z gałązek sosny. Pośrodku stała choinka z kolorowymi lampkami. Kathleen wpatrywała się w białą aksamitną suknię bez rękawów. Ku jej zdumieniu, dziwnie do niej podobny manekin miał na rękach długie białe rękawiczki. Ubrana w taką właśnie suknię tańczyła z Makiem w marzeniach.

W środku pachniało choinką, miętą, cynamonem i gorącym jabłecznikiem. Oszołomioną zapachem i dekoracjami Kathleen otoczyli sprzedawcy, czterej mali ludkowie sięgający jej zaledwie do łokcia.

Odebrali torby ze sprawunkami, poczęstowali jabłecznikiem, zdjęli z nóg buty i wsunęli na stopy białe aksamitne pantofelki. Czują się w nich jak w papuciach, mogła swobodnie poruszać palcami. Szybko zmierzili jej talię, obwód bioder i biustu, a potem wzrost. Zdjęli z włosów gumkę i rozpuścili koński ogon. Ukryta za ciemnoniebieskim jak nocne niebo parawanem wymalowanym w delikatne białe śnieżynki, zdjęła džinsy i podkoszulek i wśliznęła się w suknię. Była cudowna w dotyku. Kathleen stanęła przed lustrem i zobaczyła, że czterej ludkowie uśmiechają się z zachwytem. Przejrzała się w lustrze. Czy ta piękna kobieta naprzeciw to naprawdę Kathleen Flannigan?

Nie pamiętała, czy zapłaciła za wspaniałą suknię, tak była przejęta tym, że udało jej się ją znaleźć. Obładowana paczkami opuściła sklep o piątej. Światła zgasły i sklep Jemiola stracił swój czarodziejski wygląd. Czy naprawdę istniał? Jeżeli nie, to jak to możliwe, że ona stoi tu, trzymając zielono-czerwone pudło z białą suknią i rękawiczkami?

Po co zastanawiać się, co jest możliwe, a co nie? Znalazła to, czego szukała, i to w samą porę.

Kathleen nie mogła zasnąć. Leżała i myślała o mężczyźnie, z którym miała się spotkać w poniedziałek. Pomimo źle przespanej nocy wkroczyła do biura w doskonałym nastroju, z uśmiechem, gotowa stawić czoło całemu światu. W poniedziałki wszyscy zawsze się spieszą; zebranie personelu o dziewiątej, stopy korespondencji, artykuły, projekty, telefony. Lunch z dziennikarzem o pierwszej, potem spotkanie z zespołem do spraw reklamy, a o piątej okropne spotkanie z O'Brienem. Nie miała na nie czasu, ale trudno było znaleźć jakiś wykręt. Czego od niej chciał?

Dokładnie za minutę piąta weszła do jego biura. Sprawiał wrażenie przygotowanego. Ona - nie.

Wyszedł zza biurka. Wyglądał wspaniale. Miał na sobie popielaty garnitur, wykrochmaloną koszulę, ciemnoczerwony krawat. Nie zapiął marynarki i trzymał lewą rękę w kieszeni spodni. Nigdy przedtem nie zwracała uwagi na jego buty, ale dziś włożył kowbojskie: z ciemnoszarej skóry, wypucowane i lśniące. Zmierzyła go wzrokiem od stóp do głowy, a potem spojrzała mu prosto w oczy. Zatkaną ją.

Wyciągnął do niej rękę.

- Coś do picia? Kawa? Herbata? Piwo?

- Nie. Nic, dziękuję.

Odsunął dla niej krzesło i przytrzymał, dopóki nie usiadła.

Sam zajął ciężki fotel za biurkiem, położył ręce na blacie i pochylił się do przodu.

- Zastanawiałem się, jak sobie pani radzi ze swoim pismem. Moi szpiedzy nie umieli mi nic powiedzieć.

- Nie widzę potrzeby nasyłania szpiegów. Odpowiem panu na każde pytanie.

- Czy piękną kobietę interesu zmieniono na czupiradło? Minęła dłuższa chwila, zanim Kathleen zorientowała się, że ma na myśli kobietę ze zdjęcia reklamowego.

- Po prostu na bardziej odpowiednią.

- Co pani rozumie przez bardziej odpowiednią? Kathleen spojrzała na zegarek.

- Przepraszam pana. Mam dzisiaj randkę i jeśli nie ma pan nic ważnego do powiedzenia, to naprawdę musimy już kończyć.

- To dla mnie bardzo ważne. Ale chciałbym porozmawiać o czymś innym - powiedział, stukając ołówkiem w blat biurka.

- O czym? - Zmarszczyła brwi.

- O tym, co powiedziała pani podczas naszej ostatniej rozmowy - odparł.

Kathleen spojrzała na niego zaintrygowana.

- Widzę, że pani nie pamięta - powiedział.

- Czy zechce mi pan przypomnieć?

- Z przyjemnością, wspomniała pani o naszej minionej przyjaźni i o tym, co się potem stało.

- Byliśmy przyjaciółmi - stwierdziła Kathleen patrząc mu w oczy. Dostrzegła tam jednak tylko wspomnienie dawnego ciepła. Odwróciła się, by wyjrzeć przez okno, ale nie dostrzegła nic poza sobą i Makiem sprzed lat. Obydwoje uważali wtedy, że mają rację, bez względu na temat sporu, i nie dawali za wygraną. Śmiali się z tego braku porozumienia. Potem Mac wyjechał do Europy, a po jego powrocie wszystko się zmieniło. Nie chciał z nią rozmawiać, a ona dała za wygraną. Całkowicie pogrążyła się w pracy i zajęła wychowaniem córeczki; Mac zniknął z jej życia. Widywali się bardzo rzadko. Być może teraz zechce z nią porozmawiać?

Kathleen przyjrzała się mężczyźnie, którego nigdy nie przestała podziwiać. Czy dojrzy na jego twarzy choć cień żalu za zmarnowanymi latami?

- Długo czekałam, by się dowiedzieć, co się stało. Możemy teraz o tym porozmawiać?

- Nie ma o czym mówić, Kath. Oboje zmieniliśmy się. Nie możemy cofnąć czasu, więc zapomnijmy o przeszłości i żyjmy dniem dzisiejszym.

- Skoro pan sobie tego życzy. - Spodziewała się usłyszeć coś innego, ale i tak nie chciała już myśleć o przeszłości.

- Czy wezwał mnie pan, aby właśnie to powiedzieć?

- A jak wyglądała przyjaźń między panią a moim ojcem? - wyrwało mu się. - Słyszałem, że dotrzymywała mu pani towarzystwa w czasie mego pobytu w Europie.

- Widywaliśmy się od czasu do czasu. - Cóż, u diabła, mogła mu opowiedzieć o jego ojcu? Czy to, że Patrick O'Brien uwielbiał syna i był zdruzgotany, gdy Mac wyjechał z kraju w towarzystwie Ashley Tate? - Czy chciałby pan usłyszeć coś konkretnego?

Mac potrząsnął głową.

- Nie byłem przy ojcu w ostatnim w okresie jego życia. Pani była. - Wstał od biurka i zbliżył się do półek z książkami. Na jednej z nich stała rzeźba Remingtona przedstawiająca konia i jeźdźca. Był to jeden z ulubionych przedmiotów starszego pana. Dotknął figurki, by poczuć się bliżej ojca.

- Chciałbym się chyba dowiedzieć, co robił.

- Bardzo za panem tęsknił.

- I dlatego zaprzyjaźniliście się?

Cóż za dziwaczne pytanie. Kathleen starała się odtworzyć ich pierwsze prywatne spotkanie.

- Ktoś powiedział mu, że dorastałam w Montanie. Byłam bardzo zaskoczona, gdy któregoś dnia wstąpił do mojego biura, by porozmawiać o życiu na zachodzie Stanów.

Kathleen podeszła do Maca. Patrzyła na oprawione w skórę pierwsze wydania książek i na tanie wznowienia kieszonkowe. Spędziła w tym gabinecie wiele godzin, towarzysząc Patrickowi O'Brienowi, pamiętała, jak wiele ich łączyło, gdy Mac przebywał za granicą. Sięgnęła po zniszczoną książkę.

- Pański ojciec lubił Louisa L'Amoura - powiedziała, przewracając strony. - A pan?

- Nie mam czasu na czytanie.

Kathleen odstawiała książkę na miejsce i podeszła do skórzanego fotela, który swego czasu zajmował ojciec Maca i na którym siedział, gdy rozmawiał z nią o synu, o tym, jak mu się nie podoba jego znajomość z Ashley Tate, i o tym, że chciałby, aby syn ustatkował się u boku kobiety, którą rodzina O'Brienów mogłaby polubić. Pogładziła skórę fotela.

- Lubiał słuchać o rancho, na którym wyrosłam. Opowiadał o polowaniach i łowieniu ryb, co uwielbiał, choć nie miał na to czasu. Rozmawialiśmy o starych westernach. Moim ulubionym aktorem był Randolph Scott, on wolał Johna Wayne'a. Lubiałam pańskiego ojca. Miło spędzaliśmy czas.

Mac przysiadł na skraju biurka i wziął do ręki jego fotografię.

- Po powrocie z Europy miałem mu tyle do powiedzenia, ale zabrakło okazji. To była Wigilia i w domu roило się od gości. Nie mogliśmy porozmawiać. - Mac spojrzał na Kathleen. - Pani wie, że zmarł w dzień Bożego Narodzenia, prawda? Kathleen skinęła głową.

- Gdy zmarł, wszystko to, co chciałem mu powiedzieć, straciło znaczenie. Gdybym nie wyjeżdżał, życie potoczyłoby się zupełnie inaczej.

- Nic by się nie zmieniło, Mac. - Kathleen stanęła obok niego i położyła mu rękę na ramieniu. Nie dotykała go od sześciu lat, ale jak dawniej poczuła, jakby przebiegł ją prąd. Zapragnęła go objąć i pocieszyć, ale bała się, że ją odepchnie.

I tak właśnie postąpił. Odstawił fotografię, podszedł do fotela i usiadł.

- Nie miałem zamiaru wspominać ojca. Cholera! Sam nie wiem, po co panią wezwałem.

- Kiedyś siedzieliśmy w pana biurze po prostu dla towarzystwa. Nie rozmawialiśmy. Pan zajmował się swoją pracą, a ja swoją. Pamięta pan jeszcze?

- Pamiętam. Ale to było dawno temu.

Czas wspomnienia minął. Betonowy mur wzniesiony przez Maca powrócił na miejsce.

- Nie odpowiedziała mi pani na pytanie - stwierdził. - Czy z czasopiśmie wszystko w porządku?

Jeśli chce rozmawiać o interesach, pomyślała Kathleen, rozmawiajmy o interesach. Lepsze to niż milczenie. Przynajmniej na początek.

- Mamy mnóstwo roboty z reklamą, ale poradzimy sobie. Wyraz jego twarzy złagodniał.

- Pamiętam, że miałem się nie wtrącać, ale jeśli będziecie czegoś potrzebować...

- Dziękuję. Poradzę sobie, Mac. Wiem, że pan w to nie wierzy, ale to prawda.

- Niech pani sobie nie myśli, że dałem swoje błogosławieństwo, nie wierząc w pani siły. Nie miałem żadnych wątpliwości, że doskonale sobie pani poradzi. - Opadł na oparcie fotela i przybrał surowy wyraz twarzy. - Proszę poważnie traktować tę sprawę, Kath. Chcę na tym zbić pieniądze. I chcę dać pani awans. Nie mam żadnych innych powodów, wyłącznie służbowe.

- W porządku. Wyłącznie służbowe. - Niech go szlag! Miała nadzieję, że uporają się z nie wyjaśnionymi problemami i znów zostaną przyjaciółmi. Jeszcze przed chwilą wydawało jej się, że są o krok od tego. Jakże się myliła. Ale zdobyła się na jeszcze jedną próbę. To, co ich łączyło, było zbyt cenne, aby poddać się bez walki.

- To znaczy, że nasza dawna przyjaźń nie wchodzi w rachubę?

Mac otworzył szufladę, pogrzebał w niej i wyciągnął teczkę. Położył ją na biurku, otworzył i przejrzał zawartość. Po chwili spojrzął na Kathleen z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- Wyłącznie kontakty służbowe, Kathleen. To wszystko.

- Zgoda. - Zdobyła się na uśmiech, wstała i zadawszy sobie wiele trudu, by wyglądać swobodnie, podeszła do drzwi. Położyła dłoń na klamce i odwróciła się, mając nadzieję, że ujrzy w jego oczach coś z dawnego Maca. Zawiodła się; z wielkim przejęciem studiował dokumenty.

O czym on tak myśli? Dlaczego otworzył się przede mną, a zaraz potem zamknął? To najbardziej denerwujący mężczyzna, jakiego znam.

Spojrzął na nią znad biurka.

- Życzy pani sobie coś jeszcze?

Cholera! Nie mogła dłużej powstrzymać irytacji. Gwałtownie otworzyła drzwi i zatrzasnęła je za sobą. Weszła do swego gabinetu, trzasnęła drzwiami jeszcze raz, padła na fotel i westchnęła, by pozbyć się rozsadzającej ją złości. Czym sobie zasłużyła na takie traktowanie? Mac zrobił się nieznośny i

cholernie ważny. Niepotrzebnie się nim przejmuję i daje się wyprowadzać z równowagi. Nie pozwoli jednak, by jego zgorzkniałość popsuła jej dzisiejszą randkę. Postanowiła dobrze się bawić.

Sięgnęła po aktówkę i otworzyła szufladę, by wyjąć torebkę. Jej wzrok padł na gazetę ze zdjęciem Maca i Ashley na przyjęciu u Pallenbergów. Straciła cały entuzjazm.

Niech go cholera, przeklinała bezgłośnie. Jak mogła zakochać się w takiej okropnej świni?

RS

Rozdział piąty

W barze hotelu Plaża aż się roilo od ludzi. Będzie miał szczęście, jeżeli nie spotka kogoś ze znajomych. Nie dbał o to, ale nie miał ochoty odpowiadać na pytania. Siedząc samotnie przy stoliku i czekając na spotkanie z nieznajomą, czuł się głupio. Trzeba mieć niedobrze w głowie, żeby w wieku czterdziestu dziewięciu lat szukać szczęścia za pomocą ogłoszenia w rubryce matrymonialnej.

Dokładnie siódma. Mac miał nadzieję, że kobiety, z którymi się umówił, będą punktualne, ale co będzie, jeśli zjawią się równocześnie? Dlaczego wyznaczył spotkanie tego samego dnia? Dlaczego w ogóle odpisał?

Zamyślony wpatrywał się w swoje piwo, nie zwracając uwagi na wchodzących ludzi. I wtedy usłyszał.

- Czy pan czeka na mnie?

Miała około metra pięćdziesięciu pięciu i nosiła krótkie białe rękawiczki. Jej oczy były wielkie i niebieskie.

- Witam. - Z trudem wydobył głos ze ściśniętego gardła i wstał, starając się nie wpatrywać w małą, ciemnowłosą kobietę. Jakoś udało mu się odsunąć krzesło dla osóбки, której obfity biust rozsadał niesłychanie krótką jaskrawo-czerwoną sukienkę ze sztucznego tworzywa. Zsunęła rękawiczkę i podała Macowi rękę.

- Mam na imię Hillary.

- Mac - wykrztusił, ujął jej dłoń i przytrzymał nieco dłużej, niż wypadało. Była ciepła. Jego zimna.

- Miło mi pana poznać - powiedziała, cofając rękę. Kobieta miała długie czerwone paznokcie.

Mac usiadł i przywołał kelnera.

- Co podać? - zapytał chłopak, wpatrując się w rowek między piersiami Hillary.

- Whisky. Bez niczego. Omal nie jęknął.

- A dla pana?

- Jeszcze jedno piwo. Nie. Zmieniłem zdanie. To samo, co pani. - Uśmiechnął się z trudem. Nie mógł przecież okazać się mięczakiem. Jeśli Hillary może pić samą whisky, on nie może być gorszy.

- Proszę mi opowiedzieć o sobie - rzekł, bo nie wymyślił na początek nic lepszego. Starał się nie spuszczać oczu z jej twarzy. Czuł się zakłopotany, mało tego, czuł się wręcz przygnębiony. Co gorsza, oglądał Hillary jak przedmiot - towar, nad którego kupnem właśnie się zastanawiał.

- Cóż - odrzekła i sięgnęła do małej białej torebki na kolanach. Poszperała w niej i wyciągnęła paczkę Marlboro.

Kelner przyniósł napoje w chwili, gdy wkładała papierosa do ust.

- Przepraszam, ale tu nie wolno palić. Uśmiechnęła się, przyłożyła palec wskazujący do jego ust.

- Tylko jeden szybki sztach? - zagruchotała błagalnie.

Kelner spojrział na różę, wytatuowaną na jej lewej piersi, zarumienił się, a potem wyjął zapalniczkę z rąk Hillary i położył na stole obok rękawiczek.

- Przykro mi - mruknął i odszedł, pozostawiając Maca sam na sam z Hillary.

- Szkoda gadać - powiedziała Hillary, machając nie zapalonym papierosem przed nosem Maca. - Obrzydliwy nałóg, ale nie mogę się go pozbyć.

Patrzył, jak kobieta otwiera torebkę i wrzuca do środka powalany szminką papieros; zwalczył obrzydzenie i spróbował nawiązać rozmowę.

- Miała mi pani opowiedzieć o sobie.

- Dobrze. - Pociągnęła łyk whisky i oblizała ciemnoczerwone usta. - Nie pochodzę z Nowego Jorku, ale to już pewnie pan odgadł po moim akcencie.

Nie, nie odgadł. Był zbyt zajęty, starając się nie dostrzegać jej pospolitych manier i skoncentrować się na małym, zadartym nosku. Długie, grube czarne rzęsy. Czarne włosy a la Liza Minelli. I ta wytatuowana róża, powiększająca się przy każdym wdechu.

- Chcę zostać aktorką - powiedziała. - Ale nie mam szczęścia. Danny, mój impresario, mówi, że mam wielkie możliwości.

- Naprawdę? - Mac ziewnął.

- O, tak. Właśnie wczoraj miałam przesłuchanie. Reżyser powiedział, że z moim wyglądem mogę zostać prawdziwą gwiazdą.

- Rozumiem. - Przyjrzał się Hillary. Na pierwszy rzut oka, w przyćmionym świetle, wyglądała wspaniale. Ale przy bliższych oględzinach zauważył zmarszczki wokół ust, grubą warstwę pudru i mnóstwo tuszu na rzęsach. Skończył piwo i zabrał się do whisky.

- Tak. Muszę się panu przyznać, że ma to być nisko-budżetowy film. Rozumie pan, taki, w którym porządna dziewczyna nie powinna występować. Chciałabym zostać gwiazdą, ale facet naprzykrza mi się.

- Może powinna się pani trzymać od niego z daleka.

- Cóż, Danny naopowiadał producentowi, że nie jestem zainteresowana.

- Może powinna pani zmienić agenta.

- Nie. Danny jest w porządku.

Dopiła whisky. Mac poszedł w jej ślady. Musiał przytępić zmysły, aby przebrnąć przez rozmowę z Hillary.

- No, a co u pana? - zapytała. - Po co zamieścił pan ogłoszenie?

- Założyłem się. - Jeżeli przyzna się, że poszukuje idealnej żony, ona uzna go za wariata i prawdopodobnie będzie miała rację. Wystarczy przecież spojrzeć na nią.

- Tak właśnie myślałam. Rozumie pan, całe to gadanie na temat prezentów i choinki. Podobała się panu moja odpowiedź?

- Bardzo sprytna.

- No cóż. Już jej parę razy użyłam. - Sięgnęła po torebkę i rękawiczki. - Dobra, Mac. Dziękuję za drinka, ale nie jestem zainteresowana. Rozumie pan, jest pan dla mnie odrobinę za stary i, cóż, muszę już lecieć.

Mac wstał. Nie zdążył odsunąć jej krzesła. Popędziła jak wiatr. On także najchętniej by uciekł, zniknął, zanim nadejdzie kolejna kobieta.

Wypił jeszcze jedno piwo i spojrział na zegarek. Nie spodziewał się nikogo przed ósmą, ale gdy weszła o siódmej trzydzieści, nie był zaskoczony. Miała płomiennie czerwony kapelusz i krótką, obcisłą czarną sukienkę. Wszyscy mężczyźni odprowadzili ją wzrokiem, gdy przeszła powoli przez salę i zajęła miejsce przy barze, zdejmując białe rękawiczki.

Mac ostrożnie zbliżył się do baru, ściskając w dłoni piwo. Stał obok kobiety i oparł nogę na podpórcę jej stołka.

- Wydaje mi się, że pani czeka na mnie. Spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie rozumiem, pan mówi do mnie? Zaczął podejrzewać, że się pomylił.

- Mężczyzna z gałązką jemioly. - Dotknął kłapy marynarki. Zmarszczyła brwi.

Uśmiech zastygł mu na wargach.

- Musiałem się pomylić.

- Z całą pewnością - odrzekła, mierząc go od stóp do głów. - Jest pan za wysoki, nie lubię wysokich mężczyzn. I nienawidzę jemioly. - Zrzuciła torebkę na ramię i odeszła, rezygnując z napoju, który barman właśnie jej nalał.

- Zapłaci pan? - spytał barman.

Mac sięgnął do kieszeni, rzucił pięciodolarowy banknot na bar i odszedł, nie czekając na resztę.

Nie rozglądając się, wrócił do stolika. Wszystkie oczy śledzące kobietę w czerwonym kapeluszu teraz skierowały się na niego. Merry go popamięta. Jak mógł jej ulec? I co jeszcze go czeka?

Spojrział na zegarek. Siódma trzydzieści pięć. Jeszcze dwadzieścia pięć minut. Jeżeli się nie zjawi do pięć po ósmej, odejdzie.

Kelner postawił przed nim następne piwo.

- Oczekuje pan jeszcze kogoś? - zapytał.

- Tak.

- Czy mam podać piwo, gdy nadejdzie?

Mac zastanawiał się przez chwilę, a potem skinął głową.

- Tak, to dobry pomysł.

Kathleen spojrzała na zegar. Siódma trzydzieści pięć.

O mój Boże. Spóźnię się, pomyślała. Jak mogła zużyć tyle czasu na prysznic, skropienie wodą kolońską i poczernienie tuszem i tak ciemnych rzęs.

Rozpuściła włosy, które opadły na plecy długimi pasmami. Stała przed lustrem i westchnęła. Jak może pójść w tym stroju? Suknia była za krótka, zbyt obcisła i nadmiernie wycięta. Wszystko, wszystko źle. Ale było za późno na jakiegokolwiek zmiany, a poza tym nie miała nic innego.

Wsunęła stopy w pantofle na wysokich obcasach modląc się, by mężczyzna z ogłoszenia miał więcej niż metr osiemdziesiąt wzrostu. Przeszukała stos ubrań na łóżku i znalazła torebkę. Wrzuciła do niej szminkę, portfel i szczotkę do włosów. Autobusem nie zdąży. Po raz ostatni spojrzała w lustro, pokazała język, wykrzywiła się, chwyciła rękawiczki i wybiegła z mieszkania.

Tym razem zjechała windą.

Ulice zapchane były pojazdami. Szybko. Nie chciała się spóźnić i stracić randki. Nigdy by sobie tego nie wybaczyła.

Niepokoiliła się na myśl o tym, jak stanie w barze hotelu. Sama i wyzywająco ubrana. Personel może ją wziąć za... wiadomo kogo.

Taksówka zbliżała się do hotelu. Kathleen jeszcze raz umalowała usta, sprawdziła tusz na rzesach, zapłaciła kierowcy, odetchnęła głęboko i wbiegła do hotelu.

Stała w holu piękna i oszołomiona. Na szczęście boy przyszedł jej z pomocą i wprowadził do baru.

Pięć po ósmej. Sala wypchana po brzegi. Jakże odnajdzie mężczyznę z gałązką jemioli w klapie? I nagle przy odległym stoliku rozpoznała McKenna CTBriena. Cholera! Co on tutaj robi? Co będzie, jeśli ją zobaczy? Co ona mu powie? I dlaczego ma się spotkać z obcym mężczyzną, a nie z nim?

Może jej nie zauważy. Taki tu tłok i tak ciemno. Zmrużyła oczy, przyglądając się swojemu szefowi. O, Boże! On ma jemiolę w klapie!

- Przepraszam pana - powiedział kelner - ale wydaje mi się, że jest następna.

Mac przełknął piwo, odwrócił się w stronę wejścia i zobaczył tylko tłum bez twarzy.

- Gdzie?

- Wysoka, w białej sukni. Ma białe rękawiczki, tak samo jak pozostałe.

Mac zobaczył tylko nogi, najwyraźniej wychodziła.

- Niezłe nogi - powiedział z figlarnym uśmiechem.

- Nie tylko, nie widział pan najlepszego.

- Jeszcze jedno piwo. Zaraz wracam. - Zachwiał się wstając i omal nie przewrócił krzesła.

Kobieta rozpaczliwie przepychała się do drzwi, lecz Mac nie po to czekał cały wieczór, by teraz pozwolić jej uciec. Dał nura w tłum, wyciągnął rękę i położył dłoń na jej ramieniu.

- Proszę nie odchodzić.

Starła się wymknąć, ale chwycił jej rękę. Poczuł, jak jej mięśnie napinają się, a potem rozluźniają. Stała odwrócona plecami, mógł więc swobodnie przyjrzeć się jej opiętemu białą suknią ciału - wąska talia, krągłe biodra i długie, długie nogi.

Spojrzał na jej wysokie szpilki, a wtedy ona się odwróciła. Powoli studiował jej ciało, zanim spojrzał prosto w oczy.

Ogłoszenie mówiło o niewielkich pakunkach, ale po tym, co zobaczył, zmienił zdanie. Zachwycił go każdy centymetr jej nóg, a wysokie obcasy jeszcze dodawały im urody; kobieta miała w nich co najmniej metr osiemdziesiąt wzrostu. Podobały mu się jej długie, smukłe ramiona i wyobrażał sobie, że go obejmują. Och, ta kobieta była jeszcze wspanialsza niż ta, którą sobie wymarzył.

Przyglądał się jej czując, że teraz i ona patrzy na niego. Wiedział, że powinien spojrzeć jej w twarz. Długie pasmo kasztanowych włosów opadło na odsłonięte ramię. Użyła odrobiny wody kolońskiej, czegoś lekkiego, niedrogiego. Niebieskie oczy. Błękitne, ciepłe, pytające. Znajome.

- Witam pana, panie O'Brien.

Powoli, bardzo powoli przychodził do siebie. Zacisnął palce wokół jej ramienia.

- Cholera! - Skrzywił się, puścił ją i odszedł. Dlaczego z wszystkich kobiet właśnie ona musiała odpowiedzieć na jego ogłoszenie? Mógł się domyślić. Powinien odgadnąć po tym, co napisała.

Dotknęła go. Poczuł ciepło jej dłoni przez marynarkę i koszulę.

- Proszę poczekać - powiedziała łagodnie, niemal błagalnie. Odwrócił się i przyjrzał jej twarzy. Oczy Kathleen lśniły.

O, Boże, jak on kochał te oczy.

Trzymając jej dłoń, poprowadził ją przez tłum do stolika. Kelner stał, przytrzymując krzesło. Mac usiadł naprzeciw kobiety. Pociągnął łyk piwa z butelki i zajrzał w jej niewinne, a jednak diabelskie oczy. Serce i rozum toczyły walkę. Cieszył się, że ją widzi, pomimo paskudnych plotek, które o niej krążyły. Mimo że zaledwie kilka godzin temu trzasnęła drzwiami, wychodząc z jego biura. Ale jak mógł patrzeć jej w oczy, skoro wiedziała, że dał ogłoszenie do gazety? Jego duma cierpiała.

- Co pani tu robi, u diabła?

- Jest ósma. Mamy randkę.

- Nie... ja mam randkę z... - Przerwał i zastanawiał się, co powiedzieć. Jej uśmiech był zaraźliwy. Kathleen także uciekła się do pomocy ogłoszeń.

- Mam randkę z piękną kobietą, cieszę się, że przyszła.

- Dziękuję.

Patrzył na jej delikatną, lekko opaloną skórę. Przyzwoitość nakazywała odwrócić wzrok; piwo dodawało odwagi.

- Dlaczego chciała pani uciec? - zapytał.

- Cała ta sytuacja jest raczej kłopotliwa. - Mój Boże, Mac, nie możemy wytrzymać pięciu minut bez kłótni, a odnaleźliśmy się dzięki ogłoszeniu.

- Zabawne.

- Zabawne? To... upokarzające.

- Ale poza nami nikt o tym nie wie. Nie musimy nikomu mówić.

- Chyba ma pan rację - zgodziła się po chwili zastanowienia. A zresztą, zanim wieczór dobiegnie końca, możemy się znienawidzić.

- Albo się okaże, że odpowiadamy sobie. Muszę przyznać, że gustuję w pani ozdobnych kształtach i smukłych gałązkach. - Roześmiał się. Chciał się skoncentrować na jej twarzy i uśmiechu, ale oczy miał rozbiegane. W Kathleen było zbyt wiele do oglądania.

- W ogłoszeniu zastrzegą pan sobie wyłącznie małe paczuszki.

- Przelotna fantazja.

- Zmienił pan zdanie?

- Coś w tym rodzaju.

- Cieszę się - powiedziała powoli, zsuwając jedną z rękawiczek i nie spuszczać z niego wzroku. - Trzy godziny temu uznałam pana za świnię.

- Mnie? - Uśmiechnął się. - Bywam nieznośny. Ale od razu świnią? Nie.

Patrzył, jak zdejmuje rękawiczkę - zobaczył smukły nadgarstek i długie palce bez pierścionków. Nie mógł uwierzyć, że taki nieskomplikowany gest może być aż tak uwodzicielski. Potem znów spojrzał jej w oczy.

- Wygląda pani pięknie. Ledwie panią poznałem.

- Nigdy mi się pan nie przyglądał.

- Myli się pani. W swoim czasie przyglądałem się bardzo dokładnie. Kiedy pracowaliśmy do późna nad pani szalonymi pomysłami. Cholera. Nigdy nie zapomnę pani nóg w wyblakłych dżinsach.

Potrząsnęła głową.

- To było dawno temu.

- Tak, ale w ciągu ostatnich tygodni wiele o pani myślałem.

- Dlaczego? Po tylu latach?

- Sam nie wiem. Kilka tygodni temu skończyłem czterdzieści dziewięć lat. Zdałem sobie sprawę, że straciłem z Ashley mnóstwo czasu, i w końcu zdobyłem się na to, aby z nią zerwać.

Oczy Kathleen rozszerzyły się ze zdumienia.

- Naprawdę? - spytała z uśmiechem.

- Poczulem, że pragnę czegoś więcej, i nagle przypomniały mi się nasze wspólnie spędzone chwile. To były dobre czasy, Kath.

Skinęła głową.

- Wszyscy byli zdziwieni, gdy pojawił się pan na zebraniu. Tyle lat nie pokazywał się pan. Niektórzy zapomnieli o pańskim istnieniu.

- A pani? - zapytał, mając nadzieję, że ona o nim nie zapomiała.

Lecz Kathleen milczała, wpatrując się w jego palce zaciśnięte na butelce z piwem. Podniósł butelkę do ust, a oczy Kathleen powędrowały ku górze.

- Nigdy o panu nie zapomniałam - powiedziała, a on z wrażenia omal się nie zakrztusił. Właśnie to pragnął usłyszeć, ale nie spodziewał się, że jej słowa zabrzmiały aż tak cudownie.

- Ja także o pani nie zapomniałem - przyznał, wspominając dawne, dobre czasy i starając się nie myśleć o plotkach, które zatruwały słodkie wspomnienia. - Nie mógłbym pani zapomnieć.

Kathleen westchnęła, a potem wstrzymała oddech; Macowi wydało się, że w jej oczach zabłyśły łzy. Ale to niemożliwe. Kathleen przecież nigdy nie płakała. Szybko zmienił temat, pomyślał.

- Miała pani rację mówiąc, że nie lubię pracy wydawniczej. Dlatego przerzuciłem się na handel nieruchomościami. I nie chciałem widywać pani. Jeździć po kraju, kupować posiadłości, to o wiele bardziej podniecające niż tkwić za biurkiem.

- Czy to nie dziwne? - Roześmiała się. - Ja kocham Nowy Jork, a pan nie może się doczekać, żeby stąd uciec.

- Wydaje mi się, że można sporządzić długą listę różnic między nami. - Przeciągnął palcem po smudze, którą pozostawiła na stole butelka. - Jeden: ja jestem konserwatystą, pani liberałem...

- Dwa - przerwała mu. - Ja jestem kobietą, a pan mężczyzną. - Narysowała palcem linię i spojrzała na niego z uśmiechem. - Różnice nie zawsze są złe, prawda?

Cholera! Ze też ona ma taki piękny uśmiech! Oderwał wzrok od jej czarodziejskich oczu i ust, spojrzał na złożone na stole ręce, na palce kreślące kółka. Chciał jej dotknąć, ale musnął tylko jej rękawiczki. Podniósł oczy. Już się nie uśmiechała.

- Flirtowanie może być niebezpieczne, Kath - wyszeptał. - Może doprowadzić do czegoś, czego się potem żałuje.

Potrząsnęła głową.

- Bardzo rzadko czegoś żałuję. I nigdy nie żałowałam chwil spędzonych z panem.

Mac zmarszczył czoło i łyknął piwa.

- To szaleństwo. My dwoje, razem, to nie może się udać. Będziemy się kłócić. Będziemy walczyć.

- Mam nadzieję. - Lekko, trochę niepewnie przykryła dłonią jego palce. - Dzięki temu życie nie jest nudne.

Mac cofnął rękę i skinął na kelnera.

- Jeszcze jedno piwo. A dla pani?

- Już pan zapomniał. Ja nie piję.

- Co... - Mac podniósł rękę, aby nic nie mówiła. - Colę niskokaloryczną dla pani. - Przypomniał sobie jej ulubiony napój. Nie pamiętał natomiast, ile sam wypił tego wieczoru. Poczul pierwsze zawroty głowy i zdał sobie sprawę, że jeśli nie będzie się miał na baczności, wypije zbyt wiele.

Na szczęście Kathleen nic nie zauważyła. Rozluźnił krawat i rozpiął guzik koszuli. Podniósł butelkę do ust, ale Kathleen złapała go za rękę.

- Wydaje mi się, że wypił pan dość. Więc jednak zauważyła.

- To prawda. - Westchnął i z niesmakiem potrząsnął głową. - Przepraszam, Kath. Ostatni raz wypilem tyle jeszcze na studiach.

- Ten wieczór nie był łatwy - powiedziała, a jemu spodobał się sposób, w jaki usprawiedliwiła jego postępowanie.

- Zwykle nie wysiaduję w barach, czekając na kobiety.

- A jak często daje pan ogłoszenia?

- To był pierwszy i ostatni raz. A pani? Dlaczego pani odpowiedziała?

Kathleen spojrzała na gałązkę jemioli w klapie, a potem w oczy Maca.

- Chciałam zobaczyć coś to za arogancki, pozbawiony pewności siebie mężczyzna mógł dać takie ogłoszenie.

- Arogancki? Niepewny siebie? To nie ja.

- Owszem, Mac. To pan. Roześmiał się.
- Nie śmiałem się od dawna. To bardzo przyjemne. - Poczuł, że wcale nie czuje się dobrze. Bolała go głowa. Burczało w brzuchu. Kiedy jadł po raz ostatni? Wczesnie rano. Rozmasował sobie kark. Był zimny i wilgotny.

- Coś nie tak? Żle pan wygląda - powiedziała z troską.

- Czuję się świetnie. Po prostu wspaniale. - Starał się wyglądać przytomnie. Nigdy w życiu się nie upił. Dlaczego musiało się to zdarzyć w obecności Kathleen?

Czoło pokryły mu kropelki potu. Jeżeli je wytrze, zwróci na siebie uwagę. W sali panował upał nie do zniesienia. Rozpiął jeszcze jeden guzik. Poczuł chłodny powiew klimatyzacji. To go orzeźwiło. Ale tylko na chwilę.

- Tu jest piekielnie gorąco. Pójdziemy gdzie indziej? Umieram z głodu. Może zjemy kolację?

- A więc chce pan, żeby to była prawdziwa randka? Skinął ostrożnie głową bojąc się, że spadnie z krzesła.

Przywołał kelnera.

- Dziękuję za pomoc - powiedział powoli, niemal rozwlekle.

- Cała przyjemność po mojej stronie, sir.

Mac wstał i sięgnął do kieszeni. Wyjął z portfela studolarowy banknot.

- Reszta dla pana - powiedział.

- Dziękuję. - Kelner oglądał banknot z uśmiechem zadowolenia. - Mam nadzieję, że znów się spotkamy, sir.

Mac wziął Kathleen pod rękę.

- Chodźmy stąd. - Miał zamiar wyprowadzić ją z sali, ale z niezadowoleniem poczuł, że to ona go prowadzi. Gorące powietrze zatkało go. Zmęczenie i alkohol paraliżowało mu nogi, ramiona i szyję, jeszcze trochę, a obejmie głowę. Poczuł falę mdłości.

- To prawda. Żle się czuję. Może dadzą nam pokój i zamówimy kolację?

Kathleen przystanęła nagle.

- Pokój tutaj? Cóż to za randka?

- Przysięgam, że mam uczciwe intencje.

- Dobrze, ale niech pan sobie nic nie wyobraża.

Mac oparł się o kontuar, podczas gdy recepcjonista szukał klucza do apartamentu. Czuł się tak, jakby przez wiele godzin jeździł na karuzeli. Usta i język miał zdrtwiałe.

- Pański klucz, sir.

Dlaczego recepcjonista przygląda mu się tak dziwnie? Dlaczego Kathleen tak mocno otacza go ramieniem? Dlaczego ludzie gapią się na niego?

Wydawało mu się, że jazda windą nie skończy się już nigdy. Zdjął marynarkę i rozwiązał krawat. W windzie było gorąco. Duszno, bardzo duszno. Wyciągnął ze spodni koszulę i rozpiął ją do końca. Potrzebował powietrza. Musiał się położyć.

Usłyszał dzwonek; winda stanęła, drzwi otworzyły się.

- Drzwi są na prawo - powiedział, ale Kathleen poprowadziła go na lewo.

- Co pan zrobił z kluczem?

Usłyszał jej głos: daleki, przytłumiony. Chciał spać. Ale żeby ona była przy nim. Czy zastanie ją w łóżku, gdy się obudzi?

- Jest chyba w kieszeni. - Pulsowało mu w głowie. Ścisnął palcami skronie. Jak to możliwe, że czuł rękę w kieszeni, podczas gdy obie ręce miał zajęte? I dlaczego to było takie przyjemne?

Kathleen otworzyła drzwi i wprowadziła go do środka. Rzucił marynarkę na fotel. Objęły go ciepłe ramiona. Poczł miękkość jej piersi. Zaprowadziła go do sypialni. Zdjęła z łóżka narzutę. Podeszła do niego, a on przyciągnął ją do siebie.

RS

Rozdział szósty

- Chodź, Mac, położę cię do łóżka. - Kathleen poczuła, że jego bezwładne ciało nabrało życia i trochę z nią współpracuje.

- Och, Kathy. Och, Kathy - wymamrotał i otoczył ją umięśnionymi ramionami. Pomyślała, że chyba postradał zmysły i że gdyby była szantażystką, mogłaby uzyskać od McKenna O'Briena wszystko, czego by zażądała.

Nie próbowała go odepchnąć, gdy przeciągnął dłońmi wzdłuż jej pleców i zaczął pieścić pośladki. Zrecznie poprowadziła go do łóżka, a potem spróbowała się wyrwać. Nie udało się, razem padli na łóżko i Mac, nie zwalniając uścisku, wczołgał się na nią. Głaskał jej włosy, odgarniając je z szyi, i gorącymi, wilgotnymi ustami całował jej ucho.

Czy naprawdę chciała mu się wyrwać? Na początku odpychała go, potem jej pełne wahania palce zaczęły badać każdy centymetr napierającego na nią ciała. Nie była pewna, co czuje.

Wyzbyła się wszelkiej niepewności i pozwoliła działać palcom, pełna podziwu obmacywała mięśnie jego szerokich ramion.

Poczuła ciepłe wargi zsuwające się powoli zza ucha, wzdłuż szyi aż do obojczyka. Przebiegł ją dreszcz.

- Boże, jakaś ty piękna - wyszeptał i zrecznie uniósł się nad nią. Pogładziła jasne włosy na klatce piersiowej nad mięśniami płaskiego, twardego brzucha.

Powoli opuścił się na rękach, aż ich ciała się zetknęły. Nogi, biodra, klatki piersiowe. Poczuła pożądanie, namiętność i pragnienie.

Dotknął ustami jej piersi i wędrował ku górze, ku ustom. Otworzył oczy; Kathleen spojrzała w ich przydymiony błękit. Nigdy nie widziała ich tak blisko. Opuścił powieki i całował jej policzek i ucho. Mac położył głowę na ramieniu Kathleen; poczuła oddech muskający szyję, a potem ciężar jego ciała.

Oddech Maca stawał się coraz głośniejszy. Wreszcie otworzył usta i zachrapał.

Jak, do diabła, mógł zasnąć w takiej chwili? - złościła się.

Odepchnęła go i wysunęła się spod niego. Miała ochotę okładać go pięściami, wrzeszczeć i wyć. Podniecił ją, a potem zasnął, gdy jej zmysły domagały się zaspokożenia.

Kathleen wyciągnęła się na kanapie i przeglądała menu zastanawiając się, co zamówić. Mac zaprosił ją na kolację. Nie zrezygnuje z niej, mimo że zasnął i chrapie tak, że umarłego postawiłby na nogi.

Spojrzała na zegarek i stwierdziła, że służba hotelowa kończy pracę za pół godziny. Postanowiła poczekać jeszcze parę minut, dając mu szansę. Jeżeli się nie zbudzi, sama zamówi kolację i zje ją bez niego.

Przeżywała w myślach każdą chwilę tego spotkania od momentu wyjścia z baru. Kiedy ją wzięło? Chyba wtedy, gdy włożyła mu rękę do kieszeni spodni, aby poszukać klucza.

Trzymać rękę w kieszeni męskich spodni. To takie osobiste, intymne przeżycie. Tak tam ciepło. Ciasno. Blisko. Od chwili, gdy zobaczyła Maca po raz pierwszy na okładce pisma „Fortune”, minęło już dziesięć lat. Od tamtej pory pobudzało ją każde jego słowo, uśmiech, spojrzenie...

Czy on naprawdę uważa, że jest piękna? Był pijany. Robił rzeczy, na które nie pozwoliłby sobie na trzeźwo. Wielki McKenna O'Brien stracił kontrolę nad sobą. To ją niepokoiło, ale w pozytywnym znaczeniu tego słowa. Podobała jej się wrażliwość Maca. Czyniła go ludzkim. Ale Kathleen podejrzewała, że nie wszyscy podeszliby do tego tak jak ona.

Jak zareagują ludzie, którzy widzieli ich w holu, jak Mac zwisał na jej ramieniu? Czy nie przechodził tamtędy Reginald Morgan, księżę pornografii? A Annabella Adams, największa plotkara w Nowym Jorku? Czy nie napisze o wyczynach McKenna O'Briena w towarzystwie tajemniczej kobiety?

Dość rozmyślań. Z głodu burczało jej w brzuchu. Podniosła słuchawkę, by wezwać obsługę.

- Proszę złożyć zamówienie - usłyszała uprzejmy głos.

- Co my tu mamy? - Przesuwała palcem po menu. - Półmisek z homarami, krabami i krewetkami na zimno. Brzmi zachęcająco. I... nie, to nie wszystko. Jeszcze fettucine Alfredo. Gorące bułeczki i masło. Półmisek ciasteczek. Wolę czekoladowe. Co? Och, dwie osoby. Cóż, dzbanek z czarną kawą, mleko, kilka puszek niskokalorycznej coca-coli i wiaderko lodu. To chyba wszystko. Tak. Dziękuję.

A teraz obudzić Maca.

Nie zamknęła drzwi sypialni na wypadek, gdyby czegoś potrzebował. Już nie chrapał. Przy łóżku świeciła się słaba lampka. Siedział z twarzą ukrytą w ramionach opartych na kolanach. Włosy miał w nieładzie, koszulę rozchełstaną.

- Cześć. - Oparła się o framugę, uśmiechając do mężczyzny, którego dotyk palił jej skórę.

- Kolacja zapowiada się interesująco - powiedział sztucznie rozbawionym tonem. Spróbował się uśmiechnąć.

- Myślę, że ci się spodoba. Zamówiłam wszystkiego po trochu.

- Wydaje ci się, że będę mógł coś przełknąć?

- Nie jestem pewna, ale mam nadzieję, że nie będę musiała zjeść wszystkiego sama. - Podeszła do łóżka i usiadła na brzegu. Wolą trzymać się w bezpiecznej odległości, chociaż wiedziała, że teraz jej nie tknie. Prawdopodobnie nie pamięta już, co się zdarzyło.

- Lepiej ci? - spytała, poprawiając sobie włosy. Zakładała je za uszy, a one ciągle się wymykały i opadały na policzki.

- Nie bardzo. Czuję się jak idiota. - Spuścił stopy na podłogę i ostrożnie wstał. Nogi ugięły się pod nim, ale tylko na chwilę. - Czy zrobiłem jakieś głupstwo? Kathleen zastanawiała się odrobinę za długo.

- Co zrobiłem?

- Nic, o czym warto by wspominać. - Nie miała ochoty roztrząsać tego, co zaszło, nie chciała, by zmuszał ją do odpowiedzi. Nigdy mu nie powie, co zrobił ani jak bardzo jej się to podobało. Patrzyła, jak idzie do łazienki.

- Boże, mam nadzieję, że mają tu szczoteczkę do zębów - powiedział, grzebiąc w koszyku pełnym różności, dopóki nie znalazł tego, co było mu potrzebne. - Odwrócił się i uśmiechnął do Kathleen, pokazując swoje skarby. - Zaraz będę gotowy. Jeżeli przyniosą kolację, nie zjedz wszystkiego sama. - Zamknął drzwi, a Kathleen wróciła do salonu, akurat w momencie, gdy rozległo się pukanie.

Mac przejrzał się w lustrze. Wyglądał okropnie. Bolały go mięśnie, w głowie mu pulsowało. A Kathleen pytała, czy czuje się lepiej. Lepiej niż kto? Jeździec, którego właśnie zrzucił i skopał koń? Tak właśnie się czuł. Jak będzie mógł spojrzeć jej w oczy, gdy wyjdzie z łazienki? Co miała na myśli mówiąc, że nie zrobił nic, o czym warto by wspominać? Co on takiego zrobił? Nie dowie się tego, stojąc w łazience i rozmawiając ze sobą. Musi stawić jej czoło. Teraz.

Stanął w progu i milczał. Spojrzał na kasztanowłosą piękność. Nadal miała na sobie tę obcisłą suknię, która uwypuklała jej kształty. Miał ochotę jej dotknąć. Jakiś głos wewnętrzny mówił mu, że już jej dotykał, ale tego nie pamiętał. A przecież pamięta się dotknięcie kogoś tak pięknego. Pochylała się nad stołem, próbując wszystkich potraw. Wyglądała wspaniale, zwłaszcza jej długie białe nogi. Najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy z jego obecności. Oblizywała palce, nucąc cicho w takt łagodnej muzyki. Kołysała biodrami i podrygiwała rytmicznie. Poczul ściskanie w gardle.

- Wygląda zachęcająco - powiedział oczarowany. Kathleen odwróciła się i uśmiechnęła. Ciągle się uśmiechała. Jej oczy lśniły.

- Lepiej wyglądasz. - Roześmiała się.

Pomyślał, że w pokoju jest chłodno, ale ona ma w sobie wystarczająco wiele ciepła.

- Czy mogę się przyłączyć? - Czekał na jej zaproszenie.

- Oczywiście. - Kathleen przestała patrzeć mu w oczy i jej wzrok powędrował ku rozpiętej koszuli Maca. Poprawiła poduszki na kanapie.

- Siadaj, a ja ci podam talerz.

- Nie wiem, czy coś przełknę - powiedział, sadowiac się na kanapie i nie spuszczać oczu z pięknego zarysu jej pleców i pośladków.

- Wspaniale jedzenie. Z pełnym żołądkiem poczujesz się znacznie lepiej.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz.

Kathleen uknęła przed nim na podłodze, trzymając talerze w obu rękach. Jeden podała Macowi. Sięgając po swoją porcję, musnął palcami jej dłoń. Poczul mrowienie i słabość w nogach. To czarownica. Inaczej nie umiał sobie tego

wytłumaczyć. Boże, pomyślał, najpierw zjawia się mała staruszka wprost z pracowni Świętego Mikołaja, a teraz ta wiedźma rzuca na mnie urok.

Potrząsnął głową, by pozbyć się myśli o rumianych staruszkach i czarownicach. Kathleen nie spuszczała z niego oczu.

- Myślałam, że już ci lepiej.

Zanurzyła kawałek homara w srebrnym naczynku z topionym masłem, a potem powoli odgryzła ociekający tłuszczem kęsek. Mac nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, otarł palcem kroplę masła spływającą z jej dolnej wargi, po czym podniósł go do ust i oblizał do czysta.

- Czuję się coraz lepiej. - Patrzył na falującą pierś Kathleen. Na jej powolny, głęboki oddech.

Co ja robię, do diabła? - Zastanawiał się co ona wyprawia? Odwrócił od niej wzrok. Parę godzin temu wrzeszczeli na siebie, a teraz marzy wyłącznie o tym, by wziąć ją w ramiona i całować, dopóki nie zapomni o wszystkich swoich lękach i wątpliwościach.

- Powinieneś spróbować fettucine - powiedziała, przerywając jego tok myślenia, i czar prysnął.

- Czy ty zawsze tak dużo jesz? - zapytał.

- Tak. Ale przy moim budzecie zwykle jadam hot-dogi i masło orzechowe. Choć myślę, że mogłabym przywyknąć do takich luksusów. Weź talerz. - Nadziała na widelec kraba i krewetki i wsunęła mu do ust. Może nie robiła tego celowo, ale zmysłowość tego gestu odniosła skutek.

Mac wstał z kanapy i nałożył sobie więcej jedzenia na talerz. Spojrzał na zwiniętą u jego stóp kobietę. Czy ośmieli się usiąść koło niej? Przetastował napoje i tace z jedzeniem na niski stolik.

- Zaoszczędzimy sobie wstawania - powiedział i podszedł do kominka. Zastanawiał się, czy go nie włączyć, ale doszedł do wniosku, że jest wystarczająco ciepło.

Czuł na sobie wzrok Kathleen. Milczała. Co on teraz zrobi? Może odejść. Może usiąść na podłodze obok niej. Może wrócić na kanapę. Zdecydował się na krzesło przy niskim stoliku. Uznał, że tak będzie najbezpieczniej.

- Budzę w tobie niepokój, prawda? - spytała.

- Tak.

- Ale w pracy jesteś spokojny.

- To co innego.

- Dlaczego? Bo panujesz nad sytuacją?

- Zawsze panuję nad sytuacją... hm... w każdym razie, jeśli chodzi o pracę.

- Wolę, jak jesteś taki - wyszeptała miękko i czule.

Co sprawia, że wydaje mu się taka zmysłowa? Głos, gesty, sposób, w jaki oblizuje wargi? Odstawił talerz i wstał. Podszedł do termostatu i nastawił go na niższą temperaturę. Powiało chłodniejsze powietrze.

Sięgnął po telefon, aby zamówić piwo, ale powstrzymał się czując nieustające pulsowanie w skroniach. Cholera! Przy niej czuł się jak szesnastolatek, młody,

niepewny, który chciałby, a się boi. Do diabła! Czyż nie tego właśnie pragnął? Dość rutyny. Trzeba zacząć nowe życie. Poczuć się młodym i impulsywnym. Zbliżył się do Kathleen. Starał się opanować. Spojrzał jej w twarz. Och, Kathy, westchnął bez słów. Co ja wyprawiam? Chciał jej dotknąć, ale nie mógł. Chciał się uśmiechnąć - nie potrafił. Zebrał się na odwagę i powiedział:

- Musimy porozmawiać.

- O czym? - Uśmiechnęła się szeroko, a on poczuł ucisk w gardle.

Odetchnął głęboko.

- Myślę, że zanim zaangażujemy się uczuciowo, powinniśmy się lepiej poznać.

- To my się mamy zaangażować uczuciowo? - Pytanie Kathleen zabrzmiało dość niewinnie, ale Mac znał ją dobrze i wiedział, że wcale nie jest niewinna. Wiedziała, czego chce i jak to zdobyć.

- Coś się zaczęło między nami, ale nie mam pojęcia co.

- Wzajemny pociąg? - spytała i sięgnęła po swoją szklanke. Jej i tak krótka sukienka podniosła się i Mac omal nie stracił resztek opanowania.

- Czujesz do mnie pociąg? - zapytał.

Przygryzła dolną wargę i zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów.

- Tak.

- Jak mogę być dla ciebie pociągający? Jestem od ciebie starszy...

- Poczekaj - przerwała mu. - I co z tego, że jesteś starszy? Jesteś także większy i bogatszy. Należysz również do płci przeciwnej i jesteś bardzo przystojny.

- Mówisz to samo każdemu starszemu mężczyźnie, z którym się spotykasz?

- Już od lat z nikim się nie spotykam.

- Dlaczego?

- Szczerze?

- Szczerze.

- Bo czekałam, aż przejrzysz na oczy i wreszcie mnie zauważysz.

Te słowa sprawiły mu ból. Sześć długich lat zmarnowanych, bo bał się własnych uczuć, bo uważał, że jest dla niej za stary. Ależ był głupi!

- W ciągu ostatnich kilku lat nie zauważyłem wielu rzeczy.

- A przedtem dostrzegałeś mnie?

Ukląkł przed nią, ujął pasmo jej włosów. Bawił się nimi, owijał wokół palca.

- Tak.

- A więc nie zwodziłam się przez te wszystkie lata. Czuleś coś do mnie.

Pogłaskał ją po policzku, dotknął podbródka i zwrócił jej twarz ku sobie.

- Tak, czułem coś i chciałem przed tym uciec. Uśmiech znikł z twarzy Kathleen.

Zastąpiły go gniew, smutek i zdziwienie.

- Dlaczego chciałeś uciec?

Mac unikał jej wzroku. Nie chciał na to odpowiedzieć.

- Nie mówmy już o tym.

- Dobrze - szepnęła i pociągnęła łyk coli, patrząc na Maca ze smutkiem. Po chwili znów się uśmiechnęła.

- Jeżeli nie chcesz o tym rozmawiać, to wytłumacz mi, jak doszło do tego, że kulturalny człowiek tak bardzo nadużył piwa. I dlaczego musisz okraszać każdą wypowiedź diabłem lub cholera?

Zastanawiał się, jedząc ciastko z kremem. Uśmiechnął się zadowolony, że Kathleen nie upiera się przy poprzednim temacie rozmowy.

- Bo takie kobiety jak ty budzą we mnie gniew.

- Och, daj spokój. Nie wierzę w to ani trochę. Jeżeli kogoś nie lubisz, posyłasz mu swoje miażdżące spojrzenie, a potem go lekceważysz. Żadnego piwa, cholery i diabłów.

- Sięgnęła po mus czekoladowy.

- Mogłabyś przestać? - Mac jęknął. Kathleen spojrzała zaskoczona.

- Co mam przestać?

- Wyginać się w taki sposób. Za każdym razem widać wszystko, co masz pod sukienką.

- To nie patrz.

- Lubie patrzeć.

Kathleen zeskoczyła z kanapy i podeszła do szafy.

- Dokąd się wybierasz? - zawołał Mac, spiesząc za nią, przestraszony, że Kathleen chce wyjść.

Zdjęła z wieszaka jego marynarkę i włożyła na siebie. Rękawy sięgały jej po czubki palców. Czula się w niej taka maleńka; uznała, że to ubranie dostatecznie zasłania jej ciało.

- Teraz nie musisz patrzeć - powiedziała pojednawczo i wróciła na kanapę, by skończyć mus czekoladowy.

Widok Kathleen sprawiał mu ból. Patrzeć na nią i nie dotykać jej to najtrudniejsze ze wszystkiego, co mu się kiedykolwiek przydarzyło. Przez głowę przelatywały mu najróżniejsze myśli - złe i dobre - ale wreszcie prawda zwyciężyła.

Usiadł na podłodze u jej stóp. Oparł się plecami o kanapę i westchnął.

- Dobrze, przyznaję się, szaleję za tobą. - Odwrócił się ku Kathleen i uśmiechnął czule. - Może porozmawiamy?

Spędzili razem pięć godzin. Kathleen słuchała opowieści o życiu chłopca z bogatej rodziny. Miał wszystko. Miłość ojca i matki. Nie zaniedbywano go. Nie wysłano do szkoły z internatem. Był bardzo bystrym dzieckiem, interesował się pracą ojca. W wieku dwunastu lat pracował jako chłopiec na posyłki i poznawał od podszewki imperium, które miał odziedziczyć.

Mac leżał na kanapie z głową na jej kolanach. Kathleen bawiła się jego włosami, czasami chciała ucałować zmarszczone czoło, pogłaskać policzek, dotknąć piersi, ale nic takiego nie powinno stać się tej nocy. Wiedziała, że cały urok się rozwieje, jeżeli dojdzie między nimi do fizycznego zbliżenia. Tej nocy mieli rozmawiać, tylko rozmawiać.

- Nie zgadłabyś, kim chciałem zostać, gdy byłem chłopcem - powiedział rozbawiony.

- Kim?

- Kowbojem.

- I co w tym śmiesznego? Większość małych chłopców chce zostać kowbojami.

- Najśmieszniejsze jest to, że ja z tego nie wyrosłem.

- Twój tata także - dodała Kathleen. - Stąd rzeźby Remingtona i Russella w jego biurze.

Dlaczego znowu wspomina ojca? Dlaczego tak dobrze go zna? Skąd wie o jego zainteresowaniach zachodnią częścią Stanów? Do diabła! Przecież ojciec nie miał romansu ani z Kathleen, ani z nikim innym!

- Masz rację, Kath - powiedział, głaszcząc spoczywającą na jego piersi rękę. - Poszedłem w ślady ojca. Nie mam czasu, by spełniać własne zachcianki.

- Możesz zmienić zawód.

- Mam czterdzieści dziewięć lat, Kath. W moim wieku nie zaczyna się od nowa. Mając trzydzieści lat inaczej patrzy się na życie niż wtedy, kiedy się ma pięćdziesiątkę na karku. - Usiadł. - Czy zdajesz sobie sprawę, że mógłbym być twoim ojcem?

- Lub kochankiem - odparła bez namysłu.

- Czy to możliwe?

- Nie tej nocy.

- Ale jest możliwe?

- Jeżeli uwierzysz, że trzydziestodwuletnia kobieta może się w ten sposób interesować czterdziestodzieciuletnim mężczyzną. - Naśmiewała się z niego.

Dlaczego wydawało mu się, że lata są takie istotne? Czy nie rozumiał, że to, co ich wiąże, nie ma nic wspólnego z wiekiem i jest głębsze od pociągu fizycznego? Wiek w ogóle się nie liczy.

- Czy interesujesz się mną w ten sposób?

- Musisz o to pytać? Aż tak brakuje ci pewności siebie?

- Gdy jestem z tobą, tracę wszelką pewność. Kathleen nic nie odpowiedziała bojąc się, że rozmowa

skończy się w sypialni. Mimo że z całego serca chciała się tam znaleźć, rozum nakazywał jej poczekać.

- Czy wiesz, że za trzy godziny muszę być w pracy?

- Zadzwoń i powiedz, że jesteś chora.

- Nie mogę. Mój szef będzie wiedział, że kłamię. Dotknął nagiej szyi Kathleen. Owinął pasmo jej włosów wokół palca.

- Chciałbym, żeby ta noc trwała wiecznie.

- Lepiej, żeby się skończyła. Za dużo zjadłam i ani na chwilę nie zmrużyłam oka.

- Czy możemy dziś zjeść razem kolację? Zawahała się.

- Nie mogę. Mam mnóstwo pracy.

- A jutro wieczorem? Potrząsnęła głową.

- Przepraszam. Tyle jest do zrobienia, że nie mam kiedy odetchnąć. Może w sobotę?

- A lunch w ciągu dnia?

- Nie mogę. Zbyt wiele zebrań. Wstał i pociągnął ją za sobą.

- Czy już starasz się mnie unikać?

- Nie, staram się zasłużyć na awans.

- Czy to takie ważne?

- Stawiam to na drugim miejscu.

- A co jest na pierwszym?

- Julie.

- Och! Twoja córka - powiedział zawiedziony. - Cieszę się, że jest najważniejsza - dodał nieszczerze.

- Zawsze była najważniejsza. Odwiesz mnie do domu? Nie odpowiedział. Po prostu podszedł do telefonu i zamówił taksówkę, podczas gdy ona wkładała pantofle.

Mac znalazł krawat na oparciu krzesła. Zawiązał go, włożył buty i podszedł do Kathleen.

Chciała zdjąć jego marynarkę, ale złapał ją za rękę.

- Zatrzymaj ją. Jeśli zdejmiesz, mogą mi przyjść do głowy jakieś głupie pomysły.

Uśmiechnęła się i cofnęła rękę, zanim zdążył podnieść je do ust.

Stojąc w drzwiach, po raz ostatni spojrzeli na pokój, w którym spędzili noc. Brudne talerze i szklanki, resztki jedzenia. Nigdy nie zapomnę tej nocy, pomyślała Kathleen. Mam nadzieję, że on również.

Zjechali pustą windą. Drzwi otworzyły się, lecz Mac przyciągnął do siebie Kathleen i przytrzymał, aż się zamknęły.

- Wiem, że nie chcesz mnie pocałować, ale nigdy nie słuchałem kobiet i nie mam zamiaru się zmieniać.

Nie bronila się, gdy rozpiął marynarkę i położył dłonie na nagich plecach Kathleen. Przyciągnął ją bliżej i pochylił głowę nad jej uniesioną twarzą.

- Boże, jakaś ty piękna. - Ich usta zetknęły się czule i ostrożnie. Dla Kathleen ten pocałunek był dopełnieniem tego, co zaczęło się sześć godzin temu w sypialni apartamentu. Dla Maca spełnieniem pragnień, do których nie przyznawał się od sześciu lat.

Drzwi windy otworzyły się.

- Przepraszam pana - powiedział windziarz, speszony nieco ich widokiem. - Pańska taksówka czeka.

O wpół do szóstej rano w holu był tylko windziarz i recepcjonista. Mac otulił Kathleen marynarką, objął ją i przytulił. Wyszli z hotelu w różowe światło poranka. Taksówka czekała przy chodniku, kierowca otworzył im drzwi.

Mac jeszcze raz wsunął rękę pod marynarkę. Złapał Kathleen za pośladki i przytulił do siebie. Wtedy właśnie błysnął pierwszy flesz i podbiegł do nich fotograf. Jeszcze jeden błysk.

Mac wpełznął Kathleen do taksówki, odwrócił się, by na wrzeszczyć na fotografa, i uniósł rękę, żeby zasłonić twarz. Wtedy trzasnął kolejny flesz. Mac wskoczył do samochodu, kierowca zamknął za nim drzwi.

- Przeklęci fotoreporterzy - zaklął. - Bóg wie, co napiszą w gazetach.

RS

Rozdział siódmy

Kathleen chciała umrzeć. Podparła pięścią brodę modląc się, żeby nikt nie wszedł do biura i nie zauważył, że jest półprzytomna. Była wściekła na Maca za to, że przez niego zarwała noc. A jednak wspominała ją ciągle od nowa.

Spojrzała na rozkład zajęć. Żadnych zebrań, żadnych służbowych spotkań; nie groziło jej publiczne ziewanie i zasypianie. Biurko ugięło się od papierów. Automatyczna sekretarka nagrywała rozmowy. Od czego zacząć?

Spojrzała na artykuł pod tytułem „Arogancki samiec”, w którym sportretowała Maca. Roił się od skreśleń i poprawek. Wzięła czerwony długopis i bezmyślnie mazała po papierze. Rysowała kwadraty, prostokąty, trójkąty i kółka, wspominając noc spędzoną z Makiem i zastanawiając się, kiedy znów go zobaczy.

Ktoś zapukał do drzwi. Najwyraźniej nawet wywieszka z napisem „Nie przeszkadzać” nie odstraszała niektórych ludzi.

Nie zdążyła powiedzieć „proszę”, gdy drzwi otworzyły się i do pokoju wpadła Ashley Tate. Kathleen nie drgnęła, podniosła tylko oczy znad artykułu i jęknęła bezgłośnie.

Czegóż ona może tu chcieć i dlaczego przerywa moje rozmyślenia?

Ashley chwyciła artykuł, przebiegła go wzrokiem i rzuciła z powrotem na biurko.

- Przypuszczam, że to do nowego czasopisma - wypaliła. - Mac opowiadał mi o nim. Zapewne pani wie, że mu się nie podoba. Słowo daję, nie mam pojęcia, dlaczego nadal pozwala pani nad nim pracować.

Kathleen przetarła oczy, a potem udało jej się przybrać słodki wyraz twarzy.

- Jak to miło, że zechciała pani wstąpić do mojego biura i tak życzliwie ocenić moją pracę. Bardzo sobie cenię pani towarzystwo. Czy mogę coś dla pani zrobić? W czymś pomóc?

- Nie, zajrzałam tylko, idąc do Maca.

- Bardzo uprzejmie.

- A skoro już tu jestem... czy otrzymała pani zaproszenie na przyjęcie z okazji jubileuszu wydawnictwa?

Kathleen odsunęła szufladę. Wyjęła złożoną kopertę i z uśmiechem pomachała nią przed nosem Ashley.

- Och, cieszę się, że nie pominięto pani. Ma pani z kim przyjść, prawda?

Kathleen wyczuła złośliwość w tonie Ashley.

- Jestem zbyt zajęta, żeby o tym myśleć. Ale proszę się o mnie nie martwić.

- Mam nadzieję, że uda się pani kogoś znaleźć. Może jednego z dozorców? - Ashley uśmiechnęła się zadowolona, że jej pazurki precyzyjnie wpijają się w serce Kathleen. - To żadna przyjemność znaleźć się samej na tego rodzaju imprezie. Wszyscy goście będą parami, Tak jak ja i Mac.

W Kathleen zawrzał gniew. Mac znajdzie się w niezłych opałach, paradując z Ashley w jej obecności. Zdobyła się jednak na uśmiech.

- Dziękuję, że tak się pani o mnie troszczy. Jeżeli nie znajdę odpowiedniej osoby towarzyszącej, dam pani znać. - A teraz wynoś się stąd, miała ochotę dodać.

Ashley ruszyła do drzwi. Odwróciła się i rzekła:

- Wiem, że wczoraj w pracy rozmawiała pani z Makiem. Mam nadzieję, że nic złego nie zaszło.

A więc dlatego tu przysłała, pomyślała Kathleen, zżera ją ciekawość.

- Wszystko w porządku - odparła z uśmiechem.

- Bardzo się niepokoiłam. Słyszałam, że Mac był niezadowolony z pani pracy nad nowym czasopiśmie.

- Kto pani to powiedział?

- Takie krążą słuchy. Moi przyjaciele lubią mi opowiadać o tym, co tu się dzieje. Mam nadzieję, że zanim wypadła pani z jego gabinetu jak burza, nie stało się nic strasznego.

- To nie pani sprawa. A zresztą udało nam się porozumieć. Dziękuję.

Ashley uniosła brwi.

- O, tak, on umie być zupełnie miły. Nawet dla pani. -Usiadła i założyła nogę na nogę. Pochyliła się i wyszeptwała: -Czy mogę pani coś powiedzieć, moja droga?

Kathleen nie odpowiedziała, tylko skinęła głową.

- Przykro mi o tym wspominać, ale, szczerze mówiąc, wygląda pani okropnie. Nie powinna pani zarywać nocy. Odpowiednia ilość snu czyni cuda.

- Jestem bardzo wdzięczna za troskliwość. - Kathleen musiała ugryźć się w język, by nie powiedzieć jej, że spędziła tę noc z Makiem. W roztargnieniu poprawiła włosy, które tego ranka żyły własnym życiem. Wiedziała, że wygląda strasznie, ale nie życzyła sobie złośliwości, dodała jadowitym tonem: - Z pewnością zdaje sobie pani sprawę, jak trudno jest dobrze wyglądać, gdy spędzi się noc poza domem.

- Nie wiem. Zawsze śpiam co najmniej osiem godzin.

- Ma pani szczęście.

- Chyba nie roztrwonila pani nocy, pracując nad tym? Kathleen uznała, że noc spędzona z Makiem była zbyt ważna, by popsuć ją, rozwodząc się nad nią w artykule. Spojrzała na zapisane kartki, a potem znowu na Ashley.

- To - powiedziała, gniotąc papier i wyrzucając go do kosza - był zaledwie przelotny pomysł, który nie zostanie zrealizowany.

- Mac nie byłby zadowolony, widząc jak pani traci czas.

- Tracę czas tylko wtedy, gdy ludzie naprzykrzają mi się, chociaż nie byli umówieni. A na dodatek nie mają nic istotnego do powiedzenia.

Ashley zerwała się jak oparzona.

- Wszystko, co tu powiedziałam, było niezwykle istotne. I powinna pani pamiętać, że cokolwiek mówię, jest równie ważne jak to, co mówi Mac.

- A kiedy to McKenna O'Brien zatrudnił panią na stanowisku rzeczniczki?

- Zawsze mam na względzie jego dobro. Wiem, że nie jest zadowolony z nowego czasopisma. Wiem, że nie jest zadowolony z pani. I pani o tym także wie.

Kathleen chwyciła się biurka i pochyliła do przodu.

- Nie, nie wiem. Mac i ja odbyliśmy długą rozmowę na temat czasopisma i mojej pozycji w wydawnictwie. To była prywatna rozmowa i nie sądzę, by chciał przedyskutować tę sprawę jeszcze z kimś.

- Ze mną rozmawia o wszystkim.

- Czyżby? Miałam wrażenie, że wasz związek się rozpadł.

- Myli się pani. Mac kocha mnie, i tak już zostanie. Kathleen zapragnęła pozbyć się tej kobiety.

- Nie wiem, jakie są wasze stosunki, ale wydaje mi się, że nie ma pani pojęcia o tym, co on naprawdę sądzi o tym czasopiśmie, wydawnictwie i innych sprawach.

Ashley zadarła głowę i spojrzała na nią pogardliwie.

- Jest pani bardzo drażliwa. Powinna się pani wysypiać, a nie włączyć się po nocach.

- To moja prywatna sprawa. A teraz pani wybacz, ale mam dużo pracy.

Ashley wyszła trzaskając drzwiami i wpadła na kilku pracowników, którzy najwyraźniej podsłuchiwali tę hałaśliwą rozmowę. Rozepchnęła ich i popędziła do windy.

Po chwili weszła do biura Maca. Grace spojrzała na nią znad biurka.

- Przykro mi, pani Tate, ale pana O'Briena nie ma w gabinecie.

- Dobrze - odparła Ashley i przeszła obok jej biurka. - Umeblowała dom Maca, ale w biurze nie pozwolił jej niczego zmienić.

Usiadła w fotelu. Pomyślała o Kathleen, tej kłótliwej megierze, która musiała adoptować dziecko, by znaleźć sobie towarzystwo. Roześmiała się. Mac był taki naiwny, gdy opowiedziała mu o romansie Kathleen i jego ojca. Nawet jeśli w to nie uwierzył, przestał interesować się tą dziewczyną spoza swojej sfery. Ale co ma wymyślić teraz, żeby go znowu omotać? Nie miała pojęcia, co się stało.

To musi być jakaś pomyłka. Po dziesięciu wspólnie spędzonych latach! Jak mógłby pragnąć kogoś innego? Zaczęła się zastanawiać. Nie zrobiła przecież nic, czego nie robiła przedtem. A więc to jego wina. Od dwóch tygodni starała się z nim zobaczyć. Na próżno. Ta nowa gospodyni nie chciała jej wpuścić do domu. A sekretarka ciągle powtarza, że jest zajęty. Dlaczego więc wpuszczono do niego Kathleen? I pomyśleć, że trzasnęła drzwiami jego biura. Ashley nigdy nie odważyłaby się trzasnąć drzwiami Maca. Wiedziała, jak się z nim obchodzić. Ostrożnie, w rękawiczkach; małe dąsy, kilka łez, ale nigdy nie trzaskać drzwiami. To wyprowadzało go z równowagi, a gdy Mac był wściekły, schodziła mu z oczu.

Bawiąc się paskudną rzeźbą przedstawiającą kowboja, rozmyślała o ich związku. O swojej pozycji towarzyskiej. Podobało jej się, że jest przyjaciółką

O'Briena. Kupował jej prezenty. Zabierał w podróże. I nigdy nie chciał niczego w zamian. Tylko seks od czasu do czasu. Mogła to wytrzymać.

Spojrzała na zegarek. Wpół do dziesiątej. Za wcześnie na lunch. Chyba pójdzie do klubu. Tam przynajmniej spotka kogoś interesującego. Ludzie uwielbiali jej słuchać. Zawsze miała tyle do powiedzenia. Cieszyli się na jej widok.

Otworzyła drzwi i usłyszała, że Grace zamawia kwiaty. Uśmiechnęła się. Mac chce wszystko naprawić. Jak miło. Cóż, nie przebaczy mu od razu. Niech trochę pocierpi. Może diamentowa bransoletka byłaby odpowiednim prezentem na pojednanie. Uśmiechnęła się do Grace i poszła do windy.

Kathleen była taka głodna, że aż burczało jej w brzuchu. Przechadzała się po pokoju, a Jon przyglądał się jej.

- Posłuchaj, Kathy. Może to nie jest po prostu odpowiedni moment.

Przystanąła.

- Nie, moment jest dobry. Musimy tylko przemyśleć wszystko jeszcze raz.

- Przemyśleliśmy.

- Coś nie gra.

- Mówiłem ci już. W tej chwili rynek zarzucony jest pismami dla kobiet. Jest recesja. Inwestorzy nie chcą ryzykować. A ja nie wyłożę pieniędzy na reklamę z własnej kieszeni.

- Może pomogłaby konferencja prasowa?

- Konferencja nie pomoże, jeśli nie będziemy mieli nic do zakomunikowania.

- Więc znajdziemy - zdecydowała. Spojrzała na Jona; siedział zagrzebany w papierach. Potrząsnął głową. Kathleen położyła mu dłoń na ramieniu.

- Postaram się coś wymyślić - powiedziała. - Idź do domu i spędź trochę czasu z dziećmi.

Skinął głową; Kathleen czuła, że jest zdruzgotany.

Wracając do swego biura, nie zauważyła, że ludzie siedzący przy biurkach w głównej hali szepczą coś na jej widok. Była zbyt pogrążona w myślach. Kłopoty z reklamą wyglądały poważnie. Wiedziała, że konferencja prasowa może się okazać pomocna, ale nie należało popadać w zbyt ni optymizm. Chciała spokojnie usiąść we własnym gabinecie, przy biurku, i obmyślić strategię. Jon miał talent, ale nie mogła wszystkiego zwać na jego barki. Jeśli zajdzie taka potrzeba, będzie pracowała dwadzieścia cztery godziny na dobę, ale pismo musi odnieść sukces.

Weszła do swego gabinetu i zobaczyła setki róż. Uśmiechnęła się i wyszeptała najmiłsze ze wszystkich imion: Mac.

Wazon z różami stały na obu końcach biurka, na szafie i półce z książkami. Chodziła od jednego do drugiego, dotykała kwiatów i wdychała ich zapach, chcąc zapamiętać ich piękno. Na biurku znalazła wizytówkę. Widniało na niej tylko jedno słowo - „Mac” - ale mówiło więcej niż całe tomy.

Zadzwonił telefon.

- Kathleen Flannigan - powiedziała rzeczowym, oficjalnym tonem.

- Dzień dobry. Opadła na fotel.
- Mam nadzieję, że nie jesteś bardzo zmęczona. Zająłem ci wczoraj sporo czasu.
- Nigdy nie czułam się lepiej. Dziękuję za róże. Są piękne.
- Pomyślałem sobie, że mogą umilić ci dzień.
- Umiliły - wyszeptała.
- Czy nie zmieniałaś zdania co do lunchu? - zapytał.
- Chciałabym, ale...
- Ale jesteś zbyt zajęta?
- Rozumiesz mnie, prawda?
- Nie. Pracownik powinien zawsze znaleźć czas dla szefa. Kathleen roześmiała się.
- Jeżeli szef chce rozmawiać o pracy, znajdę czas.
- A jeżeli szef chce rozmawiać o czymś innym?
- Albo obowiązek, albo przyjemność.
- A ja jestem przyjemnością? - zapytał uwodzicielskim tonem.
- Tak. Ale również obowiązkiem. Staram się tych dwóch rzeczy nie łączyć.
- Boże, ależ ty jesteś skomplikowana.
- Samotnie wychowuję dziecko. Muszę pracować na życie. Nie odpowiedział.
- Ciekawe, o czym myślał? Milkł za każdym razem, gdy wspominała Julie.
- Rozumiem, że nie pójdziesz ze mną na lunch? - zapytał zawiedziony.
- Nie pójdę.
- Zawsze doprowadzasz wszystko do końca, prawda?
- Prawie zawsze.
- Może powinienem wydać dyrektywę, że pracownicy obowiązani są jadać lunch.
- Masz wielu bardzo oddanych pracowników, ale prawdopodobnie zlekceważyliby takie zarządzenie.
- Jestem samolubny. Chcę się z tobą zobaczyć.
- Najbliższa sobota nadal jest aktualna.
- Do soboty jeszcze tyle czasu. - Westchnął.
- Wiem, ale...
- Nie mów. Znam twoje wymówki na pamięć.
- Mogę zmienić zamiar.
- Nie, nie zmienisz. Ja cię nie będę prosił.
- Dziękuję. Ja także nie poproszę cię, żebyś się zmienił. Podobasz mi się taki, jaki jesteś.
- To znaczy uparty i zawzięty? - Roześmiał się.
- To także.
- A co jeszcze?
- Wysoki, przystojny...
- Czterdziestodziewięcioletni - dorzucił. Kathleen nie lubiła, gdy podejmował ten temat.

- Twój wiek wcale mi nie przeszkadza. A nawet lubię, gdy mężczyzna jest starszy.

- Wielu takich miałaś?

- Mój ojciec jest starszy... - Zająknęła się zastanawiając, czemu to powiedziała.

- Nie martw się, Kath, wiem, że nie porównujesz mnie do swojego ojca.

- To wspaniały człowiek. Mogłabym zrobić gorsze porównanie.

- Ty dla mnie jesteś niezrównana - powiedział.

- Czy to komplement? - spytała.

- Tak.

Smakowała jego słowa.

- Dziękuję - wyszeptała.

- Nie będę ci już przeszkadzał.

Kathleen przebiegła myślą dzisiejszy dzień. Wtargnięcie Ashley, narada z Jonem, rozmyślanie o minionej nocy.

- Jakoś trudno mi się dziś skupić.

- Myślałaś o mnie?

- Przez pewien czas.

- Dobrze. Myśl o mnie, ale staraj się też popracować. Nie zarobię na tobie, jeżeli będziesz marzyć - powiedział.

- Dziękuję, Mac. Za wszystko.

- Zawsze do usług.

O wpół do drugiej rozległo się pukanie do drzwi. Kathleen podpierała głowę rękami, studiując przewidywane koszty nowego czasopisma, i z całych sił starała się nie zasnąć. Cyfry nie wyglądały dobrze. Nic prócz róż nie wyglądało dobrze.

- Proszę - powiedziała i uniósłszy głowę zobaczyła dwóch mężczyzn w smokingach, pchających do jej ciasnego biura wózek ze srebrnymi nakryciami. Nie musiała zadawać żadnych pytań. Jej twarz rozjaśniła się niczym twarz dziecka w wigilię Bożego Narodzenia. Mac najwyraźniej nie posłuchał jej odmowy. Była zachwycona.

- Proszę sobie nie przeszkadzać, madame. To potrwa tylko chwilę.

Przyglądała się z zaciekawieniem, jak rozstawiają mały, okrągły stół, przykrywają go białym obrusem, ustawiają nakrycia, kryształowe kieliszki i cienką porcelanę.

Wnieśli dwa kryte białym adamaszkiem fotele i umieścili je po dwóch stronach stołu. Jeden z kelnerów podszedł do Kathleen, skłonił się przed nią, ujął jej dłoń i poprowadził do stołu. Usiadła. Kelner rozłożył serwetkę z czerwonego lnu i przykrył nią kolana Kathleen.

- Jeżeli będzie pani czegoś potrzebowała, madame, jesteśmy za drzwiami. Dżentelmen nadejdzie lada moment.

Wyszli, mijając się z Makiem. Wyglądał niesłuchanie przystojnie i elegancko.

- Och, lunch. Jeden z przyjemniejszych posiłków. - Pochylił się nad Kathleen i delikatnie pocałował ją w policzek, a potem wysunął zza jej uszu dwa pasma włosów. Usiadł naprzeciwko niej. - Powiedziałaś, że nie pójdziesz na lunch, więc musiałem przynieść go tutaj.

- Dochodzi druga.

- Pewnie jeszcze nie jadłaś?

Uśmiechnęła się, patrząc w jego lśniące oczy, pełne nadziei i oczekiwania.

- Umieram z głodu.

- Doskonale. Właśnie to chciałem usłyszeć. - Uniósł pokrywkę.

Kathleen roześmiała się na widok dwóch ogromnych hamburgerów otoczonych frytkami i zapiekanek z jabłkiem.

- To się nazywa posiłek - powiedział. - Uwielbiam niewyszukane potrawy.

Kathleen oblizwała się.

- Mniem, wyglądają bosko. - Rozerwała opakowanie keczupu i poliała nim swoją porcję. - Skąd wiedziałaś, że mam wyrafinowany gust?

- Jestem medium. I również mam wyrafinowany gust. Dlatego mi się podobasz.

- Jesteś nazbyt uprzejmy - powiedziała, oblizując palce.

- Szampana? - zapytał, sięgając po butelkę. Potrząsnęła głową.

- Zapomniałaś, że nie piję.

- Twoja niskokaloryczna cola, kochanie. - Podał jej wysoki tekturowy kubek z plastikowym wieczkiem i słomką. - Mam nadzieję, że utrafiłem.

- Pamiętałaś.

- Nigdy o niczym nie zapominam. - Odstawił butelkę szampana do wiaderka, wziął drugi kubek, przełknął łyk coli i wstrząsnął się z odrazą. - Cholera, to obrzydliwe. Jak możesz pić takie świństwo?

- Trzeba przywyknąć.

- Ja wolę piwo.

- Trzeba było zamówić.

- Ale powiedziałaś, że za dużo piję.

- To ty mnie słuchasz?

- Ciebie i mojej gospodyni. Wspaniała starsza pani, ale odrobinę wścibska. Też mi to powtarza.

- Cieszę się, że masz kogoś, kto się o ciebie troszczy.

- Ona także wpycha we mnie proste potrawy. Przez wiele lat starałem się jadać zdrowo, zapomniałem co to tłuszcz, biała mąka i cukier.

- A teraz jesteś zadowolony?

- Przepadam za tym. - Uśmiechnął się z ustami pełnymi hamburgera.

- Mówiłeś, że w wieku czterdziestu dziewięciu lat nie można zaczynać życia od nowa. A teraz słyszę, że zrezygnowałeś z diety, przestałeś pić piwo...

- Nie, moja droga. Piwa nie wyrzeknę się nigdy. Ktoś mi powiedział, że we wszystkim należy zachować umiar, bo inaczej nawet przyjemności stają się nudne i przykre.

- Wszystkie przyjemności? - spytała, spoglądając znad tekturowego kubka.

Zamyślił się nad jej pytaniem. Zmarszczył brwi, a potem uśmiechnął się.

- Przypuszczam, że nie wszystkie. Są przyjemności, w których można stracić miarę.

- Lepiej zmieńmy temat - powiedziała Kathleen, zlizując sos z hamburgera i nie spuszczać oczu z Maca. Jak to możliwe, żeby mężczyzna był tak przystojny? A do tego róże, hamburgery, niskokaloryczna cola. Ależ ona ma szczęście.

Patrzyła, jak Mac pije przez słomkę, na jego usta, słodkie, namiętne, jakby stworzone do pocałunków. Chciała coś powiedzieć, ale nie mogła się zdecydować. Coś osobistego? Nie. Lepiej poruszyć tematy zawodowe.

- Rozmawiałam z kierownikiem reklamy...

- Zaraz, zaraz. Mieliliśmy nie mieszać przyjemności z obowiązkami.

- Ale skoro tu jesteś... myślałam, że zechcesz się dowiedzieć.

- Posłuchaj, Kath. Jestem tu po to, by zjeść lunch z piękną kobietą, a nie z pracownicą. Nie chcę rozmawiać z tobą o interesach.

- Dlaczego?

Wytrzeł palce w serwetkę, wstał i podszedł do okna. Wyjrzał na zewnątrz, ale wszędzie widział tylko kobietę swoich marzeń. Zwrócił się ku niej.

- Być może wydam ci się nadętym durniem i męskim szowinistą, ale dawno temu zdecydowałem, że kobieta, z którą się związę, będzie tylko moja. Potrzebuję kogoś, kto będzie ze mną podróżował, bywał na lunchach i kolacjach. Nie możesz pracować i musisz mieć czas dla mnie.

- Nie wiedziałam, że zaszliśmy aż tak daleko.

- Myślałem o tym, odkąd rozstaliśmy się rano. Chcę, żebyś była przy mnie.

Roześmiała się.

- Ale ja pracuję i, chyba o tym zapomniałeś, mam dziecko. Przykro mi, Mac, ale nie mogę stać się taka, jakiej pragniesz. - Boże, jak trudno wymówić takie słowa. Wiedziała jednak, że prowadząc takie życie, będzie nieszczęśliwa. - Ashley była dziś w biurze. Nadal chce być z tobą. Może wrócisz do niej, bo ona najwyraźniej odpowiada twoim wymaganiom.

Zesztywniał.

- To już skończone. - Podszedł do Kathleen, nie dotykał jej, ale stanął tuż obok.

- Ashley to już historia.

- Ale ona ciągle ciebie chce. - Spojrzała mu w oczy, starając się odgadnąć, co on teraz czuje. Gniew? Nienawiść? Urazę? - Byłoby mi przykro, gdybyś powiedział, że mnie nie chcesz.

Wyraz jego twarzy złagodniał.

- Pragnę cię. - Czule pogłaskał jej policzek. - Pragnę kobiety, z którą spędziłem tę noc. Ciepłej, łagodnej, zmysłowej.

Kathleen westchnęła głęboko, starając się odzyskać panowanie nad sobą. Omal nie zmiękła pod wpływem jego słów.

- Teraz też taka jestem.

Przysunął się jeszcze bliżej, tak blisko, że czuła ciepło jego ciała.

- Naprawdę? - Przeciągnął palcami po jej włosach i zagłębił je w rozwichrzonym koku. - Lubię patrzeć na ciebie. Lubię, kiedy masz rozpuszczone włosy. - Odszukał spinki, które podtrzymywały fryzurę. Wyciągnął jedną po drugiej, a potem rozwiązał wstążkę. Włosy opadły na ramiona.

Kathleen starała się odepchnąć jego rękę.

- Nie. Proszę - błagała, ale chwycił jej dłonie, podniósł je do ust i ucałował czubki palców.

- Dprowadzasz mnie do szaleństwa - wyszeptał, stojąc tak blisko, że zadrżała, czując ciepło jego oddechu.

- Pohamuj się, Mac.

- Nie chcę.

Wyrwała mu się, wstała i szybko podbiegła do drzwi; żeby jej nie dotykał, nie przyprawiał o drżenie, nie porażał swoim pożądaniem. Pragnęła go od lat, lecz nagle poczuła się zagnana w pułapkę, ponaglona, zmuszona. Nie była gotowa na jego awanse.

- Ty nie mnie pragniesz, Mac. Pragniesz kogoś, kogo sobie wymyśliłeś. A ja nie mogę być taka przez cały czas.

Mac uniósł rękę.

- To szaleństwo, Kath. Nie rozumiem, jak mogłem sobie wyobrazić, że kiedykolwiek dojdziemy do porozumienia. Powiedz tylko słowo, a zabiorę cię stąd. Spełnię każde twoje życzenie. Ale ty wolisz się kłócić. Nie jesteś gotowa na żadne ustępstwa. Nie chcesz kompromisów.

- Nie ma tu miejsca na żadne kompromisy. Robię to, co do mnie należy. Nie jestem bogata jak ty. Nie mogę rzucić pracy dla mężczyzny, który dziś jest tutaj, a jutro odejdzie. Jeżeli to cię ma uszczęśliwić, mogę się inaczej ubierać. Ale nie będę utrzymanką. - Zamilkła, odetchnęła głęboko i dotknięta ciągnęła: - Ty mnie obrażasz, Mac. Mogę pogodzić się z wieloma rzeczami, ale nie można mnie kupić. Wiem, że stać cię na to, ale ja nigdy nie chciałam twoich pieniędzy. Pragnęłam wyłącznie ciebie. A teraz nie jestem wcale pewna, czy nadal pragnę. Podszedł bliżej. Położył ręce na jej ramionach.

- To nieprawda. Pragniesz mnie równie mocno jak ja ciebie.

- Nie. Jesteś nadęty. I jesteś szowinistą. - Starła się uwolnić, ale ją przytrzymał.

- Po prostu zacznijmy udawać, że ostatnia noc i ten lunch w ogóle nie istniały - powiedziała z błyskiem w oczach.

Zacisnął szczęki.

- Jesteś zła i nie da się z tobą rozmawiać. Odepchnęła jego rękę.

- Dałeś wyraźnie do zrozumienia, czego ode mnie oczekujesz. Teraz ja odpowiem ci równie wyraźnie. Chcę kierować firmą. Pragnę tego już od lat i nie mam zamiaru rezygnować. Jeżeli chcesz być ze mną, musisz pójść na ustępstwa.

- Chcę być z tobą. W porządku. Ale na jakie ustępstwa ty jesteś gotowa?

- W tej chwili... - zamilkła, by się upewnić, że nie popełnia pomyłki - nie jestem gotowa na żadne ustępstwa.

- A więc to koniec, Kath. - Całkowicie zdruzgotany podszedł powoli do drzwi, a potem odwrócił się, żeby spojrzeć jeszcze raz na kobietę, z której właśnie zrezygnował. Myślał, że jej widok go uspokoi. Ale to, co zobaczył, wcale go nie uspokoiło. Kathleen zalewała się łzami. Prawdziwymi łzami, nie takimi jak Ashley. Nie mógł jej teraz zostawić, nie teraz, gdy płakała.

Zamknął drzwi i oparł się o nie, zastanawiając się, co ma zrobić. Podejść do niej? Wyjść i zostawić samą? Czuł się jak na torturach. A ona nie próbowała ukryć łez. Do diabła! Dopiero co powiedział, że wszystko skończone, nie może jej teraz pocieszać.

Cholera! Nie walczył już ze sobą i pozwolił, by kierowała nim namiętność. Zanim się zorientował, trzymał ją w ramionach. Wsunął palce w kasztanowe włosy i przycisnął usta do jej warg. Przez chwilę opierała się, a potem uległa i pozwoliła się całować.

Chciała czuć do niego nienawiść, a odpowiadała na pocałunki. Omdlewała w jego ramionach, a on całował jej szyję i skronie. Poglaskał po plecach, ujął za pośladki i przyciągnął bliżej. Czuła, że jej pragnie, żałowała, że nie są w pokoju hotelu Plaża, gdzie mogliby dać upust namiętności.

Całował jej ucho, policzek i znowu usta. Głaskał po twarzy, ścierał łzy, a potem odsunął na długość ramion. Jego szaroniebieskie oczy ściemniały. Oddychał nierówno. Nie wiedział, co powiedzieć i jak się zachować.

Cofnął się i poprawił krawat. Przyglądził włosy, otworzył drzwi i spojrzał na Kathleen. Jego oczy wyrażały gniew i pożądanie.

- Nie mogę zapomnieć o ostatniej nocy. Ani udawać, że nie jedliśmy razem lunchu. Przywykłem osiągać to, czego pragnę, Kath, a prawda jest taka, że pragnę ciebie. Jestem gotów na ustępstwa, ale ty także musisz czasem ustąpić. Daj mi znać, gdy będziesz gotowa na kompromis.

Odwrócił się i wyszedł.

Rozdział ósmy

Kathleen rozejrzała się po pokoju. Z trudem oddychała. Pocałunek Maca wyprowadził ją z równowagi, Dlaczego, mimo że się kochali, każde z nich chciało postawić na swoim? Pragnęła go, a on jej, ale niełatwo im będzie znaleźć wspólny język.

Mac nie zadzwonił tego wieczoru. Nie zadzwonił następnego dnia. Kathleen starała się o nim nie myśleć. Skupiła się na pracy - koszty druku, ilustracje, reklama nowego czasopisma.

Chwyciła za telefon.

- Barb - powiedziała do swojej asystentki - chcę się zobaczyć z wszystkimi, którzy pracują nad „Sukcesem”. W sali konferencyjnej. Natychmiast.

Wzięła dokumenty i poszła do sali konferencyjnej. Spostrzegła, że wszyscy dziwnie jej się przyglądają i coś szepczą. Może Mac znowu przysłał kwiaty. Nie, to niemożliwe.

Pracownicy nadchodzili i po kolei zajmowali miejsca przy stole.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Jon.

- Dobrze. Podjęłam kilka decyzji, ale porozmawiamy o tym później.

Kathleen nie usiadła. Stała, przyglądając się swemu zespołowi. Ufała Jonowi. Właściwie ufała im wszystkim, ale coś było nie w porządku.

- Wayne. - Spojrzała na długowłosego, podstarzałego hippisa, który zignorował jej polecenie i nie zmienił wizerunku kobiety interesu na zdjęciu. - Co to ma znaczyć? - Pokazała mu ilustrację.

- Jesteś szefową, Kathleen - odparł - ale McKenna O'Brien nadal tu rządzi. Wszyscy zdajemy sobie sprawę, że jemu ta forma czasopisma nie odpowiada, więc wprowadziliśmy kilka zmian, żeby zrobić mu przyjemność.

- Powiem ci wprost, Wayne. - Kathleen przeszła przez salę z rękami założonymi za plecy. Lubiła, gdy na nią patrzyli, lubiła, gdy jej uważnie słuchali. - Spędziliśmy razem mnóstwo czasu projektując to pismo. I teraz, po jednym zebraniu z panem O'Brienem, zdecydowałeś, że lepiej będzie postąpić wbrew moim zaleceniom?

- Nie wszystkim - odparł Wayne. - Ta ilustracja mu się podobała więc pomyślałem, że nie stanie się nic złego, jeśli zachowam ją w pierwotnej formie. Kathleen wróciła na swoje miejsce i oglądała wszystkie zdjęcia po kolei.

- A co powiesz o pozostałych?

- Postanowiliśmy zmienić parę szczegółów, żeby nadać pismu mniej liberalny, a bardziej kobiecy charakter.

- Co? Zrobić z tego jeszcze jeden „Woman 's Day” czy „Family Circle”? - Obeszła stół i stanęła za Wayne'em; musiał się odwrócić, by spojrzeć w jej płonące gniewem oczy.

- Myśleliśmy, że tak będzie lepiej.

- Pozwoli pan, że zapytam, panie Smith. Kogo ma pan na myśli, mówiąc my?

Kathleen rozejrzała się po sali; wszyscy członkowie zespołu redakcyjnego unikali jej wzroku.

- Rozumiem - powiedziała.

Wróciła na swoje miejsce u szczytu stołu, usiadła, uniosła do ust pióro i gryząc jego koniec, spoglądała na każdego po kolei. Zapanowała nieznośna cisza.

- Cóż to za nowy zwyczaj wprowadzania zmian bez porozumienia z kierownikiem zespołu? Czy tak trudno przyjść do mnie i powiedzieć, jakie macie wątpliwości? Ile było zebrań w ciągu ostatnich dwóch tygodni? Dwa? Trzy? I co zrobiliście? Ilustracje i artykuły takie, które miały odpowiadać mnie, i drugi zestaw dla pana O'Briena?

Tylko Wayne miał odwagę odpowiedzieć.

- Wiedzieliśmy, że już podjęłaś decyzję, a nigdy nie chciałaś słuchać naszego zdania na temat tego pisma. Zmiany wprowadziliśmy nie po to, by przypodobać się panu O'Brienowi, tylko dla dobra pisma.

Kathleen odchyliła się na oparcie fotela i przyglądała się twarzom zakłopotanych członków zespołu.

- Jedyne, czego wymagam dla dobra pisma, to wykonywania zadań, które już omówiliśmy. Jeżeli cenicie swoje stanowiska, pracujcie dzień i noc, żeby odtworzyć pierwotny projekt. Ja tutaj rządzę, a nie pan McKenna O'Brien. I albo zrobicie wszystko tak, jak zaplanowaliśmy, albo w ogóle nie będziecie tu pracować. Czy wyraziłam się jasno?

- Czy omówiłaś to z panem O'Brienem? - zapytał Wayne. Powstrzymała się, by nie rzucić w niego piórem.

- To, co omawiam z panem O'Brienem, nie ma nic wspólnego z naszą rozmową. Ja odpowiadam za czasopismo, nie on.

- Przypuszczam, że odkąd gazeta opublikowała wasze zdjęcie, masz go w ręku.

- Wayne prychnął.

Jakie zdjęcie? O, Boże! Jedno ze zrobionych pod hotelem Plaża!

Spojrzała na Wayne'a. Żałowała, że jest najlepszym kierownikiem artystycznym w całym mieście. Chętnie wyrzuciłaby go z pracy. Nie mogła jednak uciekać się do takich sposobów. Pracownicy muszą ją szanować. Zasługiwała na to.

- Jesteś doskonałym kierownikiem działu, Wayne. Ale nie podoba mi się, że nie znając faktów, wyciągasz wnioski. To zespół redakcyjny, a nie magiel, w którym wysłuchuje się plotek. - Spojrzała na pozostałych. Każdy z nich z osobna niewiele znaczył; w zespole byli nie do pokonania. - Musimy wykonać zadanie. Niełatwo wrócić do pierwotnego planu, ale właśnie tego wymagam. Jeżeli macie jakieś wątpliwości, pamiętajcie, że ja jestem redaktorem naczelnym, a nie McKenna O'Brien. Będę wdzięczna, jeśli z pytaniami i propozycjami zmian przyjdziecie wprost do mnie.

Nie tracąc więcej czasu, opuściła salę konferencyjną. Tuż za nią wyszedł Jon.

- Dobra robota, Kathy.

- Chyba mnie znienawidzili. Przystanęła.

- Widziałeś zdjęcie, o którym mówił Wayne?

- Nie.

- Nie umrzyj z wrażenia, jak je zobaczysz. Spędziliśmy z Makiem parę godzin i uchwycili nas, gdy wychodziliśmy z hotelu Plaża.

Jon uśmiechnął się i poklepał ją po ramieniu.

- Nie wyciągaj pochopnych wniosków - dodała. - Rozmawialiśmy. To wszystko.

Ruszyła do swego biura, a Jon starał się dogonić swoją bardzo upartą i długonogą przełożoną.

- Nie powiedziałem nic złego.

- Ale pomyślałeś.

- Znam cię, Kathy.

Znowu przystanąła i Jon nieomal na nią wpadł.

- Co masz na myśli? - Spojrzała na niego wściekła. - Że jestem zbyt mało wyemancypowana, żeby wskoczyć facetowi do łóżka? Tak myślisz? Jeśli tak, to jesteś w błędzie.

Jon roześmiał się. Otoczył ją ramieniem.

- Chodźmy do twego biura.

Kathleen zaciągnęła żaluzje i opadła na fotel. Jon usiadł naprzeciw, założył nogę na nogę i odchylił się na oparcie.

- Chcesz o tym porozmawiać?

- Nie - odrzekła. Nie chciała rozmawiać na ten temat. Dlaczego wszyscy uważają ją za feministkę? Dlatego, że lubi swoją pracę? Jasne, że jest za równą płacą. Jasne, że uważa, iż kobiety powinny stać na czele wielkich spółek. Przyjdzie na to czas. Coraz więcej kobiet dojdzie na sam szczyt. Wiele musi się zmienić. Ale dlaczego niektórzy mężczyźni sądzą, że kobieta nie może piastować odpowiedzialnego stanowiska będąc żoną, matką albo kochanką?

- Znów masz ten dziwny wyraz twarzy - powiedział Jon. - Gdybym cię nie znał, pomyślałbym, że ciągle podkochujesz się w Macu.

- Podkochuję, chociaż nie powinnam.

Jon pochylił się do przodu i oparł na biurku Kathleen.

- Dlaczego?

- Bo jest nieznośny, nieugięty i nie umie wybaczać.

- Wygląda to na miłość.

- Raczej na nienawiść.

Jon starał się nie roześmiać.

- Nienawidzisz człowieka, który wydał majątek na róże dla ciebie? Mój Boże, Kathy, co on ci zrobił?

- Chcesz znać prawdę, to ją poznasz. - Kathleen wstała i starała się nie zwracać uwagi na przemożny zapach róż, które przypominały jej Maca; lecz nie było od niego ucieczki. Stała przy półce z książkami, wyciągnęła z wazonu jedną wysokopienną żółtą różę i w roztargnieniu zaczęła obrywać płatki. - Od czego zacząć? - spytała, zwracając się bardziej do siebie niż do Jona.

- Pomińmy fakt, że nie podoba mu się moja fryzura i sposób ubierania. Przejdźmy do istoty rzeczy. On chce, żebym rzuciła pracę i była gotowa na każde jego skinienie.

Kathleen odwróciła się i spostrzegła zadowoloną minę przyjaciela. Doszła do wniosku, że niewiele różni się od Maca. Potrzebowała jednak kogoś, kto by jej wysłuchał, a Jon był pod ręką.

- Mac lubi udawać, że nie jest szowinistą. Obsadza kobietami wysokie stanowiska w swojej firmie. Ale robi tak tylko na pokaz, bo gdy chodzi o jego kobietę, to chce, żeby była służalczą i głupią samiczką, która będzie mu przynosiła kaptcie. Cóż, ja taka nie jestem.

Starła się ukryć łzy. Szybko otarła je wierzchem dłoni, ale zaraz popłynęły nowe.

Jon podszedł do niej, chwycił za ramiona i przyciągnął do siebie.

- Miłość nie jest wcale łatwa.

- Otrząsnę się z tego. - Odepchnęła go, wróciła za biurko i wyjęła notatki, które zrobiła poprzedniej nocy.

- Przyszło mi do głowy parę pomysłów w związku z reklamą pisma. - Utkwiła wzrok w poplamionych łzami papierach, a Jon wrócił na swoje miejsce naprzeciw niej. Kathleen wytarła łzy ostatnią papierową chusteczką, odetchnęła głęboko i odzyskała spokój. Wyprostowała się i zaczęła omawiać swoje pomysły.

- Chcę, żeby rysunek kobiety w samochodzie, czytającej „Sukces”, znalazł się w każdej skrzynce na listy we wszystkich większych miastach.

- O to nietrudno, Kathy. Ale Mac miał rację co do kobiety. Ona wygląda dobrze. Uważam, że nie powinniśmy niczego zmieniać.

Potrząsnęła głową.

- Nie zgadzam się. Spódnica jest za krótka, a włosy zbyt rozwichrzone. Chcę, żeby miała okulary, dłuższą spódnicę i proste włosy. Popracujcie z Wayne'em i pokażcie, co z tego wyszło. Teraz jest za dużo wystrzałowa.

- Rozumiem, że nie życzysz sobie butów ortopedycznych?

- Nie, ale nie chcę też dziewięciocentymetrowych szpilek. - Uśmiechnęła się. - Chcę mieć spis kobiet na wysokich stanowiskach w administracji i w dużych przedsiębiorstwach A także lekarek i prawniczek.

- Zapominasz o kobietach w domu.

- Nie. Zwróć się do bibliotek. Potrzebne mi są nazwiska kobiet, które dużo czytają. I tych, które kupują dużo czasopism.

- I co mam zrobić z tym spisem?

- Każdej z nich trzeba wysłać za darmo pierwszy numer naszego pisma. Chcę, żeby dotarł do nich na dzień przed ukazaniem się w sprzedaży.

- To będzie kosztować.

- Jeżeli McKenna O'Brien chce zarobić, najpierw musi trochę wydać.

- W porządku. Co jeszcze?

- Chcę, żeby „Sukces” leżał obok „People”.

- To niemożliwe.
- Mało prawdopodobne, ale możliwe. Pogadaj z dystrybutorami i dowiedz się, jak to zrobić.
- Przyjdzie za to zaprzedać duszę.
- Sprzedam wszystko, byleby tylko odnieść sukces.

Ashley wpatrywała się w zdjęcie w gazecie, które w tajemniczy sposób znalazło się na progu jej domu. Zdjęcie obrysowane było czerwonym flamastrem. „McKenna O'Brien i nieznana piękność. Sprawdzone źródła donoszą, że po spotkaniu w barze hotelu Plaża para wynajęła apartament. Wyszli z niego dopiero o wpół do szóstej rano. Magnat prasowy O'Brien zerwał swój długotrwały związek z należącą do towarzystwa Ashley Tate.”

Ashley cisnęła gazetę i zapaliła papierosa. Jak on śmiał dać się przyłapać przez tych wścibskich fotoreporterów? I kto im pozwolił pisać o zerwaniu? Skąd o tym wiedzieli?

Nie wiedziała, co bardziej ją rozwścieczyło - to, że napisali o ich zerwaniu, czy też fakt, że Mac był z tą kobietą. Jak mógł zniżyć się do kogoś takiego po dziesięciu latach spędzonych ze mną? - zastanawiała się. Kathleen nie dorównywała jej. Ona, Ashley, była najlepsza pod każdym względem.

W parę minut dotarła do mieszkania Maca. Nie znosiła stać przed drzwiami i stukać jak byle kto. Jak śmiał zażądać zwrotu klucza? I nie zrobił tego osobiście, tylko przez sekretarkę! Na samo wspomnienie rozżłościła się jeszcze bardziej. Przycisnęła guzik, a potem zaczęła walić pięściami w drzwi, tak że o mało nie uderzyła kobiety, która je otworzyła. Nie pozwoli tej śmiesznej staruszce, by trzymała ją za progiem. Gospodyni zablokowała jej drogę.

- Muszę zobaczyć Maca.
- Oj, oj, oj. Ależ się spieszymy.
- Zejdź mi z drogi. Wiem, gdzie go szukać.
- Je lunch w kuchni - warknęła Merry. Na widok Ashley znikła cała jej serdeczność.
- Mnie nie nabierzesz. Dobrze wiem, że Mac nie jada lunchu. O tej porze jest w pokoju gimnastycznym.
- Proszę bardzo - powiedziała Merry i przesunęła się, aby wpuścić Ashley. - Ale nie znajdzie go pani tam.

Ashley popędziła korytarzem i wpadła do pokoju. Ani śladu Maca. Odwróciła się do dziwacznej staruszki.

- Gdzie on jest? - wysyczała.
- Już chyba mówiłam.

Ashley odepchnęła Merry i pognęła do kuchni. Cóż on, u diabła, robi w kuchni? Przecież nie umie gotować. A zresztą kuchnia jest dla służby.

Stała jak wryta. Siedział nad talerzem pełnym ciasteczek, ze szklanką mleka w ręce.

- Chcesz ciasteczko? - zapytał z uśmiechem, podając jej talerz.

- Od kiedy jadasz ciastka? - spytała.

- Od kiedy z tobą zerwałem. I wiesz co? Nigdy nie byłem szczęśliwszy. - Podniósł szklanę, jakby wznosił toast, i jednym haustem opróżnił jej zawartość.

- Jesteś obrzydliwy - zaskrzeczała Ashley i chwyciła talerz z ciastkami. Rozejrzała się nie wiedząc, co z nim zrobić. Nie miała pojęcia o gotowaniu i sprzątanii, ale wiedziała coś niecoś na temat nowoczesnego wyposażenia kuchni. Wypatrzyła prasę do śmieci. Wepchnęła do niej talerz z ciastkami. Zamknęła klapę i włączyła prąd. Rozległ się chrzęst.

- Oto, co myślę o tobie i twoich ciastkach! - wrzasnęła i rzuciła mu przed nos gazetę. - Co to ma znaczyć?

Wcale nie wyglądał na zakłopotanego. Zlekceważył jej krzyki. Wstał od stołu i z gazetą w ręku wyszedł z kuchni. Ashley pobiegła za nim wściekła, że potraktował ją tak chłodno.

Patrzyła zdumiona na jego strój. W domu zwykle nosił luźne spodnie, koszulę, krawat i sweter - dzisiaj ubrany był inaczej. Miał na sobie sprane dzinsy i - nie do wiary - czerwono-niebieską kraciastą koszulę kowbojską zapinaną na zatrzaski z masy perłowej.

Zabiegła mu drogę i zatrzymała go, opierając dłonie na jego piersi.

- Co tu się dzieje, Mac? Dlaczego ze mną zerwałeś? Dlaczego zacząłeś romans z Kathleen? - Szarpnęła go za koszulę. - Dlaczego tak się ubrałeś?

- Przestań wrzeszczeć - powiedział spokojnie. Chwycił ją za rękę, poprowadził do kanapy i zmusił, żeby usiadła.

- Czy możesz porozmawiać bez krzyków? Odetchnęła parę razy.

- Mogę.

- Przede wszystkim nasz związek skończył się już dawno. Chyba o tym wiesz? Nadąsała się.

- Myślałam, że nasz związek jest udany.

- Udany? Raczej umiarkowanie. - Usiadł naprzeciw i oparł łokcie na kolanach. - Posłuchaj, Ash. Nie chcę ci sprawiać przykrości, ale to koniec.

- Nie dla mnie. - Wycisnęła łzę z oka.

- Żeby tworzyć parę, potrzeba dwojga, a żadne z nas nie starało się, by było dobrze.

- Ale jak możesz odejść ode mnie do kogoś takiego jak... ona?

- Na ten temat nie będziemy rozmawiać.

- Dlaczego? Jeżeli potrzebujesz kogoś do łóżka, możesz sobie znaleźć dziewczynę na ulicy. O wiele taniej. Lepiej się obudź, ona jest z tobą dla twoich pieniędzy.

Mac roześmiał się i potrząsnął głową. Ashley patrzyła na niego zdumiona. Nie widziała w tym nic śmiesznego.

- Nie, Ash. Ja nie szukam kogoś do łóżka. Gdyby tak było, już dawno zerwałbym z tobą. A ona wcale nie jest zainteresowana moimi pieniędzmi. Co

się tyczy mojego związku z Kathleen, to sprawa ściśle prywatna. I dotyczy wyłącznie jej i mnie.

Otarła drugą łzę.

- Nie krzycz na mnie, Mac. Ja cię kocham. Zawsze cię kochałam.

- Przestań się zgrywać, Ash, i daruj sobie te łzy. Po dziesięciu latach nie robią już na mnie wrażenia.

Zaczerwieniła się i zamachnęła, by go spoliczkować. Złapał ją za nadgarstek i przytrzymał.

- Lepiej, żebyś poszła do domu.

- Nie chcę wracać do domu. Chcę tu zostać i przemówić ci do rozumu.

- Musisz wracać do siebie i uporządkować swoje własne życie. Ja świetnie radzę sobie bez ciebie.

- Masz zamiar się z nią widywać? Uważaj kochanie, takie zdjęcia mogą zrujnować twój wizerunek.

- Nigdy nie przejmowałem się swoim wizerunkiem. Ty tak, ale nie ja. I już ci mówiłem, nie chcę z tobą rozmawiać na osobiste tematy.

Ashley przyjrzała mu się podejrzliwie.

- Ale nie jesteś w niej zakochany? Zastanawiał się zbyt długo.

- Nie.

- Kłamiesz. Czytam w tobie jak w otwartej książce.

- W takim razie wiesz, że naprawdę zerwałem z tobą. Rozejdźmy się spokojnie.

- Spróbuję, ale zależy mi na tobie. Nie mogę zrozumieć tej nagłej zmiany stylu bycia. Ciastka? Mleko? I, mój Boże, Mac, kowbojski strój? Jak możesz?

- Nigdy tego nie zrozumiesz.

Nie rozumiała, a gdyby nawet próbował jej wytłumaczyć, nie słuchałaby go. Decyzję podjęła, gdy tylko zobaczyła zdjęcie w gazecie. Ashley Tate postanowiła się zemścić.

Rozdział dziewiąty

Kathleen starała się nie przejmować zdjęciami, które ukazały się w „The Tattler”, nie mogła jednak o nich zapomnieć. Uchwycono moment, gdy wsiadała do taksówki, odsłaniając uda spod marynarki Maca. Mac stał obok, z ręką na jej pośladkach. Tytuł mówił wszystko: „Księżę Wydawców i jego najnowsza miłość. Kto ukrywa się pod męską marynarką i czemu on wygląda, jakby coś zawinił?”

Starała się skupić na bieżących sprawach. Niestety, mogła myśleć wyłącznie o dłoni Maca dotykającej jej pośladków, o jego pocałunkach, ciepłych wargach, białych zębach i umięśnionym ciele. Boże, jakże go pragnęła!

Pragnęła go pomimo tej głupiej kłótni. Wiedziała, że Mac wróci. Wiedziała również, że mu nie ulegnie. Nie może się poddać. Co najwyżej lekko się ugiąć. Ale czy powinna? On nie chciał ustąpić ani trochę.

Gdyby teraz wszedł do jej gabinetu, może osiągnęliby kompromis. Ale od kłótni upłynęły trzy dni. Nie pokazał się w pracy. Grace powiedziała jej tylko tyle, że dzwoni codziennie rano, by powiedzieć, że nie przyjdzie.

Kate postanowiła pójść na spacer. Może ruch na świeżym powietrzu pomoże jej się skupić. Wzięła torebkę i wyszła z pokoju.

Drzwi windy otworzyły się i Kathleen niemal zderzyła się z Ashley.

- Och, witam panią. Właśnie panią chciałam tu spotkać - powiedziała Ashley tonem pełnym sztucznej słodyczy.

- Miałam ciężki ranek i umieram z głodu. Może wybrałybyśmy się razem na lunch?

- Przykro mi, ale nie mam dziś czasu. - Wolałabym raczej lunch w towarzystwie żmii, pomyślała Kate.

- Bzdura. Na lunch może pani znaleźć wolną chwilę.

- Nie. Muszę wracać do pracy.

- Proszę.

Co ona knuje? Co się kryje pod udawaną uprzejmością? Ta kobieta z pewnością nie ma przyjaciół.

- Może zjemy hot-doga w parku? - zaproponowała Kathleen.

- Hot-doga? Nie, absolutnie nie. Myślałam raczej o sałatce w moim klubie.

Kathleen spojrzała na Ashley - żółta suknia, białe szpilki, biała torebka. Ona zaś miała na sobie wełnianą sukienkę, którą w roztargnieniu włożyła zamiast płóciennej, a włosy w nieporządnym strąkach wymykały się z koka. Stojąc obok Ashley, poczuła się zaniedbana i niechlujna.

- Nie jestem odpowiednio ubrana - powiedziała. Ashley zlustrowała ją od stóp do głów.

- Proszę się nie martwić. Nikt nie będzie nas oglądał. Po prostu usiądziemy sobie i pogadamy.

Chwyciła Kathleen pod rękę i pociągnęła za sobą. Odtrąciła starszego pana i wepchnęła Kathleen do taksówki. Wsiadła i zatrzasnęła drzwi.

- Klub Anton - rzuciła taksówkarzowi. - Znalazła już pani kogoś odpowiedniego?

- Odpowiedniego? - Kathleen zastanawiała się, o co jej chodzi. Żałowała, że pozwoliła zaciągnąć się do taksówki. Nic nie wyszło z przyjemnego spaceru po parku. Lunch z Ashley to prawdziwe nieszczęście.

Podczas jazdy Ashley narzekała na kierowcę, na zatęchły zapach w taksówce i wygórowane ceny, zapowiedziała, że nie da mu napiwku, a on spoglądał na nią z wściekłością. Kathleen modliła się, by dojechać już do klubu. Przypuszczała, że gdyby Ashley była sama, kierowca wywiózłby ją do najgorszej części miasta i tam zostawił na pastwę losu.

Wysiadając Kathleen uśmiechnęła się do kierowcy i wsunęła mu do ręki napiwek.

Zaskoczył ją wdzięk i prostota w wystroju klubu. Spodziewała się wystawnego umeblowania i obrazów w złotych ramach. Tymczasem ściany zdobiły tapety w drobny wzór kwiatowy, a zasłony i obicia były uszyte z adamaszku w różowych i niebieskich odcieniach.

W drodze do stolika Ashley ucałowała prawie wszystkie obecne kobiety. Wymieniała ploteczki, wdzięczyła się, prawiła komplementy. Kathleen miała ochotę zapaść się pod ziemię. Nienawidziła plotek i okazywania fałszywych czułości.

- Wygląda na to, że pani zna tutaj wszystkich - powiedziała, starając się uporządkować niesforne włosy.

- Oczywiście, że znam. Bywam tu od wielu lat. To moje najdroższe, najmilsze przyjaciółki. - Ashley posłała komuś pocałunek. Wyglądała na zadowoloną i pewną siebie. Kathleen gorąco pragnęła czuć się tak samo.

Podszedł kelner i Ashley, nie pytając Kathleen o zdanie, zamówiła wino.

- A teraz - powiedziała - proszę mi opowiedzieć o sobie.

- Nie mam zbyt wiele do opowiadania...

- O, tam - przerwała jej Ashley - to Costance O'Brien. Matka Maca. Ale z pewnością już ją pani poznała.

- Nie. Nie miałam przyjemności - przyznała Kathleen. Obawiała się spotkania z matką Maca.

- Cóż, właśnie ją pani widzi. To wspaniała kobieta. - Ashley pomachała starszej pani, zapraszając ją do stolika.

Idąc przez salę Constance O'Brien, przykuwała uwagę wszystkich obecnych. Wysoka, postawna, zadziwiająco piękna pomimo siedemdziesięciu sześciu lat, wyglądała na prawdziwą arystokratkę. Krótkie, elegancko uczesane włosy były białe jak jej perłowe kolczyki. Wyglądała jak żywcem wyjęta z magazynu mody. Miała na sobie kostium z niebieskiego jedwabiu i białą jedwabną chustę na prawym ramieniu. Ashley wstała, aby ją powitać. Kathleen przyglądała się starszej pani z nabożnym zachwytem.

- Witam cię, Ashley. Cieszę się, że cię widzę - powiedziała Constance O'Brien. Jej sposób mówienia i wyraz twarzy były takie jak u Maca. Chłodna, opanowana, wyrafinowana i elegancka. Podobnie jak Mac onieśmiała manierami i bogactwem. Kathleen przyjrzała się jej twarzy i dostrzegła zrozumienie ukryte w głębi szaroniebieskich oczu. Takich samych jak u Maca.

- Wiedziałam, że cię tu zastanę, Constance. Dlatego przyszedłam - mówiła Ashley ociekającym słodyczą głosem, uśmiechając się arogancko do Kathleen. - Wiem, że chciałaś poznać Kathleen Flannigan. Znasz ją jako tę kobietę ze zdjęć w gazecie.

Kathleen pragnęła umrzeć. Wyprostowała się jednak i podniosła podbródek. Od razu poczuła się lepiej. Pani O'Brien była tego samego wzrostu i obie kobiety spojrzały sobie prosto w oczy. Kathleen spodobał się wyraz oczu Constance.

Pani O'Brien ujęła rękę Kathleen w silnym, przyjacielskim uścisku.

- Bardzo się cieszę, że panią poznałam.

Kathleen spodziewała się chłodnego podania ręki i zdawkowego powitania.

- Dziękuję. - Spróbowała wysunąć dłoń, ale pani O'Brien przytrzymała ją. - Nie spodziewałam się, że spotkam... Nie jestem... Przepraszam...

- O, nie, moja droga. Pierwsza zasada towarzyska brzmi: Nigdy się nie usprawiedliwiał, zwłaszcza gdy nie zrobiłaś nic złego.

- Przepraszam - wtrąciła Ashley, stając między Kathleen i panią O'Brien.

- Och, droga Ashley. Omal nie zapomniałam o tobie - powiedziała pani O'Brien ze zdawkowym uśmiechem.

- Te zdjęcia Maca były po prostu potworne, nie sądzisz, Constance?

- Potworne? Skoro już o tym mowa, Mac ma na nim wykrzywione usta. Nie podoba mi się jego mina. On ma taki przyjemny uśmiech. Czy zgodzi się pani ze mną, Kathleen?

- O, tak. - Kathleen przypomniała sobie coś więcej niż jego uśmiech.

Pani O'Brien mrugnęła do Kathleen.

- Głupie zdjęcie i te nagłówki. Annabella Adams najwyraźniej się starzeje. Kiedyś pisywała wspaniałe plotkarskie artykuły. Bawiły mnie zwłaszcza historie o moim mężu i tajemniczych kobietach, z którymi spotykał się w ukryciu.

Do dziś nie mogę się nadziwić, że ludzie wierzą w takie bzdury.

- Cóż, ja uważam, że zdjęcie jest okropne - wtrąciła Ashley. - I takie kłopotliwe dla Maca.

Constance zmarszczyła brwi.

- Zawsze przywiązywałaś zbyt dużą wagę do plotek. Nikt rozsądny nie wierzy w te głupstwa.

- Ale to co innego. To takie niesmaczne. Ona jest częściowo rozebrana, a Mac ledwie ją zna. Te zdjęcia insynuują, że spędzili noc w hotelowym pokoju, nie zapominaj o tym.

Kathleen westchnęła przerażona. Jak ta kobieta może być tak okrutna?

- Spędziliście tam noc, prawda? - spytała Ashley, spoglądając na Kathleen.

- Tak, ale...

- Kathleen, moja droga - przerwała jej pani O'Brien, poklepując ją po ręce. - Niech pani nie zapomina, co powiedziałam o usprawiedliwianiu się. - Zwróciła się ku Ashley. - Dziękuję, że przyprowadziłaś tu Kathleen. - A potem znów do Kathleen. - Przyjdzie pani na nasz bal z okazji jubileuszu?

- Ona jest pracownicą, Constance. Musi przyjść.

Pani O'Brien ujęła dłonie Kathleen i ścisnęła serdecznie.

- Proszę zostać na cały weekend. Ashley zaniemówiła ze zdumienia.

- Och, nie. Nie mogę - odrzekła Kathleen.

- Musisz zostać. Nalegam.

- Cóż, wydaje mi się...

- W porządku. Jesteśmy umówione.

- Sądzę, że mogłabym zmienić plany i również zostać na weekend, Constance.

- Nie, Ashley. Nie mogę cię o to prosić. A zresztą i tak spędzamy razem wiele czasu.

- Dla mnie to zawsze zbyt mało.

- Będziesz musiała przywyknąć, moja droga. - Pani O'Brien spojrzała na Ashley z zimnym uśmiechem.

Kathleen nie była pewna, czy jej rywalka dobrze zrozumiała, co oznaczają te słowa, bo Ashley uśmiechała się tak, jakby nic się nie stało. I wtedy rozległ się piskliwy głos wzywający panią O'Brien.

- Hej, Constance. - Mała, błękitnowłosa kobieta w purpurowej sukni z żabotem machała do niej ręką.

- Miło mi było panią poznać, ale muszę już odejść. Moje przyjaciółki, Eloise, Linda i Nan, nie lubią być zaniedbywane. - Pani O'Brien pomachała im.

Constance O'Brien spodobała się Kathleen. Wyobrażała sobie, że damy z towarzystwa to nadęte snobki, lecz Constance była inna. Stanowiła całkowite ich przeciwieństwo.

- Oczekuję pani w ten weekend, moja droga. Do widzenia, Ashley.

Kiedy pani O'Brien odeszła, kelner natychmiast podsunął krzesło Ashley i nalał jej wina.

- Ma okropny smak, skąd je wzięliście? Z Kalifornii?

- Przepraszam.

- Przynieś jakieś inne. Kelner zwrócił się do Kathleen:

- A dla pani?

- Nic. Dziękuję.

Ashley z zazdrością słuchała miłej wymiany zdań między Kathleen a uśmiechniętym kelnerem.

- Przyprowadziłam tu panią jako gościa. Jak pani mogła tak zdominować rozmowę. Gdybym przypuszczała, że tak się pani przyssie do Constance, nigdy bym pani nie przedstawiła.

Kathleen nie odpowiedziała. „Nigdy się nie tłumacz”.

- Teraz musi pani wymyślić jakiś powód, żeby nie zostać u niej na weekend. Co sobie Mac pomyśli? On pani nie zaprosił.

Podszedł kelner z butelką Chardonnaya i odkorkował ją.

- Nalej i wynoś się. - Ashley spróbowała wina. - Tutejsza obsługa bardzo się pogorszyła. - Spojrzała na Kathleen. - Ten weekend to absolutne dziwactwo. I w coż by się pani ubrała? Chyba nie w to, co nosi pani do pracy?

Kathleen nie mogła się powstrzymać. Musiała coś powiedzieć.

- Nie sądzę, żeby pani O'Brien zaprosiła mnie, by obejrzeć moją garderobę.

- Więc po co? Zupełnie nie rozumiem.

Kathleen nie odpowiedziała. Patrzyła na kobietę zbliżającą się do ich stolika. Niska i krągła z oczami utkwionymi w wyszukany deser, który niosła na półmisku, pogrążona we własnym świecie. Nuciała pod nosem coś w rodzaju kolędy.

W pewnej chwili potknęła się. Półmisek wysunął się jej z rąk i przeleciał w powietrzu nad Ashley. Zawisł nad jej głową, a potem przechylił się i deser zsunął się z naczynia. Mieszanka lodów waniliowych, czekolady, bitej śmietany, orzechów i wiśni. Wszystko to spoczęło na czubku głowy Ashley. A potem każdy składnik popłynął własną drogą. Czekolada spływała po jednym policzku, bita śmietana po drugim. Lody zsunęły się na kolana, a okazała wiśnia zatrzymała się na czubku nosa.

Kathleen roześmiała się. Nie mogła się powstrzymać. Kobiety przy sąsiednich stolikach także. Ale nie Ashley; jej twarz oblała się purpurą. Zerwała się z krzesła. Przewróciła naczynie z wodą i kieliszek z winem. Czekolada spłynęła na żółtą suknię, zostawiając na niej brązowe smugi.

Ashley bluzgała przekleństwami, starając się zetrzeć czekoladę, ale tylko ją rozmazała. Wyprostowała się, spojrzała na Kathleen wzrokiem pełnym nienawiści i wypadła z sali jadalnej.

Kathleen pochwyciła spojrzenie pani O'Brien. Matka Maca mrugnęła do niej, a jej przyjaciółki zaśmiewały się. Kathleen poszukała wzrokiem kobiety, która straciła równowagę i deser. Miała nadzieję, że potknąwszy się, nic sobie nie zrobiła, ale kobieta zniknęła bez śladu.

Rozdział dziesiąty

- Dzień dobry, mamo. - Mac czule pocałował matkę w gładkie czoło.

Usiadł na krześle, które podsunął mu lokaj, i spojrzał na plastry melona i czarną kawę.

- Przepraszam, George. Czy nie znalazłoby się coś bardziej treściwego? Ciemny chleb, kiełbasa. Sam wiesz, obfite wiejskie śniadanie.

George przyjrzał mu się krytycznie.

- Pieczeń w sosie i grzanki będą odpowiednie, proszę pana?

- Myślę, że to dobry pomysł.

Mac sięgnął po leżącą przy jego nakryciu gazetę i rzucił okiem na pierwszą stronę.

- Jemy razem śniadanie. Mam nadzieję, że o tym nie zapomniałeś - usłyszał głos matki. - Możesz sobie czytać, gdy jesteś sam, ale dziś jesteś moim gościem.

Spojrzał na nią znad gazety. Na swoje siedemdziesiąt sześć lat wyglądała bardzo dobrze. Sprawiała wrażenie osoby, która ma do omówienia tysiące spraw; a widywali się przecież tylko dwa razy na miesiąc.

Złożył gazetę.

- Twoje róże wspaniale się prezentują - powiedział, spoglądając na rozległy trawnik obramowany różami we wszystkich odcieniach. Ich zapach docierał do patio. Mac lubił wiosnę i lato w rezydencji McKenna. Czasami żałował, że nadal tu nie mieszka. Lubiał patrzeć na ogród - dumę i radość matki. Wspominał rosę na świeżo strzyżonych trawnikach, po której jako dziecko biegał na bosaka. Brakowało mu rozmów z rodzicami podczas posiłków na świeżym powietrzu.

- Błędzisz myślami nie wiadomo gdzie, Mac.

- Przepraszam. Wspominałem dawne czasy.

- Nie zaprosiłam cię tutaj, żeby rozmawiać o różach i wspominać dawne czasy. Chcę z tobą pomówić o Kathleen Flannigan.

Skrzywił się.

- Skąd, u diabła, wiesz o Kathleen?

- Po pierwsze wasze zdjęcie zdobi pierwsze strony gazet, a po drugie przedstawiła mi ją twoja przyjaciółka, Ashley.

Mac zmarszczył czoło.

- Kiedy?

- Wczoraj. Jadły razem lunch w klubie.

- To niemożliwe. Ashley nie znosi Kathleen.

- Możliwe czy niemożliwe, były tam razem. - Pani O'Brien wypila trochę soku pomarańczowego i przyjrzała się twarzy syna. - Kathleen jest czarująca, zupełnie inna niż wszystkie twoje znajome.

- O, tak, jest inna. - Zupełnie, zupełnie inna, pomyślał. - Czego chcesz się o niej dowiedzieć?

- Wszystkiego. Zaprosiłam ją na weekend i muszę wiedzieć, o czym z nią rozmawiać.

Zakrztusił się kawą.

- Czy mnie uszy nie mylą?

- Nie mylą.

- Na najbliższy weekend?

- Oczywiście. Po balu.

- Nie, mam. Kathleen nie spędzi tu tego weekendu. Ja tutaj zostanę, i ty o tym wiesz.

Constance splotła ręce na kolanach i uśmiechnęła się.

- Owszem, kochanie. Kathleen zostanie tu na sobotę i niedzielę, bo ja ją zaprosiłam. Nie ty. Będzie moim gościem. A teraz zechciej mi opowiedzieć, proszę, o niej i wytłumacz, dlaczego nie życzysz sobie, żeby została po balu.

Mac wpatrywał się w swój talerz. Stracił apetyt.

- Nie chcę, żeby została, bo... - Nie mógł wymyślić żadnego powodu.

- No, dalej, Mac. Czekam.

Cóż można powiedzieć matce, aby skłonić ją do zmiany planów. W ciągu prawie pięćdziesięciu lat nie widział, by matka kiedykolwiek zmieniła decyzję. Nawet jeśli błagał ją i płakał.

Odkroił kawałek grzanki, umoczył ją w zawieszonym sosie, spróbował i wycelowawszy widelec prosto w matkę, powiedział:

- Nie mam zamiaru widywać jej więcej prywatnie. Sądzę, że ty również nie powinnaś.

- Ależ, synu, ona mi się podoba. I tobie chyba także, skoro spędziłeś z nią noc.

- Nie spędziłem z nią nocy - wypalił.

- Więc co oznacza to zdjęcie w gazecie? Wzruszył ramionami.

- To długa historia.

- Spędziłeś z nią noc czy nie?

- A co to, przesłuchanie?

- Tak, przesłuchanie, młody człowieku.

Mac odłożył widelec i zapominając o dobrych manierach, podparł brodę pięścią i zamknął oczy. Matka była najbardziej nieubłaganą istotą jaką znał. Dlaczego kobiety jego życia mają taką władczą naturę?

- Tak, spędziliśmy noc razem. Nie, nie spałem z nią. I...

- Spojrzał na matkę, licząc na zrozumienie. - Ona u mnie pracuje.

- Rozumiem. - Constance uśmiechnęła się wyrozumiale.

- Złamałeś swoją zasadę dotyczącą romansowania w pracy, prawda?

- Nie utrudniaj mi. Ta noc to przypadek. Spodziewałem się, że spotkam kogoś innego.

- I co się stało z tym kimś innym?

- To bez znaczenia.

- Kathleen jest bardzo ładna.

- Tak, bardzo ładna.

- Lubisz ją?
 - Tak. - Przypomniał sobie umazane masłem usta, bosa stopy i zniewalający uśmiech.
 - Nie ubywa mi lat, Mac. Chciałabym doczekać wnuka lub wnuców.
- Mac zmarszczył czoło.
- Ona nie jest materiałem na żonę.
 - A dlaczego to?
- Opadł na oparcie krzesła i zaczął wymieniać powody.
- Po pierwsze jest uparta... i zacięta. Drzemmy koty w pracy i skaczemy sobie do oczu poza biurem. Nie uwierzysz, ale powiedziała mi, że chce kierować McKenna Publishing.
 - Musiałaby zostać członkiem rodziny - stwierdziła Constance.
 - Och, z pewnością zdaje sobie z tego sprawę. Ale chyba zapomniała, że nie może być i tym, i tym.
 - Nie rozumiem. Co oznacza „i tym, i tym”?
 - Nie może być żoną i zarządzać firmą.
- Constance roześmiała się. Wstała od stołu. Miała syna dosyć. Z wiklinowym koszem i nożycami podążyła przez trawnik ku swoim różom. Włożyła rękawice i dotknęła pączka wysokopiennej żółtej róży. A potem zaczęła ścinać kwiaty, by udekorować wnętrze domu.
- Mac przyglądał się jej i myślał, że jeśli ma się ożenić, to pragnie kobiety takiej jak ona. Kobiety, która będzie kochała dom i rodzinę i poświęci dla nich karierę zawodową.
- Przeszedł przez trawnik, wziął koszyk z rąk matki i przystanął obok niej.
- Już dawno powinienesz być się ożenić - powiedziała, nie odrywając oczu od kwiatów.
 - Nie znalazłem odpowiedniej kobiety.
 - Może jesteś zbyt wybredny?
 - Ona musi być idealna.
 - Takiej nigdy nie znajdziesz. Nie ma kobiet idealnych.
 - Zawsze myślałem, że wasze małżeństwo było idealne. Constance spojrzała mu w oczy.
 - Twój ojciec nie był ideałem.
 - Ale byliście szczęśliwi.
 - Kochałam go pomimo wszystkich jego wad.
 - Ja także mogę się pogodzić z wadami. Po prostu nie chcę, żeby moja żona pracowała. Chcę, żeby była w domu. I żebym ja był dla niej najważniejszy. Zawsze.
 - Mały samolub.
 - I co złego w tym, że chcę być najważniejszy?
 - Ty zawsze byłeś najważniejszy. A może Kathleen jeszcze nigdy nie była na samym szczycie. Może chce sprawdzić, jak to jest, a potem zdecydować. Jeżeli nie spróbuje, zawsze będzie tego żałowała.

- Tu nie chodzi tylko o sprawy zawodowe - wyszeptał Mac.

Constance przestała ścinać kwiaty. Otoczyła syna ramieniem i poprowadziła na patio.

- A o co chodzi?

- Ona ma dziecko.

- Jest rozwódką? - spytała Constance.

- Nie, nigdy nie była zamężna. Constance roześmiała się.

- Z czego się śmiejesz, do diabła?

- Z ciebie, mój drogi. Jesteś takim konserwatywnym nudziarzem. A teraz wynajdujesz najprzeróżniejsze powody, żeby trzymać się od niej z dala. O co chodzi? Ze zgrzeszyła? Czy też nie chcesz wchodzić w już istniejącą rodzinę?

- Żałuję, że o tym wspomniałem. Jesteś równie wyzwolona jak Kathleen.

- Nie wyzwolona, kochanie. Po prostu rozsądna. Wydaje mi się, że twoje uczucia są znacznie silniejsze, niż to okazujesz. Może trzeba pójść na ustępstwa. Nigdy nie widziałam takiego błysku w twoich oczach, gdy opowiadałeś mi o Ashley.

Dlaczego matka musi być taka spostrzegawcza? To prawda, na myśl o Kathleen wszystko wokół niego jaśnieje. Ale ona nie pasuje do jego modelu małżeństwa.

- Widzę, że nie przekonam cię, żebyś nie zapraszała jej na weekend.

- Nie przekonasz.

- Sama zobaczysz, jaka jest uparta i zawzięta.

- Synu. Ty także jesteś uparty i zawzięty, a jednak wciąż cię kocham.

Rozdział jedenasty

- Proszę spojrzeć, co mam dla pana. - Merry otworzyła drzwi gabinetu Maca popychając je krągłymi biodrami. Zwróciła ku niemu uradowaną twarz i z dumą wniosła srebrną tacę z dwoma kubkami gorącej czekolady oraz cynamonowymi bułeczkami ozdobionymi bitą śmietaną. - Pycha.

- Mówiłem, żeby mi nie przeszkadzać.

- Tak, tak właśnie pan powiedział.

Mac spojrział znad rozłożonych na biurku papierów i skrzywił się.

- No, no, no. Nic z tego, młody człowieku. Nie nazwałabym mego wejścia przeszkadzaniem, skoro przesiaduje pan od trzech godzin, wpatrując się w ten sam dokument.

- Rozmyślam. Nie jestem głodny.

- Nic tak dobrze nie wpływa na umysł jak gorące bułeczki cynamonowe. - Położyła tacę na stole, odsunęła papiery na biurku i postawiła przed Makiem kubek z czekoladą. Nie dąsał się dłużej, odchylił się na oparcie krzesła i przeciągnął.

Merry usiadła obok biurka, wzięła talerz z bułeczkami. Nabrała na łyżeczkę sporą porcję bitej śmietany i włożyła ją sobie do ust.

- Mniam, mniam, mniam.

- Czy chcesz o czymś porozmawiać? - zapytał Mac, rysując wzorki na bitej śmietanie.

- Oczywiście, że chcę. Po co bym tu przyszła?

- Żeby mi dokuczać.

- Och, nie dokuczać. Po prostu powiedzcieć, co o tym myślę.

- O czym?

- Odkąd pokłócił się pan z Kathleen...

- Nie pokłóciłem się z Kathleen.

- Niech i tak będzie, ale odkąd widział się pan z nią po raz ostatni, wyrzeka pan na wyzwolone kobiety. Znam te objawy. Jeśli chce pan poznać moje zdanie...

- Nie chcę, Merry.

- Niech mi pan nie przerywa, McKenna. Jak już wspomniałam, jasne jest jak słońce, że szaleje pan za Kathleen Flannigan.

- Nie będę rozmawiał na ten temat.

- Więc może pan coś zrobi.

- Na przykład?

- Cóż, za moich czasów... a było to dawno temu... mężczyźni zapraszali kobiety na kolacje.

- Zaprosiłem. Odmówiła.

- Posyłali kwiaty.

- To także zrobiłem. Posłuchaj, Merry. Ona po prostu nie jest mną zainteresowana.

- A pan?
 - Cholera, sam nie wiem dlaczego, ale jestem.
 - Próbował pan ją pocałować?
 - To zbyt osobiste pytanie. Merry uniosła brwi.
 - Oczywiście, że osobiste. Musimy rozpatrzyć problem pod każdym kątem. Więc jak, pocałował ją pan?
 - Tak.
 - I?
 - Co „i”?
 - Oj, oj, oj. Panie O'Brien, nie ułatwia mi pan sprawy. Była zadowolona?
 - A skąd mam to wiedzieć, do cholery? Oczy Merry zwęziły się.
 - Pan wie, co myślę o przeklinaniu, młody człowieku.
 - Przepraszam.
 - Więc jak, zemdląca?
 - Jasne, że nie.
 - Uśmiechała się? Zniżył głos.
 - Przy pierwszym pocałunku.
 - A za drugim?
 - Nie wiem.
 - Jak to nie wiem? Był pan tam, prawda?
 - Pocałowałem ją i wyszedłem. Nie patrzyłem na jej twarz. - Wstał i podszedł do kominka, żeby ogrzać ręce. Nadal nie mógł przywyknąć do niezwykłego chłodu panującego w mieszkaniu. Bez względu na to, jak nastawiał termoregulator, zawsze było piętnaście stopni.
- Merry otarła usta koronkową serwetką, wstała i cicho podeszła do Maca.
- Nie będę pana pouczać, ale mam swoje zdanie na temat całowania i wychodzenia. Gdyby mój Mikołajek zrobił coś takiego, na pewno nie grzałabym go w mroźne zimowe noce.
 - Więc pani uważa, że lepiej o niej zapomnieć?
 - Na Boga, nie! Ale powinien pan wyrzucić pychę z serca i zrobić pierwszy krok.
 - Nie mogę pójść do niej.
 - Niby dlaczego nie?
 - Spoliczkuj mnie.
 - Więc niech pan ją zaprosi tutaj.
 - Jak mam to zrobić?
 - Oj, oj, oj. Pan w ogóle nie myśli. - Merry podeszła do biurka i sprzątnęła naczynia.
 - Mógłbym jej powiedzieć, że chcę z nią omówić sprawy służbowe. Policzki Merry zaróżowiły się bardziej niż zwykle. Oczy zabłyśły.
 - Tak. Może pan to powiedzieć - rzekła z zachwytem.

Kathleen zawahała się przed drzwiami. Była poirytowana. Jak śmiało dzwonić późno w nocy i żądać, żeby rzuciła wszystko i przybiegła. Dlaczego nie omówił spraw dotyczących czasopisma w czasie godzin pracy? Jak mógł zatelefonować tak późno i nawet nie przeprosić? Czuła się urażona i wściekła.

Uniosła rękę, żeby zastukać. Zaledwie dotknęła drzwi, a już się otworzyły. Przed nią stał Mac.

- Cieszę się, że przyszłaś.

- Powiedziałam, że przyjdę.

- Ale bez przekonania.

- Już późno, czego chcesz? - Kathleen starała się go wyminąć. Ani drgnął. Jego dłoń musnęła jej rękę. Czuła zapach wody po goleniu. Słyszała jego oddech. Czyżby czytał w jej myślach? Odgadł, że chce, by znów ją pocałował? Czy naprawdę chce rozmawiać o czasopiśmie? Może to tylko pretekst? A jeśli zechce rozmawiać wyłącznie na tematy służbowe, czy oznacza to, że ich związek uczuciowy już się skończył? O Boże, pomyślała, tracę rozum.

- Wejdz i usiądź - powiedział Mac i wpuścił ją do mieszkania. Stanął przy krytej skórą kanapie i nie spuszczał z niej oczu.

Usiadła. Przyjrzała mu się. Miał na sobie białą koszulę z podwiniętymi rękawami, zamszowe buty i obcisłe dżinsy.

Figury mógłby mu pozazdrościć niejeden nastolatek, pomyślała, patrząc na jego brzuch i klatkę piersiową. Potem spojrzała mu prosto w oczy. Nie uśmiechał się, ale w oczach dostrzegła rozbawienie. Chyba się zarumieniła. Poczwała na szyi falę gorąca, która przesuwała się na policzki. Wie, że wprawia mnie w zakłopotanie, pomyślała, i cieszy go to.

- Napijesz się czegoś, niskokalorycznej coli?

- Tak poproszę. - Omal się nie zakrztusiła. Spokój Maca działał jej na nerwy.

Podał dziewczynie puszkę i szklanekę z lodem, a potem usiadł naprzeciwko niej.

Kathleen nie miała trudności w prowadzeniu rozmowy, ale nowe stosunki z Makiem wszystko zmieniły. Jego skrzyżowane ramiona i dobrze znany wyraz twarzy tylko pogorszyły sprawę.

- Słyszałem, że w zespole zaszły jakieś nieporozumienia.

- Nic, z czym nie umiałabym sobie poradzić.

- Mówiono mi, że chcieli zmienić to i owo.

- Sprawa została wyjaśniona. Czy mogę spytać, kto ci o tym powiedział?

- Nie wyjawiam informatorów.

- Oczywiście. Rozumiem to. - Kathleen nalała sobie coli. Zrobiła to zbyt energicznie i rozlała ją. Mac podszedł do barku, wrócił z serwetkami, starł stół, wziął od niej szklanekę, otarł ją i podał z powrotem. Sięgnęła po nią. Mac pogłaskał dziewczynę po palcach. Dotknął jej nadgarstka. Kathleen patrzyła na jego rękę; jasne włosy lśniły na opalonej skórze. Czuła jego ciepło. Zesztywniała.

Cofnęła się. Dlaczego jego dotyk robił na niej takie wrażenie? Myśl o sprawach służbowych, napominała siebie. Opadła na oparcie i usadowiła się wygodniej.

- Chciałabym ci opowiedzieć, o co poszło.
 - Słucham.
 - Według wstępnych założeń miało to być pismo dla kobiet, które już odniosły albo chcą odnieść sukces.
 - O ile pamiętam, był to twój pomysł. Kathleen pominęła tę uwagę milczeniem.
 - A zespół, wiedząc, że tobie to się nie podoba, wprowadził w ostatniej chwili pewne zmiany.
 - Jakie?
 - Porady dla małych kobietek. Żeby gotowały posiłki podczas weekendów i zamrażały je na cały tydzień. Żeby sprzątały po trochu nocami, a będą miały więcej czasu na gotowanie podczas weekendów.
- Mac uśmiechnął się.
- Na to mogłaś się zgodzić.
 - Zgodzić! Cholera! To zmieniłoby cały profil pisma.
 - Więc powiedziałaś im, że mają wrócić do pierwotnego planu.
 - Tak. Tak właśnie powiedziałam.
 - Dobrze.
 - Nie masz nic przeciwko temu? - spytała zdumiona.
 - To twoje pismo. Możesz robić to, co uważasz za słuszne. Jestem pewien, że gdyby ich pomysły były dobre, na pewno byś ich posłuchała.
 - Ale nie były dobre. Oni wprowadzili te zmiany wyłącznie ze strachu przed tobą.
 - A ty się nie bałaś?
 - Nigdy się nie bałam - skłamała. Bała się go właśnie teraz. Bała się, że znów ją pocałuje. Bała się, że jej nie pocałuje. Napila się coli i spojrzała na Maca znad szklanki. Jego twarz niewiele mówiła.
 - To pismo nie jest przeznaczone wyłącznie dla jednej kategorii kobiet. Ale z całą pewnością nie chcę go kierować do zadowolonych z losu gospodyń domowych. Artykuły w „Sukcesie” mają pokazywać kobietom, że wcale nie muszą być doskonałymi żonami czy matkami, zwłaszcza gdy pracują zawodowo. Chcę przez to powiedzieć, że nie ma nic złego w kupowaniu gotowych obiadów ani w oczekiwaniu, że mężowie i dzieci sami o siebie zadbają. „Sukces” podpowie, że kobiety muszą się postarać być samolubne i znaleźć czas dla siebie.
 - Mówisz, jakbyś w to wierzyła.
 - Bo wierzę.
 - Uważasz że kobiety nie powinny być żonami i matkami?
 - Tego nie powiedziałam. Ale muszą zrozumieć, że doskonałość we wszystkich dziedzinach nie jest ich obowiązkiem. To czasopismo ma je nauczyć, jak być zadowoloną z siebie i ze swego życia. A gdy zrozumieją, że nie muszą być doskonałe, sukces, albo wielki sukces, nadejdzie sam.
 - I ty oczekujesz, że taka teoria dobrze się sprzeda?

- Wiem, że tak będzie. Pierwsze wydanie planowane jest na dwudziestego czwartego czerwca. A w przyszły poniedziałek mamy konferencję prasową, na której je zapowiemy.

- Co z reklamą?

Kathleen sięgnęła do aktówki i wyjęła kilka czasopism.

- Całostronicowa reklama w „Fortune”, „Women's Day”, „Family Circle” „Ms.”, „Cosmopolitan”, „Working Woman”, „People”. Że nie wymienię wszystkich.

- Wydałaś sporo moich pieniędzy.

- Ale dzięki mnie zarobisz znacznie więcej. W telewizji pokażemy krótki program o kobietach pracujących, nie rozumianych przez mężów. W „Oprah” i „Donahue”.

- Będziesz się świetnie prezentować.

Och, jak lubiła, gdy zniżał głos do szeptu. Brzmiało to tak uwodzicielsko, że czuła łaskotanie w dole brzucha.

- Wystąpi Lynn Miller. Widzowie za nią przepadają.

- A konferencja prasowa?

- Poprowadzi ją także ona. Ale ja też tam będę wraz z kilkoma kobietami na kierowniczych stanowiskach, które znają koncepcję pisma i bardzo im ona odpowiada.

- Bawi cię to, prawda?

- Bardzo.

- Nie zrezygnowałabyś z tego? Kathleen zastanawiała się przez chwilę.

- Mam nadzieję, że nigdy nie stanę przed taką koniecznością. Wciśnięcie się do telewizji nie było łatwe. Z reklamą w pismach także mieliśmy trudności. Błagałam i zebrałam przez kilka dni.

Mac podszedł do lodówki i wyjął butelkę piwa.

- Czy mogę zmienić temat? Kathleen roześmiała się.

- Wiedziałam, że nie ograniczysz się do spraw służbowych.

- Jeśli sobie życzysz, mogę się ograniczyć.

- Nie. - Spojrzała na zegarek. - Już późno i mogę chwilę odpocząć.

- W porządku. Przede wszystkim, czy możemy ogłosić zawieszenie broni?

Uśmiechnęła się i poczuła, że napięcie w karku i ramionach ustępuje.

- Bardzo bym chciała.

- Świetnie. - Usiadł koło niej. - Dawniej rozmawialiśmy wyłącznie na tematy związane z pracą. Nie chciałbym, żeby znów się tak stało. Opowiedz mi coś o sobie. - Bawił się pasmem jej włosów. - Dlaczego opuściłaś Montanę i przyjechałaś do Nowego Jorku?

- Szczerze? Skinął głową.

- Chciałam pracować dla ciebie. - Zobaczyła, że Mac otwiera szeroko oczy.

- Nawet mnie wtedy nie znałaś.

- Znałam. Przeczytałam o tobie artykuł. W „Fortune”.

- Zadumała się. - To było tak dawno temu. Byłam wtedy na uczelni. Kończyłam dziennikarstwo. Zawsze myślałam, że będę pisywać dla naszej gazety lokalnej. Może trochę do innych. Aż nagle przeczytałam ten artykuł i mnie wzięło.

- Kathleen spojrzała na Maca zamglonymi oczami. - Tam było napisane... Zaraz, zaraz... Powiedziałeś coś o dawaniu szansy młodym talentom. O tak: „Młodym...”

- „Młodym, pomysłowym, którzy dodadzą sił wielkim firmom wydawniczym. Aby wygrać, trzeba być twórczym i energicznym” - dokończył.

- Pamiętasz.

- Najlepsze słowa, jakie kiedykolwiek wypowiedziałam.

- Tak uważasz?

- Tak uważałem i nadal tak sędzę. Pamiętaj, to ja cię zatrudniłem, zuchwałego dzieciaka nie wiadomo skąd.

- Wiedziałałam, że mam talent, i głowa pękała mi od szalonych pomysłów.

- Jak czasopismo „Kowboj Miejski”? - Mac roześmiał się.

- W swoim czasie odnosił sukces. - Nachmurzyła się.

- Ale nędznie skończył.

- Mimo to nie straciłem wiary w ciebie.

- Doceniam to.

- Ale... - Mac zawahał się i wypił łyk piwa.

- Ale co?

- Byłaś mi solą w oku. Chyba nigdy nie zgadzałaś się ze mną.

- Jestem urodzoną dyskutantką.

- A ja lubię zwyciężać.

- Ja także.

Pogłaskał ją po włosach.

- Stworzyłaś niezłe czasopismo, Kath. Nie ze wszystkim się zgadzam, ale widziałem ostateczny projekt i cóż... Należą ci się gratulacje.

Uśmiechnęła się zachwycona.

- Jeśli chcesz, przedstawię ci kilka nowych pomysłów, które mogą cię zainteresować.

- Szczerze mówiąc, chciałbym teraz porozmawiać o nas prywatnie.

Serce Kathleen załomotało. Nie chciała rozmawiać na tematy osobiste. Takie rozmowy zawsze kończyły się katastrofą. Zebrała czasopisma i włożyła je do teczki. Spojrzała na zegarek.

- Robi się późno.

- Odwiozę cię do domu. Nie możesz mnie ciągle unikać. Nie chciała go unikać. Miała ochotę popchnąć go na kanapę, wplątać palce w jego włosy i całować aż do świtu. Wstała i podeszła do drzwi wiedząc, że Mac idzie za nią. Położył jej dłoń na ramieniu i przyciągnął do siebie. Głaskał jej nagie ręce. Westchnęła głęboko i przyłgnęła do niego.

- Chcę, żebyś poszła ze mną na bal z okazji jubileuszu firmy.

Zamknęła oczy i uśmiechnęła się.

- Miałam nadzieję, że mnie zaprosisz.

Pieścił jej szyję. Wsunął palce w jedwabiste włosy.

- Lubię, jak masz rozpuszczone włosy. Uczesz się tak w piątek.

Pogładził ją po policzku. Poczula napięcie w piersiach i słabość w nogach. Dlaczego tak się rozklejam za każdym razem, gdy mnie dotyka?

- Kath?

- Tak?

- Kiedy ci powiedziałem, że cię pragnę, to było na serio. Co mogła mu odpowiedzieć? Potrzebuję cię? Jestem twoja? Zwróciła twarz ku niemu i pocałowała go. Nie potrzebowała słów.

RS

Rozdział dwunasty

Merry!

- Nie musi pan wrzeszczeć, młody człowieku. Jestem tuż obok.

- Gdzie są moje buty?

- W szafie. Oj, oj, oj. Nigdy nie widziałam, żeby mężczyzna miał tyle par butów.

Mac wsunął białą koszulę do spodni. Na szyi miał nie zawiązany wąski czarny krawat. Trzymając skarpetki w jednej ręce, drugą przesuwał równiutko ustawione rzędy butów.

- Buty, które noszę do smokingu. Nie ma ich.

- Ach, te buty.

- Tak, Merry. Te buty.

- Miały lekko znoszone podeszwy. Odesłałam je do podzelowania.

- Co?

- Do podzelowania. Ale niech się pan nie martwi. Mam dla pana nowiuteńkie buty na dzisiejszy wieczór.

- Gdzie?

- Cierpliwości. Są w pudełku. O, tutaj - powiedziała, wskazując na najwyższą półkę w szafie.

Mac zdjął pudełko i wypakował czarne buty ze lśniącej skóry.

- Buty kowbojskie?

- Wygląda pan na rozczarowanego. Myślałam, że lubi pan takie.

- Nie, nie, nie. - O Boże, pomyślał, zaczynam mówić tak jak ona.

Patrzył, jak Merry krząta się po pokoju, zbierając różne części porozrzucanej garderoby.

- Dziękuję, Merry - powiedział, siadając na brzegu łóżka. Włożył skarpetki, a potem nowe buty. Stał przed lustrem i przyglądał im się. - Są doskonałe.

- Nigdy nie kupuję niczego, co nie jest doskonałe. Powinien pan się nauczyć, że zawsze dobieram rzeczy, które do siebie idealnie pasują.

Mac uśmiechnął się, podszedł do Merry, pochylił się i czule pocałował ją w policzek.

- Tak wiele ci zawdzięczam. Mam nadzieję, że nigdy mnie nie opuścisz.

Spojrzała na niego, podparłszy się pod boki.

- Zostanę tak długo, jak długo będę potrzebna, młody człowieku. - Odwróciła się, ale Mac zdążył zauważyć łzy za jej śmiesznymi małymi okularkami.

Mac wolno przesuwał się w popołudniowym korku. Rozglądał się za jakimś sklepem jubilerskim. Wpadł na ten pomysł w ostatniej chwili. Nie chciał przyjechać po Kathleen z pustymi rękami. Kwiaty, które wysłał wcześniej, nie wystarczą. Tiffany i inne sklepy, które odwiedzał z Ashley, były zamknięte z powodu Święta Niepodległości. Miał nadzieję, że znajdzie coś odpowiedniego

w jakiejś bocznej uliczce. I wtedy zobaczył. W samym końcu ślepej uliczki zauważył szyld z napisem „Jemioła”. Zaparkował Mercedesa na rogu i ruszył do sklepu. Okna wystawowe migotały światłkami choinkowymi. Drzwi udekorowane były gałązkami jemioły.

Za kontuarem stał białobrody staruszek. Na widok Maca uśmiechnął się radośnie.

- Zakupy w ostatniej chwili? - zapytał.

- Tak. Skąd pan wie?

- Widziałem to setki razy. Zapomniał o urodzinach żony. Prezent na przeprosiny. Tak, synu, słyszałem to wszystko nie raz. U mnie ludzie zawsze szukają czegoś specjalnego.

- Właśnie tego szukam. Czegoś specjalnego.

- Pewnie, że tak. Spójrzmy, co tu mamy.

Przykrył kontuar czerwonym aksamitem i wyjął z gablotki tacę z biżuterią.

- To bardzo niezwykły naszyjnik z brylantów - powiedział, unosząc lśniąca kolie.

- Nie - powiedział Mac. Coś takiego nadawało się dla Ashley. Ashley kochała się w brylantach. Miał jednak wrażenie, że Kathleen wolałaby coś skromniejszego. - Jakiś ładny, choć nie rzucający się w oczy drobiazg.

- Nie, nie nie. Ten naszyjnik nie nadaje się. Zachowam go dla kogoś, komu potrzebna będzie piękna jubilerska robota. - Siwy dżentelmen ostrożnie odłożył kolie. - A może pierścionek? Lub kolczyki? - Pokazywał sztukę po sztuce. Wszystkie lśniące, złote, wysadzone brylantami, szmaragdami i szafirami.

- Nie. Nic mi nie odpowiada. - Mac wziął do ręki małe pudełeczko i otworzył je. Oczy mu rozbłysły na widok bransoletki.

- Mogę ją obejrzeć?

- Ach, to perły. Ma pan dobry gust, synu. Mac wziął do ręki potrójny sznur pereł.

- Są piękne. Nigdy nie widziałem czegoś podobnego.

- Są jedyne w swoim rodzaju. Białe jak śnieg. Pochodzą z ostryg Morza Północnego.

Mac zmarszczył brwi. Nie miał pojęcia, że w Morzu Północnym żyją ostrygi.

- Jakiś problem, młody człowieku?

- Nie. - Mac potrząsnął głową. - Są doskonałe. Proszę mi je zapakować.

- Oczywiście, młody człowieku. Zaraz wrócę. Staruszek opuścił pomieszczenie i Mac mógł swobodnie się rozejrzeć. W rogu choinka. Na drzwiach wieniec. Zapach cynamonu i gorącego jabłecznika. Merry, pomyślał z uśmiechem. I starszy pan w kraciastej koszuli i szelkach. I trzykrotne „nie, nie, nie.” I „młody człowieku”. Nie. To niemożliwe.

Na stercie używanych zabawek znalazł pluszowego misia z naderwanym uchem. Miał takiego samego przed przeszło czterdziestu laty. Prezent od Świętego Mikołaja. Roześmiał się i z jakiegoś powodu postanowił go kupić. Towary w sklepie przywołały wiele wspomnień. Stare, nie pomalowane sanki.

Zjeżdżali z ojcem na takich samych. Pogładził ich drewno. A potem zobaczył sztuczną choinkę. Matka kupiła taką samą na gwiazdkę w latach sześćdziesiątych. Przypomniała mu się przerażona mina ojca, kiedy to zobaczył. To były cudowne czasy. Święta Bożego Narodzenia, gdy ojciec jeszcze żył.

Poczuł ucisk w gardle. Przypomniał sobie świąteczne popołudnie. Wszedł do gabinetu ojca i znalazł go w dużym, skórzanym fotelu. Wyglądał tak, jakby czytał książkę. Ale nie czytał. Okulary zsunęły mu się z nosa, a jedno ramię zwisało z fotela. Lekarz powiedział, że musiał zasnąć i spokojnie umarł we śnie. Mac nie mógł pogodzić się z jego śmiercią. Pozostało mu wiele wspaniałych wspomnień, a najpiękniejsze dotyczyły wspólnie spędzonych świąt. Nie mógłby o nich zapomnieć.

Rozejrzał się po sklepie i spostrzegł półkę, nie oświetloną i zakurzoną. Stały na niej ramki do zdjęć.

- Przepraszam, synu - powiedział staruszek, wrywając Maca z zamyślenia. - Oto twój prezent.

Mac podszedł do lady. Zapłacił za bransoletkę i misia, a potem znów spojrzał na półkę.

- Niewiele ich sprzedaję - powiedział mężczyzna.

- Dlaczego?

- Bo niewielu jest amatorów na stare, zakurzone, zaśnieżone ramki. Tylko bardzo niezwykli ludzie je kupują.

- Wydaje mi się, że mój ojciec kupił jedną właśnie tutaj.

- Ostatnią sprzedałem wiele lat temu. To był miły człowiek. Szukał czegoś niezwykłego dla żony, o ile pamiętam. A potem znalazł ramkę. Powiedział, że chce ją dać synowi. Jako prezent pod choinkę. Tak, tak właśnie było.

- Ojciec podarował mi zaśnieżoną ramkę w prezencie gwiazdkowym. Mam ją do dziś.

- I może przekaże ją pan swemu synowi.

- Jeżeli będę miał syna.

- Oj, oj, oj. Niech się pan nie martwi. Dobrym ludziom zdarzają się dobre rzeczy. Niech pan będzie cierpliwy, chłopcze.

Mac przyjrzał się jego twarzy. Rumianym, pyzaty policzkom. Białej brodzie. Lśniącym oczom za śmiesznymi małymi okularkami. Nie, pomyślał, to niemożliwe.

- Dziękuję panu za pomoc. - Wsunął pudełeczko do wewnętrznej kieszeni marynarki. Misia wetknął pod pachę.

- Cała przyjemność po mojej stronie, synu - powiedział starszy pan i położył dłoń na ramieniu Maca. - Niech pan już jedzie. Nie może pan pozwolić, żeby młoda dama czekała.

Mac spojrzał na zegarek i wybiegł ze sklepu. Stał przy samochodzie i odwrócił się, żeby pomachać właścicielowi. Światła na wystawie zgasły, a ozdoby na zewnątrz zasnęła mgła. Potrząsnął głową i przetarł oczy. Z wnętrza sklepu dobiegł go radosny śmiech starszego pana.

Wskoczył do samochodu, zawrócił i pomknął ku zatłoczonej ulicy. Spojrzał w lusterko wsteczne. Ani śladu jaskrawo oświetlonego sklepu z napisem „Jemiola”. Ale twarz Maca jaśniała i czuł radość w sercu. Nie wierzył w cuda, a jednak ostatnio jego życie było pełne cudów. Normalna codzienna egzystencja została przewrócona do góry nogami z chwilą pojawienia się Merry. Czy to sen? Nie wiedział i nie dbał o to, dopóki Kathleen była prawdziwa.

Poklepał kieszeń z prezentem, żeby upewnić się, że nie zniknął, i pojechał dalej. Kathleen patrzyła na walizkę przy drzwiach. Spakowała do niej kosztowne ubrania, które kupiła specjalnie na nadchodzący weekend.

To szaleństwo, myślała, wydać tyle pieniędzy, żeby zrobić wrażenie na matce Maca.

Mimo że rozmawiając z Ashley, w gniewie powiedziała: „Nie zaprasza mnie po to, by sprawdzić moją garderobę”, po namyśle doszła jednak do wniosku, że pragnie wyglądać jak najlepiej.

Spędziła mnóstwo czasu, wpatrując się we własne odbicie w dużym lustrze. Gdzie się podziała ubrana w granatowy kostium kobieta pracująca? Kim była ta elegancka istota? Czowała się jak Kopciuszek wybierający się na bal.

Czy z wybiciem północy wszystko zniknie? Skromny dekolt jedwabnej sukni w kolorze kości słoniowej był ustępstwem na rzecz pani O'Brien. Opięty stanik - dla Maca. Długie, wąskie rękawy i spódnica uwydatniająca biodra. A na dole miękkie fałdy. Jako ozdobę miała tylko perłowe kolczyki i obfitość kasztanowych włosów, spływających falami na plecy.

Po raz dziesiąty tego dnia powąchała róże, które przysłał jej Mac. Westchnęła i spojrzała na zegarek. Dochodziła dopiero szósta, a ona nie miała już nic do roboty poza czekaniem i rozmyślaniami. Czy Mac wie, że została zaproszona na cały weekend? Czy ją pocałuje? Kiedy zaczną się kłócić?

Dzwonek u drzwi przywołał ją do rzeczywistości. O Boże, on już tu jest.

Powstrzymała się, by nie pobiec do sypialni, żeby sprawdzić fryzurę i makijaż. Zdjęła łańcuch, odsunęła zasuwę i chwyciła za klamkę. Oblizując usta, powoli otworzyła drzwi.

Ich oczy spotkały się. Jej błyszczące, jego pełne zachwyty.

Pogładził ją po policzkach. Uniósł podbródek Kathleen i pocałował ją. Ich usta zetknęły się na chwilę. Cofnął się i powiedział z uśmiechem:

- Wyglądasz pięknie.

- Dziękuję.

Wzięła go za rękę i wprowadziła do pokoju. Nie spuszczał z niej oczu. Uszczęśliwiona Kathleen stwierdziła, że Mac pragnie jej równie mocno, jak ona jego. Prezentował się wspaniale. Nigdy jeszcze jego ramiona nie sprawiały wrażenia tak szerokich, a twarz nie była tak męska. Włosy na skroniach miał lekko siwe. Wydawał się wyższy niż zwykle. Nie byłaby w stanie wyrazić swojego zachwyty.

- Napijemy się czegoś przed odjazdem?

- Nie. Jeżeli zostaniemy dłużej, nie będę chciał stąd wyjść.

- Och - powiedziała Kathleen i spuściła oczy. Spojrzała na nogi Maca i uśmiechnęła się. - Kowbojskie buty?

- Zauważyłaś.

- Miły akcent.

- To pomysł mojej gospodyni.

- Kupuje ci ubrania?

- Nie, ale zawsze wie, czego mi potrzeba, lepiej niż ja sam.

- Bardzo interesująca kobieta.

- O, tak. Bardzo.

Ujął jej dłoń, podniósł do ust i ucałował. Zamknął oczy i wdychał zapach jej perfum.

- Mam coś dla ciebie.

Wyjął z kieszeni pudełeczko zawinięte w czerwono-biały papier.

- Mam nadzieję, że ci się spodoba.

- Wygląda jak prezent gwiazdkowy.

- Od długiego czasu starałem się zapomnieć o Świętach Bożego Narodzenia. Zmieniłem się dzięki tobie.

Twarz Kathleen rozjaśniła się, gdy to powiedział. Radośnie odpakowała prezent. Odkleiła kokardę, zdjęła papier i uniosła wieczko. Oczy zaszyły jej łzami. Z trudem łapała oddech.

- Mac...

- Podoba ci się, prawda?

- Och, Mac.

- To znaczy że bardzo.

Wyciągnęła ku niemu rękę. Niezręcznymi palcami zapiął delikatną bransoletkę i ucałował wnętrze dłoni Kathleen.

- Jest piękna.

- Czy dostanę całusa?

Przesunęła rękę po jego ramionach. Ujęła w dłonie jego policzki. Wspięła się na palce i ucałowała usta, nos i oczy Maca. Nigdy nie czuł się tak cudownie. Złapał ją za rękę i resztką woli odsunął od siebie.

- Zostaw trochę na później. Musimy już jechać.

I wtedy przypomniała sobie o tym, czego nie chciała mu powiedzieć.

- Twoja matka... zaprosiła mnie na weekend.

- Wiem. - Uśmiechnął się. - Mnie także.

Kathleen zdziwiła się. Brała wprawdzie pod uwagę taką ewentualność, ale teraz nie wiedziała, jak zareagować.

- Nie jesteś wściekły?

- Wściekły? Ani trochę. Nie ma nikogo, z kim bardziej pragnąłbym spędzić weekend. - Oczy zalśniły mu z radości, a Kathleen przestraszyła się.

- Nie bój się. O ile znam matkę, dostaniemy pokoje na różnych piętrach.

- A co z przyzwoitkami?

- Możliwe, że też tam będą.

Rozdział trzynasty

Pojechali na północ przez Bronx i dalej przez Westchester. Krajobraz zmienił się, był spokojny, pogodny, pełen zieleni, z domami ukrytymi wśród drzew.

- Tam dalej widać Sunnyside - powiedział Mac, wskazując na lewo.

- Sunnyside?

- Dom Washingtona Irvinga.

Oczywiście, wszyscy wiedzą co to jest Sunnyside. Cóż, ja nie miałam o nim pojęcia, pomyślała Kathleen. Gdy minęli Yonkers, Mac zwolnił.

- To jest Lyndhurst - powiedział, wskazując gotyckie strzeliste wieże ponad wierzchołkami drzew.

Kathleen pochyliła się, aby spojrzeć przez okno. Jej piersi musnęły ramię Maca. Nie miała zamiaru pytać, do kogo należy Lyndhurst.

- Pewnego dnia przyjedziemy tu konno. Pełno tu ścieżek, strumieni i stawów. Sam nie wiem, kiedy ostatnio jeździłem na koniu.

„Pewnego dnia”, pomyślała Kathleen, uradowana, że Mac mówi tak, jakby czekała ich wspólna przyszłość.

Usiadła wygodnie i syciła się urodą otoczenia i obecnością tego mężczyzny u jej boku.

Sunnyside. Lyndhurst. Przeszła daleką drogę - od skromnego rancho w Montanie do znajomości z jednym z najbogatszych ludzi w kraju. Ale to nie pieniądze były istotne. Liczyło się to, że znalazła się obok mężczyzny, którego ubóstwiała przez wiele lat. Mężczyzny z okładki „Fortune”. Mężczyzny, który sprawił, że córka farmera z Montany, prosto z uczelni, niedoświadczona i zuchwała, znalazła swoją szansę w wielkim nowojorskim wydawnictwie.

Obserwowała go kątem oka. Wpatrywał się w drogę, jedną ręką trzymał kierownicę, drugą na oparciu jej fotela. Poczowała dreszcz i przyspieszone bicie serca, gdy zwrócił ku niej głowę. Spojrzał na nią szaroniebieskimi oczami pełnymi pożądania. W białej marynarce, z jasnymi włosami i opaloną skórą, był najprzystojniejszym mężczyzną na całym świecie. Przymknęła oczy i wdychała zapach jego wody po goleniu.

- Czego używasz? - spytała.

- Co?

- Jakiego płynu po goleniu? Roześmiał się.

- Old spice. Niedrogi i nie bardzo oryginalny. Podoba ci się?

- Mmm. - Zamknęła oczy, opadła na oparcie i głęboko wciągnęła powietrze. - Cudowny zapach.

Mac jęknął, a potem zjechał nagle na pobocze. Zahamował i zatrzymał się w cieniu drzew.

- Dlaczego stanąłeś?

Otworzył okno i ciepłe pachnące letnie powietrze wdarło się do samochodu.

- Czy ty masz pojęcie, co robisz?

Zdumiona Kathleen potrząsnęła głową.

- Nie.

- Ta suknia.

- Nie podoba ci się?

- Ależ owszem. Podoba mi się. I ty w tej sukni. W tym właśnie problem. Jest tak obcisła. Odkąd otworzyłaś drzwi, wyobrażam sobie, co jest pod spodem.

- Miałam nadzieję, że ci się spodoba. - Położyła chłodną dłoń na ciepłym policzku Maca.

- Cholera. - Wziął ją za rękę i ucałował palce. - Szaleję za tobą.

- To nie moja wina - powiedziała niewinnie.

- Bez względu na to co robisz. Możesz na mnie wrzeszczeć, całować mnie, udawać, że mnie nie zauważasz. Po prostu wtargnęłaś w moje myśli i już tam zostałam.

- Chciałbyś się mnie pozbyć?

- Nie. Już raz to zrobiłem, i nie chcę tego więcej.

- Mam nadzieję. Nie zniosłabym tego po raz drugi.

- Naprawdę się tym przejęłaś?

- Przejęłam? Płakałam co noc chyba przez tydzień. A poza tym zrozumiałam, że nic między nami nie było. Ze to ja podkochiwałam się w tobie, a ty miałeś Ashley. Wytłumaczyłam sobie, że nie mógłbyś pragnąć kogoś tak młodego i nie wyrafinowanego jak ja. Ale nadal nie rozumiem, dlaczego wyjechałeś do Europy ani dlaczego tak mnie nie lubiłeś po powrocie.

Pogłaskał ją po policzku i lekko dotknął jej ust.

- Rozmowa na ten temat doprowadzi do kłótni. A ja nie chcę się kłócić. Nie teraz.

- Musimy kiedyś o tym porozmawiać. To nas rozdziela.

- A nie moglibyśmy po prostu zapomnieć?

- Na kilka dni, ale nie na zawsze. - Kathleen oparła dłoń na udzie Maca, starając się odgadnąć, co oznacza wyraz jego twarzy. Na próżno. Ścisnął jej rękę, przekreślił kluczyk w stacyjce i ruszył w drogę.

Po pięciu minutach jazdy w milczeniu skręcili w lewo, w drogę wysadzaną wiązami. Tam Mac znów zatrzymał samochód.

- Nie jestem łatwy w pożyciu. Lubię stawiać na swoim. I to już od dawna.

- Wiem o tym.

- Cicho - powiedział i położył jej palec na ustach. - Chciałbym cię zabrać gdzieś daleko stąd. Żadnej pracy, rodziny, telefonów. Po prostu ty i ja. I nie zgadzam się na odmowę.

- I wtedy porozmawiamy?

- Spróbuję.

- Kiedy?

- W następny weekend.

- Julie wraca w niedzielę.

- Będziemy więc mieli całutką sobotę.

Mówił o tym tak niewinnie, ale Kathleen doskonale wiedziała, że planowany weekend wcale nie będzie niewinny. Ale co tam. Ona też tego pragnęła.

- Mac?

- Tak?

- Spóźnimy się.

Spojrzał na zegarek. Matka go zabije, jeśli nie przyjadą przed gośćmi.

- Jesteśmy prawie na miejscu. Już tylko kawałek - powiedział i wrócił na główną drogę.

Wkrótce zobaczyła dom. Trzypiętrowa stylowa rezydencja, do której prowadził długi podjazd. Wzdłuż podjazdu rosły róże we wszelkich możliwych odcieniach. Schody wejściowe udekorowano białym geranium i niebieskimi ostróżkami.

Samochód zatrzymał się, ale Kathleen siedziała bez ruchu. Wpatrywała się w dom.

- Piękny.

Mac owinał pasmo jej włosów wokół palca i pochylił się, by pocałować ją w usta.

- O, tak. Bardzo piękny.

Przed frontowe drzwi wyległa służba. Zstępowali ze schodów dwoma rzędami. Ich strój przypominał czarno-białe liberie noszone sto lat temu przez służących w domach nowojorskiej elity.

Dwaj służący podeszli do samochodu. Każdy z innej strony. Jednocześnie otworzyli drzwi i pomogli wysiąść Kathleen i Macowi. Mac podszedł do swej towarzyszki, ujął ją pod rękę i poprowadził do wejścia.

- Nie denerwuj się - powiedział, ściskając jej dłoń. Skąd wiedział, że się denerwuje? Przez całą drogę ani

słowem nie wspomniała, że się boi. Doskonale radziła sobie w czasie zebrań, przemawiała do tłumów, ale w eleganckim świecie wyższych sfer czuła się całkowicie zagubiona.

Przy drzwiach stali dwaj odźwierni. Mac wprowadził Kathleen do obszernego holu. Przyglądał się wyrazowi jej twarzy, gdy błądziła wzrokiem od kryształowego żyrandola zawieszzonego trzy piętra wyżej ku mahoniowym schodom po obu stronach holu.

Miała ochotę stąd uciec, ale przyłgnęła do Maca i wyszeptała mu prosto do ucha:

- Ja tu nie pasuję.

Mac, przystojny i szarmancki, doskonale pasujący do tego wspaniałego otoczenia, przyciągnął ją i pocałował w czubek nosa.

Przeszli przez dwuskrzydłowe drzwi prowadzące do sali balowej. Blednące promienie słońca wpadały przez wysokie okna i lśniły na wypolerowanej jak lustro posadzce. Kathleen stanęła w nabożnym podziwieniu i zaczęła je liczyć.

Dziesięć - każde miało pięć metrów wysokości i metr szerokości. Ściany wyłożone były rzeźbioną mahoniową boazerią. W oknach wisiały draperie. Okrągłe stoliki przykryte białymi obrusami z lnu i koronek oraz antyczne krzesła kryte brokatem stały dookoła sali. Pośrodku pozostawiono miejsce do tańca. W końcu sali, na podium, za czarnym fortepianem, stroiła instrumenty orkiestra kameralna. Na każdym stoliku lśniły kryształowe wazony z czerwonymi i białymi różami. Kathleen nigdy w życiu nie oglądała takich wspaniałości.

Do sali weszła Constance O'Brien. Poruszała się wdzięcznie, ubrana w czerń i w biel. Na szyi miała sznur pereł, w uszach delikatne perłowe kolczyki obramowane brylantami.

- McKenna, Kathleen. - Mac pochylił się i ucałował matkę.

Pani O'Brien poprawiała opadający mu na czoło kosmyk włosów. Cofnęła się i zlustrowała kobietę u boku syna.

- Zachwycająca. Absolutnie zachwycająca.

- Dziękuję. Ma pani piękny dom, pani O'Brien. Constance uśmiechnęła się.

- O tak, jutro panią oprowadzę. Objęła Kathleen i Maca.

- Mamy trochę czasu, zanim nadejdą goście. Kathleen nie potrafiła ukryć podniecenia. Biblioteka przekroczyła jej najśmielsze oczekiwania. Ciemne drewno, półki z książkami, kanapy i fotele pośrodku i dwa krzesła po obu stronach solidnego kominka. Na podłodze puszysty dywan.

Och, jak przyjemnie byłoby zwinąć się na jednej z tych kanap i przeleżeć życie, pomyślała Kathleen.

- Czego się napijecie? - spytała Constance, stojąc przy barku, na którym piętrzyły się kryształowe karafki i kieliszki.

- Dla mnie nic, dziękuję - powiedziała Kathleen. Mac poszedł jej śladem.

- Ja także się wystrzegam.

Constance O'Brien spojrzała zdumiona na syna.

- Nawet piwa?

- Zmieniam się.

- Mam nadzieję, że to pani zasługa, Kathleen. Zawsze uważałam, że mój syn nadużywa piwa.

- Teraz woli hamburgery i dietetyczną colę. Sama nie wiem, czy to zmiana na lepsze.

- Panie wybaczą - przerwał jej Mac - ale myślę, że możemy znaleźć ciekawszy temat niż omawianie moich upodobań kulinarnych.

- Ach, mój drogi. Stanowisz tak interesujący temat rozmowy. - Pani O'Brien roześmiała się i naląła sobie brandy. Po chwili zmarszczyła czoło.

- Będziemy mieli kłopot.

- Jaki kłopot? - zapytał Mac.

- Ashley.

Kathleen spostrzegła, że dobry nastrój Maca znikł jak za dotknięciem różdżki. Starła się zachować spokój, ale coś ścisnęło jej serce.

- Jest tutaj? - Spojrzał na matkę, modląc się, by zaprzeczyła.
- Od rana. Zadzwoiła bardzo wcześnie i kazała George'owi przysłać samochód. Ma zimną krew... a teraz rozmawia z dostawcami.
- Rozmawia? - Mac uniósł brwi i z jakiegoś niezrozumiałego dla Kathleen powodu spojrzał na matkę z rozbawieniem.
- Niezupełnie. Ostatnio słyszałam, jak krytykowała krewetki.
- Biedni ludzie. Co jeszcze było nie w porządku?
- Och, jakieś drobiazgi. Ale musimy sprawę postawić jasno. Chodzi nie tylko o to, że rządzi się jak u siebie. Zresztą z tym sama sobie nie poradzę.
- Więc o co chodzi?
- Spodziewała się, że przyjedziesz wcześniej, i nie wie, że przywiozłeś Kathleen.
- Nie powiedziałeś jej? - Kathleen zdumiona spojrzała na Maca.
- Nie sądziłem, że to konieczne. Powiedziałem jej, że z nią zrywam.
- To, że jej powiedziałeś, nie znaczy, że cię usłyszała i zrozumiała, kochanie - dodała Constance.
- Myślałem, że się tu nie pokaże. Byłem zajęty czym innym. - Mrugnął do Kathleen, lecz ona tego nie zauważyła, bo ze spuszczoną głową wpatrywała się we własne dłonie.
- Może powinnam wyjechać - powiedziała.
- Nie! - Mac otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie. - Chcę, żebyś została. Poradzę sobie z Ashley.
- Wolałabym, żebyś zrobił to wcześniej. - Spojrzała na niego, starając się opanować. - Nie wiem, co was łączyło przez te wszystkie lata, ale wiem, że na miejscu Ashley nie poddałabym się bez walki. - Wyszwoodziła się z objęć Maca i cofnęła się o parę kroków. Mac już miał pójść za nią, gdy drzwi się otworzyły i do biblioteki wpadła Ashley.
- Mac, kochanie. Jesteś nareszcie. - Przepłynęła przez pokój ubrana w niebieską suknię z tafty. Przy staniku miała niebieskie, białe i czerwone kokardy. Podeszła do Maca, wspięła się na palce i ucałowała go w usta.
- Świetnie wyglądasz. A ja? - spytała obracając się, żeby mógł obejrzeć jej suknię. - Jak ci się podoba? Moja krawcowa śmiała się, kiedy powiedziałam, czego sobie życzę. Ale jest doskonała, prawda?
- Czarująca. - Mac odwrócił się i spojrzał na Kathleen; próbował dać jej jakiś znak. Miał nadzieję, że zrozumie i nie odejdzie. Ashley podążyła za wzrokiem Maca. Spostrzegła Kathleen.
- Przyjechała pani zbyt wcześnie. Zaproszenie opiewa na ósmą.
- Przyjechała ze mną - odparł zdecydowanie Mac. Podeszedł do Kathleen i gestem posiadacza przyciągnął ją do siebie.
- Ależ, kochanie - miauknęła Ashley. - Przecież to ja wszędzie bywam z tobą.

- Kathleen, moja droga. - Constance podeszła do syna i Kathleen. Wsunęła dziewczynie rękę pod ramię i uściśnęła, by dodać jej otuchy. - Przejdźmy do sali balowej, żeby porozmawiać z orkiestrą.

- Już się tym zajęłam - powiedziała Ashley.

- Dziękuję, Ashley. Ale mam kilka utworów, na których szczególnie mi zależy. Chodźmy, Kathleen.

Pani O'Brien wyprowadziła przyjaciółkę syna z biblioteki. Mac przyglądał im się. Nie chciał zostawać sam na sam z Ashley. Wiedział, że cokolwiek jej powie, doprowadzi do katastrofy. Został twarzą w twarz z zimną kobietą, którą już dawno przestał rozumieć.

- Po co przyjechałaś?

- Myślałam, że spędzimy tę noc razem - powiedziała Ashley, podnosząc do oczu koronkową chusteczkę, którą wyjęła z niebieskiej torebki.

- Zapomniałaś, co ci powiedziałem? Nasz związek należy do przeszłości.

- Ale...

- Posłuchaj, Ash. Dziesięć lat to bardzo długo. Rozumiem, że teraz trudno coś zmienić.

- Wcale nie mam zamiaru niczego zmieniać. Skończysz z tą kobietą, a ja poczekam.

Mac rozpaczliwie starał się opanować.

- Nie czekaj.

Ashley posłała mu wymuszony uśmiech.

- Ona ci się znudzi.

- To, czy ona mi się znudzi, jest bez znaczenia. Liczy się to, że nie chcę być z tobą.

Jakby nie słysząc jego słów, uniosła ręce i powoli położyła mu dłonie na ramionach.

- A moje uczucia się nie liczą?

Mac cofnął się i ze smutkiem pomyślał o wszystkich zmarnowanych latach.

- Twoje uczucia były najważniejsze przez całe dziesięć lat. Nie chciałaś ze mną dzielić życia. Chciałaś, bym stał się częścią ciebie. To już koniec. Nie będę ci więcej ustępował. Tym razem postąpię tak, jak chcę.

- Uważaj, co mówisz.

Mac przyglądał sobie włosy.

- To już koniec. Nie zejdziemy się. Prawdę powiedziawszy uważam, że powinnaś opuścić ten dom.

- Ale wszyscy oczekują, że będziemy razem.

- Do diabła ze wszystkimi. Jestem z Kathleen. Nie z tobą - oświadczył i wyszedł trzaskając z hukiem drzwiami. Zatrzymał się, odetchnął głęboko, a potem pomyślał o tym, co właśnie powiedział: „Chciałaś, bym stał się częścią ciebie”. Musiał przyznać, że dokładnie tego samego żądał teraz od Kathleen. I wiedział, że to nie jest w porządku.

Skierował się do sali balowej, z nadzieją, że odnajdzie tam Kathleen i matkę. Spodziewał się, że Ashley wyjedzie, a Kathleen zostanie.

Oto i one. Matka władcza i elegancka. Kathleen - brak słów, by ją opisać. Doskonała - to jedyne słowo. Uśmiechała się do każdego. Nawet do odźwiernych. I oni uśmiechali się do niej.

Podszedł do matki i ucałował ją w policzek.

- Mam nadzieję, że poprosiłaś, by zagrali moje ulubione piosenki.

- Masz na myśli te kawałki z lat pięćdziesiątych?

- Elvise nigdy zbyt wiele. - Ujął Kathleen za rękę, obrócił dookoła. Przyciągnął do siebie i zatańczyli parę taktów.

- Tańczyłabym lepiej, gdybym знаła melodię - wyszeptała.

- Hmm. Poczekaj. - Zanucił prosto do jej ucha „Pewien zaczarowany wieczór...”

- Aha. „Południowy Pacyfik”. Jedna z moich ulubionych melodii.

- Wspaniałe do tańca. - Krążyli po parkiecie. Mac nucił. Tańczyli przytuleni. W idealnej harmonii.

- Przepraszam za Ashley - szepnął.

- Wszystko w porządku?

- Nie wiem, Kath. Ona nie daje za wygraną. Ale uwierz mi. To już koniec.

Kathleen czule pocałowała go w policzek. Mogła zrobić tylko tyle, by okazać, że mu wierzy i go rozumie. Słowa były nie na miejscu.

- Przepraszam - przerwała im pani O'Brien - ale zdaje się, że nadchodzą nasi goście.

Mac poszedł za matką, trzymając Kathleen za rękę.

- Muszę być dobrym gospodarzem i powitać ich, przynajmniej niektórych. Pójdiesz ze mną?

- Myślę, że lepiej będzie, jeżeli stanę gdzieś z tyłu.

- A może dotrzyma pani towarzystwa mojej matce? - podsunęła Constance.

- Doskonały pomysł - ucieszył się Mac. - Chodź, Kath. Przedstawię cię babci. - Wprowadził ją do pokoju przylegającego do sali balowej.

Przytulny, jasny i wesoły salonik z perkalowymi obiciami w kwiatki stwarzał ciepłą, domową atmosferę.

- Najwyższy czas, żeby się ze mną przywitać, młody człowieku. Nudno mi tu samej. - Zabrzmiał silny głos starszej pani. - Czy to twoja nowa dziewczyna?

- Witaj, babciu. - Mac pochylił się nad staruszką siedzącą w fotelu na kółkach. Pocałował ją w czoło i pomarszczony policzek. - Świetnie wyglądasz.

- Bzdury. Wyglądam staro. Nie zajmujmy się mną. Czy to twoja nowa przyjaciółka?

- Kathleen Flannigan, a to moja babcia, Maureen McKenna O'Brien.

Kathleen ujęła jej rękę.

- Miło mi panią poznać, pani O'Brien.

- Nienawidzę tego nazwiska. Mów mi Maureen.

- Muszę pójść witać gości, babciu. Czy zaopiekujesz się Kathleen?

- Masz do mnie zaufanie?

- Powierzyłbym ci własne życie.
- A więc biegnij. Im prędzej rozpocznie się to całe przedstawienie, tym szybciej się skończy.

Mac przysunął krzesło dla Kathleen, uściśnął jej ramię, spojrzął z miną mówiącą „nie chcę odchodzić” i z ociąganiem wyszedł.

Maureen przyglądała się Kathleen skośnymi, wszystko-widzącymi oczami.

- Kochasz się w moim wnuku? Kathleen zdumiała się, słysząc to pytanie.
- Słucham?
- Starzeję się. W zeszłym miesiącu skończyłam dziewięćdziesiąt osiem lat. Chcę mieć prawnuki. Potrzeba nam następców.

Kathleen nie wierzyła własnym uszom.

- Wydaje mi się, że to nasza prywatna sprawa.
- Do diabła. Takiej decyzji nie zostawiłabym Macowi. Mój wnuk spędził pół życia z tą mdłą blondynką. Małżeństwo trzeba zaaranżować. I lepiej będzie, jeśli zrozumiesz, że to ja mu powiem, z kim ma spędzić resztę swego życia.
- Jakiej kobiety pani szuka?
- Jeszcze się nie zdecydowałam. A jaka ty jesteś? Kathleen uśmiechnęła się do tak niezwykłej matki rodu.
- Nie w guście pani wnuka.
- A więc to ty pracujesz u niego.
- Pani o mnie słyszała?

- Mam swoje źródła. To było moje przedsiębiorstwo, wiesz? W tamtych czasach mężczyźni byli pierdołami. Mówili, że kobieta nie jest w stanie pokierować wydawnictwem. Cóż. Ja im pokazałam. - Maureen wytarła usta koronkową chusteczką. - Mój wnuk uważa, że kobiety nadają się tylko do łóżka i do rodzenia dzieci.

Kathleen otworzyła usta ze zdumienia.

- Zamknij buzię, dziewczyno. Postaw mu się, słyszysz? W razie potrzeby daj mu kopniaka.
- Ale to miły człowiek, Maureen. Maureen prychnęła.
- Jest okropnie zepsuty. Ale jeżeli ktoś jest w stanie go utemperować, to tylko ty. A teraz wywieź mnie z tego pokoju, dobrze? Chcę zobaczyć moich gości.
- Z przyjemnością. - Kathleen stanęła za wózkiem i poczuła chłodną wychudzoną dłoń starszej pani na swojej ręce.

- Cieszę się, że się w nim zakochałaś. Podobasz mi się. Ale musisz go krótko trzymać. Posłuchaj mojej rady. Nie ustępuj mu. Wymagaj od niego szacunku. - Poklepała Kathleen po ręce. - Duszno tutaj. Chodźmy, póki jeszcze żyję.

No cóż, pomyślała Kathleen. Ja z pewnością nie dożyję tego wieku. Wwiozła starszą panią do sali balowej w tym samym momencie, gdy Mac i pani O'Brien weszli do niej głównymi drzwiami.

Otaczali ich goście, których twarze Kathleen rozpoznawała. Senatorzy. Kongresmani. Księżę i księżna. Nawet Annabella Adams z ręką na ramieniu

Maca. Śmiała się głośno aż do chwili, gdy stanęła twarzą w twarz z Maureen i Kathleen.

- Witaj, Maureen - powiedziała Annabella wysokim, przenikliwym głosem.

- Ach, ta baba od plotek - szepnęła starsza pani. - Constance! - zwróciła się do córki.

- Tak, mam.

- Podaj mi whisky i zawieź do orkiestry. Muszę uciszyć ten hałas.

Constance wywróciła oczami i odeszła, popychając wózek.

Kathleen patrzyła na Annabelle Adams, która pękała z ciekawości.

- Mac, mój drogi. Mam nadzieję, że przedstawiś mi to urocze stworzenie.

- Annabella Adams, Kathleen Flannigan.

- Od czasu owej nocy w hotelu Plaża nie mogłam się doczekać, kiedy panią poznam.

- Naprawdę?

- O, tak. Ostatnimi czasy nie ma materiału na plotki. Zdobyć coś o jednym z naszych najbardziej świętoszkowatych obywateli to nie lada gratka.

- Nie słuchaj jej, Kath.

- A więc uważa pani, że Mac jest świętoszkowaty? - spytała z uśmiechem Kathleen, zdając sobie sprawę z jego zakłopotania.

- Niezupełnie. Ale taki jego wizerunek wykreowaliśmy na użytek naszych czytelników. Gdyby mówiono tylko prawdę, życie stałoby się cholernie nudne.

- Przepraszam cię, Annabelle. Porwę teraz tę miłą osobkę. Obiecała mi taniec, a właśnie grają naszą melodię

- wtrącił Mac.

- Cieszę się, że panią poznałam, Kathleen. Spotkamy się później. Umieram z ciekawości, co wydarzyło się w Plaża. I, Mac, cieszę się, że wreszcie znalazłeś sobie prawdziwą kobietę.

Mac odciągnął Kathleen, zanim Annabella zdążyła dodać coś więcej.

- Witaj w moim świecie - powiedział.

Kathleen tańczyła i tańczyła. Przeważnie w ramionach Maca. Grano Beethovena, Mozarta, Brahmsa, Rodgersa i Hammersteina oraz piosenki Presleya.

- Wygląda na to, że doskonale się bawisz - powiedział Mac, odbierając Kathleen senatorowi Hillowi, który deptał jej po palcach.

- Nigdy nie sądziłam, że spodoba mi się na takim przyjęciu. Ale jest cudownie. Wszyscy są tacy mili, nawet Annabella.

- Prześladowuje cię?

- Oczywiście. Nie spuszcza ze mnie oka. Chce się dowiedzieć, czy to prawda, co mówią o mężczyznach z dużymi rękami.

- Co?

Kathleen drażniła się z nim.

- Mój Boże, Mac. Czy nie wystarczy, że jesteś nabożny i świętoszkowaty? Musisz do tego dokładać pruderię?

- Nie jestem nabożny ani świętoszkowaty, a już na pewno nie pruderyjny. Chodź, udowodnię ci to. - Parkiet był zatłoczony i nikt nie zwracał uwagi na tańczące pary. Zsunął ręce powoli, bardzo powoli, aż natrafił na pośladki Kathleen. Szepnął jej prosto do ucha:

- Nie próbuj się teraz odsunąć. - Przycisnął ją tak mocno, że poczuła twardą męskość. - Przyznaj, że nie jestem pruderyjny.

- Nie jesteś.

- I prawdą jest, co powiadają o mężczyznach z dużymi dłońmi? - zażartował i poprowadził ją głębiej w wirujący tłum.

- Nie wiem, ale jeżeli nadal będziesz się tak zachowywał, z pewnością się dowiem - odpowiedziała.

- Chcesz się dowiedzieć?

- Tak.

- Tej nocy?

- Nie. Nie dzisiaj. W następny weekend.

- Musimy czekać aż tak długo?

- Najpierw musisz mi wszystko opowiedzieć.

- Dlaczego?

- Bo dopóki tego nie zrobisz, nie oddam ci się bez reszty. Nie mógł się oprzeć chęci ucałowania ust Kathleen.

Uniósł jej twarz i pocałował czule i tkliwie. Starał się odgadnąć wyraz jej oczu i miał nadzieję, że ona wyczytała wszystko z jego spojrzenia. Boże, jakże jej potrzebował! Nigdy w życiu nie pragnął nikogo tak bardzo.

Tańczyli, dopóki Mac nie musiał odejść, by zająć się innymi gośćmi. Kathleen wmieszała się w tłum i przysłuchiwała się anegdotom, które opowiadali emerytowani pracownicy McKenna Publishing. Śmiała się z przyjaciółmi rodziny, gdy opowiadali o młodości Maca. Zdumioną słuchała opowieści o tym, jak Maureen trzymała wszystko żelazną ręką w czasach wielkiego kryzysu - kobieta w męskim świecie, w trudnej sytuacji. O tym, jak Patrick O'Brien prowadził firmę po ojcowsku, wbrew sprzeciwom Maureen, ale pomnożył dochody, rozszerzając działalność na inne dziedziny.

Znalazłszy się ponownie w ramionach Maca i spoglądając w jego błyszczące oczy, powiedziała:

- Tylu ludzi wspomina twego ojca. Tęsknię za nim. Nie sądziłam, że człowiek może być kochany przez tak wiele osób.

Uśmiechnęła się na wspomnienie dużego Irlandczyka.

- Lubiłam jego uśmiech... jego śmiech. Był najmiłszym człowiekiem, jakiego znałam. - Uśmiechnęła się przez łzy. - Kiedyś byłeś do niego podobny. A potem myślałam, że zmieniłeś się na zawsze, ale pomyliłam się.

Mac czule starł łzę z jej policzka, a potem przyciągnął Kathleen do siebie i pocałował. Nigdy nie doznał niczego podobnego i zrozumiał, że po raz pierwszy w życiu znalazł kobietę, którą naprawdę pokochał. Pragnął jej z całego serca i nic nie obchodziły go krążące o niej plotki. W głębi serca i tak nigdy w

nie nie wierzył. Za tydzień opowie jej o swoich podejrzeniach, powie całą prawdę; miał nadzieję, że nie odtrąci go za to, że tak długo jej nie zauważył.

- Przy tobie staję się lepsi. Wytrwasz u mego boku? Kathleen wtuliła twarz w szyję Maca i całowała go, aż jej usta trafiły na jego ucho.

- Nie ma dla mnie odpowiedniejszego miejsca - wyszeptała.

Muzyka zagrała głośniejsz i Mac zaśpiewał tak, że tylko ona słyszała:

„Gdybym cię kochał kiedyś i teraz, chciałbym ci powiedzieć...” Kathleen przymknęła oczy i wyobraziła sobie, jak Gordon McCrea śpiewał tę piosenkę dla Shirley Jones w „Karuzeli”. Och, jakże lubiła tę melodię i jak lubiła tańczyć w ramionach Maca. Pragnęła, by nigdy jej nie opuszczał.

Nie widziała nic poza nim. Tylko radość na jego twarzy. I nagle została brutalnie wyrwana z błogostanu. Coś ostrego wpiło się w jej ramię. Paznokcie. Paznokcie Ashley.

- Jak śmiesz całować go w mojej obecności? - wysyczała. Mac zdjął dłoń Ashley z ramienia Kathleen i stanął między nimi.

- Myślałem, że wróciłaś do domu.

- Nie chcę wychodzić. Moje miejsce jest tutaj - powiedziała cicho i spokojnie, z wyrachowaniem.

- Porozmawiajmy na zewnątrz. Ashley wyswobodziła rękę z dłoni Maca.

- Świetnie. Nie chcę urządzić sceny na oczach moich przyjaciół.

Mac spojrział na Kathleen, spodziewając się zrozumienia. I znalazł je.

- Zostań tutaj - powiedział.

- Nie, Mac. Ta sprawa dotyczy także i mnie. Przeszli przez salę balową i skierowali się ku ogrodowi.

- No więc, Ash. O co chodzi tym razem?

- Bardzo proste. Ona robi z ciebie idiotę. Patrzyłam na to całe przedstawienie. Jak mogłeś urządzić takie widowisko na oczach swoich gości. Ze mną nie pozwoliłbyś sobie na coś takiego. Ta kobieta sprowadzi cię na manowce.

- Nie pozwoliłbym sobie z tobą, bo ty byś mnie spoliczkowała.

Ashley spojrzała na Kathleen.

- On sobie wyobraża, że ty zajmiesz moje miejsce, ale tak się nie stanie. Nie wiesz, jak się ubrać. Nie umiesz bawić gości. Jesteś po prostu małomiasteczkową gęsią, i on dobrze o tym wie.

- Cofnij to, Ash. Ona nie zasługuje na takie traktowanie.

- To dziwka, Mac. Mówiłam ci to wiele lat temu. Nie zaczynaj wszystkiego od nowa.

Kathleen chwyciła Maca za ramię.

- O czym ona mówi? Co ci powiedziała wiele lat temu? Ashley uśmiechnęła się drwiąco. Och, jakże się cieszyła, że tych dwoje przez nią cierpiało.

- To nic, Kath.

- Nie zbywaj mnie, Mac. Chcę wiedzieć. Co ona powiedziała?

Mac zwrócił się do kobiety, którą teraz serdecznie nienawidził.

- Zabieraj się do domu, Ash.

- Wyjdę, ale wcale się mnie nie pozbędziesz. Wrócę po to, żeby zatruć ci życie. Odeszła, a oni wrócili do domu pełnego gości, modląc się, by opuściła ich na dobre, chociaż zdawali sobie sprawę, że to niemożliwe.

Łagodna muzyka powitała ich jak ciepły powiew wiatru. Mac ujął rękę Kathleen i wyprowadził ją na taras. Oparł się o filar, włożył ręce w kieszenie i patrzył, jak Kathleen siada na ławce naprzeciwko. Taka wdzięczna. Taka piękna. Boże, za nic nie chciał jej utracić. Kathleen wyczuła jego niepokój.

- Czy właśnie po tym, co ci powiedziała, wyjechałeś do Europy?

- Porozmawiajmy o tym w przyszłym tygodniu, jak będziemy sami.

Kathleen potrząsnęła głową.

- Powiedz mi teraz, Mac. Przygarbił się i oparł głowę o filar.

- Boję się, że ode mnie uciekniesz.

- Nie ucieknę, Mac, ale chcę się dowiedzieć, dlaczego ty uciekłeś przede mną.

- Ashley powiedziała mi, że interesując się tobą, robię z siebie durnia.

- I cóż to miało znaczyć?! Rozmawialiśmy tylko na tematy służbowe, to wszystko.

- Nie, nie wszystko. Ciągle o tobie myślałem. Nie zrozumiesz mnie, jeśli ci powiem, jak bardzo polubiłem nasze pojedynki słowne. I chyba mówiłem o tobie zbyt często. Ashley nie była tym zachwycona.

Kathleen poczuła, że pieką ją policzki, chociaż zwykle się nie rumieniła.

- To mi pochlebia.

- Nigdy nie przyszło mi do głowy, że łączy nas coś więcej niż stosunki służbowe. Lubilem na ciebie patrzeć, ale nie dopatrywałem się w tym niczego więcej. Ale Ashley dopatrzyła się i wystawiła szpony. Wyśmiewała się ze mnie, mówiła, że jestem dla ciebie za stary, że uwodzisz mnie, bo jesteś łasa na moje pieniądze.

- Naprawdę pomyślałeś, że chcę twoich pieniędzy?

- Do diabła, nie. Gdybym się tym przejmował, nie spotykałbym się z Ashley.

- Więc o co chodziło? Roześmiał się.

- Biorąc pod uwagę, jak bardzo interesowałem się tobą... i to, że byłaś bardzo młoda.. - jąkał się, a potem dokończył zdecydowanie: - Ashley próbowała mi unaocznić, jak dziwnie będziemy razem wyglądać.

- To szaleństwo!

- Teraz to wiem. Ale oprócz tego, że jestem uparty i nieustępliwy, jestem również próżny.

- Wiem o tym nie od dziś.

- Cholera, Kath. Musisz być aż tak szczerą?

- Tak. I chcę, żebyś ty był szczerą ze mną.

- Jestem.

- Nie powiedziałeś mi wszystkiego, Mac. Nadal nie wiem, dlaczego wyjechałeś do Europy i czemu po powrocie przestałeś mnie zauważać?

Popatrzył w niebo, nabrał powietrza i odważnie spojrział na Kathleen.

- W porządku. Wydawało mi się, że jestem zakochany w Ashley, nawet wtedy, gdy bez przerwy myślałem o tobie. Obiecywała mi, że jeśli spędzimy rok w Europie, to po powrocie wyjdzie za mnie za męża i założymy rodzinę. Sam nie wiem, jak mogłem jej uwierzyć.

- Czasami miłość bywa ślepa.

- Cóż, w Europie szybko się w tym połapałem. Ona wcale nie chciała mnie. Po prostu chciała tego, co mogłem jej kupić. Stroje, biżuteria, nie kończące się przyjęcia. I tak przez cały rok. A ja się na to godziłem, Kath. Chciałem zwiedzać, oglądać zamki i krajobrazy. Ale ona chciała chodzić po sklepach. Okropność.

- Jeżeli było aż tak źle, dlaczego nie zerwałeś z nią zaraz po powrocie?

Westchnął, by dać upust żalowi, który męczył go przez pięć długich lat.

- Myślę, że ona wyczuła, że mam taki zamiar. Zanim wróciliśmy, zaczęła robić aluzje do twojego romansu.

- I z kim to miałam romans? - spytała zdumiona Kathleen. Mac spuścił głowę. W żaden sposób nie mógł patrzeć jej w oczy.

- Z moim ojcem.

Cisza. Głucha cisza.

- Powiedz, że w to nie uwierzyłeś. Proszę, powiedz.

- Nie. Nie uwierzyłem. Nie mogłem. Znałeś mego ojca, on nigdy nie miał romansów.

- Ale uwierzyłeś, że romansował ze mną? - wyszeptała.

- Cóż... - Unikał jej wzroku.

- Co znaczy „cóż”?

- Wróciłem z Europy, a ty miałaś niemowlę.

- Nie przyszło ci do głowy, żeby ze mną porozmawiać?

- Nie. - Spojrzał w granatowe niebo. Bał się patrzeć Kathleen w twarz. - Nie chciałem wiedzieć prawdy. Uznałem, że poznałaś kogoś, zaszłaś w ciążę, a potem on nie chciał się z tobą ożenić.

Teraz rozgniewała się.

- Takie rzeczy zdarzają się, Mac. Kobiety zachodzą w ciążę, czasem nie chcą, ale zawsze jest w to zamieszany mężczyzna. Czyżbyś zapomniał o roli mężczyzny w akcie poczęcia?

- Jasne, że nie zapomniałem. Przepraszam cię, Kath. Co mogę dodać? Może po prostu poczułem zazdrość, że to nie ja z tobą sypiam? Bóg mi świadkiem, że ciągle o tym myślałem.

Uniosła głowę, oczy jej zabłyśły. Westchnęła. Mac miał na twarzy uśmiezek. Głupi, męski uśmiezek. Nie do zniesienia.

- Chcesz mi coś więcej powiedzieć? - spytała. - Mamy coraz więcej powodów do zerwania.

Z jakiegoś powodu Mac nie przestał się uśmiechać.

- Nie. Ja widzę wyłącznie powody, dla których powinniśmy zostać razem.

- Jakże?

- Nie dbam o przeszłość, zależy mi na wspólnej przyszłości. - Cholera, pomyślał Mac, powiedziałem dokładnie to, co powinienem.

- Wydaje ci się, że po tym, jak mnie obraziłeś, mamy przed sobą wspólną przyszłość?

Skinął głową, a uśmieszek zmienił się w szeroki uśmiech.

- Wystarczy, że mi przebaczysz.

- Przebaczę? Prędzej zlinczuję cię za to, że jesteś takim niewrażliwym, upartym i obłudnym łajdakiem. - Ale na McKenna O'Briena trudno było się gniewać. Przecież go kochała. - Na szczęście myślę, że możesz odpokutować za grzechy.

- Czy wiesz już, jak zbawić moją duszę?

- Nie potrafię cię rzucić. Pragnęłam cię przez dziesięć długich lat. Wybaczę ci twoje przestarzałe poglądy. - Ale, pomyślała, będziesz mi musiał udowodnić, że zasługujesz na poznanie prawdy o Julie. Nie powiem ci nic, dopóki sam mnie nie zapytasz. A kiedy się już dowiesz, poczujesz się jak głupiec, i mam nadzieję, że to nie będzie przyjemne.

- Kath?

- Nie mów do mnie takim uwodzicielskim, pełnym seksu głosem, McKenna. Słucham?

- Ja naprawdę myślę o tobie poważnie. Pozbyłem się przesądów, bo one odsuwały mnie od ciebie. Moja matka mówi, że jestem konserwatywnym nudziarzem...

- Ma rację.

- Być może. Konserwatywny nudziarz, nieznośny świntuch, obłudny łajdak. Jeszcze coś?

- Niech no pomyślę. Wydaje mi się, że zestawiałabym znacznie dłuższą listę.

Uniósł jej podbródek.

- Przebaczysz mi? Zagniewane oczy pojaśniały.

- Zastanowię się.

- Pasujemy do siebie, Kath. Nabożny konserwatysta i nieustępliwa wolnomyślicielka. Zawsze będziemy mieli powód do sporów. - Nie spuszczać wzroku z Kathleen, odgarnął z jej twarzy pasmo pięknych włosów. Uśmiechnęła się promiennym, zniewalającym uśmiechem. Przytulił ją. Wtulił twarz w jej włosy i wdychał ich zapach. Odnalazł usta, miały niebiański smak.

Bum!

Usłyszeli wybuchy fajerwerków i zbiegli z tarasu. Ujrzeni na niebie tysiące barw. Święto Czwartego Lipca wprawiło Kathleen w dziecinny zachwyty. Mac przycisnął ją do siebie. Razem spoglądali w rozjarzone niebo.

Zatrzymali się przed drzwiami pokoju Kathleen.

- Może dasz się namówić na wspólne spędzenie nocy? - zapytał Mac.

Kathleen potrząsnęła głową.

- Cii - wyszeptała, kładąc mu palec na ustach. - Dasz ludziom temat do plotek.

- A niech sobie plotkują.

Przysunął się bliżej, ale Kathleen prędko otworzyła drzwi i weszła do pokoju. Odwróciła się i powiedziała:

- Dobrej nocy.

Nie mógł się nadziwić, że ta dziewczyna tak pięknie wygląda o trzeciej nad ranem. Jakże pragnął mieć ją u swego boku, gdy się obudzi. Odgarnął z twarzy Kathleen kosmyk włosów i pogładził jej policzek.

- Słodkich snów, Kath.

Ujęła dłoń Maca i przycisnęła do niej usta. Ucałowała czubki palców, a potem wnętrze dłoni. Wdychała jego zapach. W końcu z uśmiechem zamknęła za sobą drzwi.

Ashley patrzyła na światła gasnące w oknach domu. To niesprawiedliwe, że inna kobieta śpi w łóżku, w którym ona spędziła tak wiele nocy. Mac nie miał prawa tak jej traktować. Kilka tygodni temu poprzysięgła zemstę i teraz nadszedł na nią czas. Ale co zrobić? Mac pragnął jednego. Dziecka. Myśl o dziecku była dla niej odpychająca. Seks. Dzieci. Wspólne życie pod jednym dachem. Cały czas.

Nie tego pragnęła. Nie pragnęła już nawet Maca. Chciała tylko, aby Kathleen cierpiała tak samo jak ona, gdy Mac ją porzucił.

Przeszła przez trawnik i wemknęła się do domu wejściem dla służby. Znała drogę do pokoju Maca. Trafiłaby tam z zamkniętymi oczami. Na korytarzu paliły się przyćmione światła. Nikt jej nie słyszał, nikt nie widział. Oto i jego drzwi. Nacisnęła klamkę i wślizgnęła się do środka.

Usłyszała głęboki oddech Maca. Z niechęcią słuchała jego pochrapywania. Nienawidziła tego odgłosu. Rozpięła suwak i suknia opadła na podłogę. Zsunęła pończochy, majtki i biustonosz. Podeszła cicho do łóżka. Mac poruszył się, przewrócił na bok i rozwarł ramiona.

Kathleen nie mogła zasnąć. Wierciła się. Przewracała z boku na bok. W końcu wstała z łóżka. Czego chciała od Maca? Czego on chciał od niej? Dobrze wiedziała. Jej pragnienie stawało się coraz silniejsze. Omdlewała, gdy ją całował. Przyjdzie do niej? A może ona powinna pójść do niego?

Do diabła z przyzwoitością, pomyślała. Zdjęła z siebie bawełnianą piżamę i włożyła białą jedwabną koszulę, którą kupiła na wszelki wypadek. Miała nadzieję, że podłoga nie będzie skrzypiała. Kiedy szła do swego pokoju, nie zwróciła na to uwagi. Zresztą i tak nic nie słyszała. Nic poza słowami Maca, jego śmiechem i oddechem.

Podłoga nie skrzypnęła pod nią ani razu. Słyszała tylko uderzenia własnego serca. Piętro niżej. Które to drzwi? Trzecie po prawej stronie? Czwarte? Dlaczego nie zwróciła uwagi, gdy je wskazywał? Położyła dłoń na klamce. Boże, spraw, by Mac był w tym pokoju.

Mac obudził się, słysząc lekkie kroki. A jednak przyszła. Dostrzegł biały jedwab opadający na podłogę. Podłoga skrzypnęła przy łóżku. Rozwarł

ramiona, by przytulić Kathleen. Wtedy drzwi otworzyły się znowu. Do pokoju wniknęła wąska smuga światła, wydobywając z mroku jasne włosy kobiety przy jego łóżku.

Włosy Ashley. A w progu stała Kathleen. Nie widział twarzy, ale domyślił się jej wyrazu. Zrzucił kołdrę i wyskoczył z łóżka, ale drzwi już się zamknęły.

- Obiecałam ci, że się zemszczę - wysyczała z uśmiechem Ashley.

Kathleen zamknęła za sobą drzwi. Zalewając się łzami, wracała do swego pokoju. Starła się opanować. Westchnęła parę razy. Przeklęta kobieta. Jak śmie wchodzić do jego pokoju! Jak śmie kręcić się wokół niego, skoro on należy do niej! Nie czuła złości do Maca. Tylko dziką wściekłość, że Ashley znowu próbuje ich rozdzielić.

Otarła łzy wierzchem dłoni. Nie zastanawiając się dłużej, wróciła do pokoju Maca. Nacisnęła klamkę i otworzyła drzwi tak energicznie, że stuknęły o ścianę.

Ashley stała naga tuż przy łóżku, uśmiechając się zwycięsko.

Mac był tuż przy drzwiach i Kathleen słyszała, że zgrzytał zębami. Posłała mu szybki uśmiech, a potem go odsunęła.

- Zamknij drzwi, Mac. Chcę powiedzieć parę słów panie Tate, nie budząc pozostałych gości.

Zbliżając się do Ashley, podniosła z podłogi części jej rozrzuconej garderoby. Miała ochotę zdzielić ją po uśmiechniętej twarzy. Chętnie wydrapałaby jej oczy. Ale to oznaczało znizenie się do poziomu Ashley. Słowa będą lepsze w tej sytuacji.

Podążyła jej suknię.

- Myślę, że należy do pani. Nie jest specjalnie ładna, ale w niej wygląda pani lepiej niż nago.

Ashley chwyciła sukienkę i zasłoniła się.

- Wydaje mi się, że gniew powinnaś skierować nie na mnie, lecz na Maca. On lubi oglądać mnie bez sukni.

Kathleen spojrzała jej w oczy.

- Sama wiem, co Mac lubi.

Mac ani drgnął. Stał przy drzwiach i przyglądał się kobietom.

Nie spodziewał się, że Kathleen wróci i że będzie o niego walczyć. Oczekiwał, że spakuje walizki i szybko opuści rezydencję McKenna. Tymczasem doskonale radziła sobie z Ashley. Ale najprzyjemniejszy był uwodzicielski uśmiech, z jakim się do niego zwróciła.

Podeszła do Maca. Oparła dłonie na jego nagiej piersi i patrzyła na prześcieradło, którym w pośpiechu obwiązał sobie biodra. Czując na sobie jej intensywny wzrok, zarumienił się jak uczeń. Ale stał spokojnie, kiedy go pieściła. Zupełnie zapomniał o obecności rozgniewanej Ashley.

Smukłe palce Kathleen gładziły jego ramiona, szyję, policzki, włosy. A potem uniosła głowę i pocałowała go w usta. Zadrżał. Czuł się jak w raju. Była jego. Reszta się nie liczyła. Ashley nie uda się ich rozdzielić.

Chciał objąć jej miękkie, ciepłe ciało, ale Kathleen odsunęła się.

Zobaczył zwycięski wyraz jej twarzy i spojrzenie skierowane ku Ashley. Zrozumiał, co Kathleen robi - wytyczała granice swego posiadania.

- Oto, co lubi Mac - powiedziała. - Jest mój. Nie muszę go pilnować. Ufam mu. Zawsze miałam do niego zaufanie. A on do mnie.

- Jeżeli sobie wyobrażasz, że się wycofam, to grubo się mylisz.

- Będziesz musiała stoczyć ciężką walkę. Nie trać energii.

- I lekceważąc ją, zwróciła się do Maca: - To był długi dzień i rozboleła mnie głowa. - Ucałowała koniuszki palców i przyłożyła mu do ust.

- Wracam do łóżka. Czy zechcesz odwiedzić pannę Tate do Nowego Jorku?

Mac otoczył Kathleen ramionami. Nie chciał, żeby odchodziła.

- Wolę zostać z tobą.

- Nie, Mac. - Kathleen pogłaskała go po policzku.

- Odwieź ją do domu i wracaj do mnie, gdy będziesz pewien, że już nam nie zaszkodzi.

- Ale, Kath - zająknął się.

Lecz Kathleen wyswobodziła się z jego objęć i podeszła do drzwi. Odwróciła się z uśmiechem.

- Dobrej nocy, Mac. Dobrej nocy, Ashley.

Rozdział czternasty

- Czy zechciałbyś łaskawie zwolnić? - wrzasnęła Ashley. - I przykręć szybę w oknie. - Wiatr zagłuszał jej słowa.

Mac słyszał ją, ale całkowicie lekceważył. Nie odrywał wzroku od drogi, szybkościomierz wskazywał prawie sto trzydzieści kilometrów na godzinę. Mercedes zachowywał się świetnie na zakrętach, i Mac radośnie przyciskał pedał gazu. Kątem oka obserwował Ashley, która bezskutecznie starała się ochronić fryzurę przed wiatrem. Uśmiechnął się. Nie dlatego, że cieszyły go jej kłopoty, lecz dlatego, że pomyślał o długich, falistych włosach Kathleen, które powiewałyby swobodnie, gdyby to ona zajmowała miejsce obok. Kathleen nie przejmowałaby się fryzurą. Śmiałyby się beztrosko. Boże, jak bardzo jej pragnął.

- Słyszałeś, co powiedziałam?

Spojrzał na Ashley. Omal się nie roześmiał, widząc, jak ramionami osłania głowę.

- Słyszałem - odpowiedział z kamiennym wyrazem twarzy. - Ale szczerze mówiąc, wiatr sprawia mi przyjemność i nie mam najmniejszego zamiaru zamykać okna.

- Wiesz, że nienawidzę otwartych na oścież okien.

- Wiem również, że nienawidzisz seksu, niewyszukanych potraw, zimna, przytulania się w łóżku, dzieci i mnie. Przez wszystkie wspólnie spędzone lata stale dawałaś mi to do zrozumienia. A teraz, nareszcie, nie przejmuję się tym ani trochę. Jeśli o mnie chodzi, możesz nienawidzić całego świata.

- Co cię napadło? - Ashley przechyliła się w stronę Maca, oparła o jego kolana i próbowała zamknąć okno, ale odepchnął ją.

- Zostaw to, Ash. - Zmrużył oczy. Zacisnął szczęki.

- Chcę, żeby okno zostało otwarte.

- To jakieś szaleństwo. Dlaczego kłócimy się o głupie okno?

- Tu nie chodzi o okno, i ty dobrze o tym wiesz. Chodzi o ciebie.

- O czym ty mówisz? - Nie patrzyła na Maca, odchyliła się do tyłu, chroniąc przed wiatrem. Wyjęła szminek, lusterko i umalowała sobie usta.

Mac westchnął. Cóż mógł jej powiedzieć?

- Dlaczego tak bardzo mnie nienawidzisz? - zapytał tak cicho, że mijany samochód prawie go zagłuszył.

- To nie jest kwestia nienawiści, Mac. Ja się tobą brzydzę. Wyobrażasz sobie, że możesz bez mrugnienia okiem wyrzucić na śmietnik dziesięć lat mojego życia?

- To było również moje życie. Ale teraz jestem szczęśliwszy niż kiedykolwiek w ciągu tych dziesięciu lat.

- Z powodu Kathleen?

- Tak.

- To nie będzie trwało wiecznie. - Ashley roześmiała się.

- Tym razem wygrałeś, ale to jeszcze nie koniec.
- Mylisz się. Ona jest moja pomimo twoich knowań. Nic na to nie możesz poradzić.

- Przykro mi, mój drogi, ale się mylisz. Nie mam najmniejszego zamiaru poddać się bez walki.

Roześmiał się, potrząsnął głową i przeczesał palcami włosy.

- I co zamierzasz? Chodzić za mną dniem i nocą?

- Jeżeli zajdzie taka potrzeba.

Mac zwolnił, modlił się o cud. Wjechali już do miasta, ale znalazł miejsce, by zaparkować samochód. Zamknął okno, żeby nie słyszeli go przechodnie.

- Nie rób tego, Ash. Nie psuj wszystkiego. Nie zamieniaj miłych chwil na złe wspomnienia.

- Nie boję się złych wspomnień. Uważam, że stanowiliśmy doskonale dobraną parę.

Spojrzał w jej pozbawione wyrazu oczy. Co ją opętało? Czyżby zawsze była taka? Czy mógł być aż tak zaślepiiony?

- Psujesz wszystkie dobre wspomnienia o naszym związku. Starasz się zniszczyć to, co jest między mną i Kathleen. Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego.

Wyrzwał przez okno. Obok samochodu przechodziła przytulona para. Całowali się nie dbając, że ktoś może im się przyglądać. Tego właśnie pragnął. Tego potrzebował.

- Odwiozę cię do domu i nie chcę cię widzieć nigdy więcej.

- Ale zobaczysz.

- Nie. Zadbają o to moi adwokaci.

Kwadrans później zajechali pod dom Ashley. Był to najdłuższy kwadrans w jego życiu. Ashley groziła mu, że go poda do sądu. Złościła się, że w ogóle nie dba o jej sytuację finansową i o to, co pomyślą jej przyjaciółki. Nie odpowiedział na to ani słowem.

Otworzył bagażnik, żeby portier mógł wyjąć walizki. Wysiadł i otworzył Ashley drzwi.

- Przepraszam pana. Ja to zrobię.

Głos był znajomy, ale Mac widział tego portiera po raz pierwszy. Miał około metra dwudziestu centymetrów, błyszczące oczy i dziarski uśmiech.

Mac cofnął się i patrzył, jak mężczyzna pomaga Ashley wysiąść z samochodu. Portierzy, sekretarki, urzędnicy i kelnerzy nie należeli według niej do gatunku ludzkiego. Już dawno dostrzegł, jak Ashley traktuje ludzi, których uważa za gorszych od siebie. Próbował na nią wpłynąć. Gdy zorientował się, że ona uważa swój sposób bycia za normalny i właściwy, starał się uśmiechem, uściskiem dłoni, serdeczną rozmową, pożyczką lub napiwkami wynagrodzić jej brak uprzejmości. Ludzie byli mu za to wdzięczni i szanowali go. A Ashley lekceważyli. Mały człowieczek był jednak inny. Grzecznie wypełniał swoje obowiązki.

- Pomogę pani, madame. - Wyciągnął do niej rękę, ale Ashley odtrąciła go.
- Zejdź mi z drogi - prychnęła i obrzuciła go lekceważącym spojrzeniem; miał buty z zawiniętymi do góry czubkami i zadarty nos. - Nie jesteś moim portierem. Gdzie on się podziewa?

- Na imię mu Harold.

- Nic mnie nie obchodzi jego imię. Chcę wiedzieć, gdzie on jest.

- A czy to ważne?

Ashley wzruszyła ramionami.

- Obaj jesteście sobie warci. Wyładuj bagaże z samochodu.

- Z największą przyjemnością, proszę pani.

- Nazywam się Tate, panna Tate.

- Wspaniale, wspaniale, wspaniale. - Uradował się mały człowieczek. - Oczekiwałem pani.

Ashley wzniosła oczy do nieba.

- Nie ma czasu na głupstwa. Wyładuj bagaże.

- Ale to ważne.

- O co chodzi? - spytała niezadowolona. - Nie dam ci ani grosza. Od tego jest Mac. Jeśli czegoś potrzebujesz, zwróć się do niego.

Mały człowieczek mrugnął do Maca, oparł ręce na biodrach i zwrócił się do Ashley.

Mac przyglądał się im z zainteresowaniem.

- Nie, nie, nie, panno Tate. Niczego nie potrzebuję. Chcę coś pani ofiarować.

- A cóż ty mógłbyś mi ofiarować? - prychnęła z pogardą. Portier wyjął z kieszeni marynarki małe czerwone pudełeczko kryte aksamitem.

- Proszono mnie, abym dał to pani - powiedział, unosząc wieczko. Podał pudełko Ashley. - Ho, ho, ho. Czyż nie jest to najpiękniejszy naszyjnik świata?

Ashley spojrzała zdumiona na trzy rzędy brylantów, w których zaśniło poranne słońce.

Mac otworzył szeroko oczy. Widział już ten naszyjnik. Słyszał te powtarzające się słowa: „Oj, oj, oj. Nie, nie, nie.” To były słowa Merry. I sprzedawcy w Jemiole. Spojrzał na śmieszne buty dziwaczego człowieczka, na jego zadarty nos. Uśmiechnął się, a potem roześmiał, a człowieczek mrugnął do niego. Mac oparł się o samochód. Czyżby zdarzył się cud, o który się modlił?

Ashley wyrwała pudełko z rąk nieznajomego.

- Ukradłeś go?

- Nie, panno Tate. Miałem to pani oddać. I przekazać wiadomość.

Wyjęła naszyjnik, a pudełko wyrzuciła.

- Jaką wiadomość? - spytała, zakładając naszyjnik. Człowieczek podrapał się po brodzie i uśmiechnął się do niej.

- Ten naszyjnik jest zaczarowany. Ashley roześmiała się.

- Cóż za bzdury. To zwykły naszyjnik.

- Piękny naszyjnik. I wiąże się z nim pewna legenda.

- Jaka znowu legenda?
- Powiadają, że nosząca go osoba, zakocha się bez pamięci w pierwszym człowieku, który wypowie jej imię.
- Chyba oszalałeś.
- Nie, nie, nie. To najprawdziwsza prawda.
- Niech będzie - zgodziła się Ashley i zapięła zamek. - Jeśli uważasz, że jest zaczarowany, wypróbujemy go. Zwróć się do mnie po imieniu.
- Nie mogę tego zrobić, panno Tate - powiedział potrząsając głową.
- Niby dlaczego?

Człowieczek spojrzał figlarnie na Maca, a potem zwrócił się do Ashley.

- Nie przepadam za panią, panno Tate. Uważam, że powinna się pani zakochać w kimś podobnym do pani.

- Cóż za grubiaństwo. Nie wierzę w ani jedno twoje słowo. I nie mam zamiaru oddawać naszyjnika.

- Nie chcę go, panno Tate - odparł. - Zasłużyła pani, by go posiadać. Wezmę bagaże, ale proszę uważać, żeby nie zakochać się w kimś niewłaściwym.

Mac patrzył, jak Ashley gładzi brylanty i schyla się, by przejrzeć się w bocznym lusterku samochodu.

Poczuł dłoń na ramieniu.

- Mac. Witaj stary. - Rozpoznał donośny, ochryply głos Reginalda Morgana, księcia pornografii. - Co ty robisz?

- Raczej co ty tu robisz? Jak się masz?

- Jestem wstrząśnięty - zażartował Reginald, podziwiając siedzenie Ashley ozdobione czerwono-biało-błękitną kokardą huśtającą się z ruchem jej bioder. - Jesteś wybrańcem bogów. Nie wyobrażam sobie większego szczęścia niż posiadanie takiej lali jak ta i tego długonogiego stworzenia, z którym widziałem cię w Plaży.

Mac zlekceważył jego słowa. Nie przypominał sobie, by Reginald był wtedy w hotelu, i chciał zmienić temat.

Ashley stanęła przy nim i wsunęła mu rękę pod ramię, ale on odsunął się od niej; nie chciał, by go dotykała. Spojrzał na małego człowieczka walczącego z bagażem. Chciał już odjechać, uciec jak najdalej od Ashley i Reginalda, tego paskudnego, odrażającego typu, który uważał się za mężczyznę.

Reginald przyjrzał się twarzy Ashley, a potem jego wzrok powędrował ku brylantowemu naszyjnikowi. Zlustrował jej drobne piersi, smukłą talię. Mac nienawidził go i jego podejrzanych interesów oraz lichej pornografii, którą wydawał.

- Przepraszam pana - odezwał się portier. - Wezmę te rzeczy do mieszkania pani.

- Dziękuję - powiedział Mac z miłym uśmiechem. Sięgnął do kieszeni i wyjął kilka banknotów.

- Nie, nie, nie, proszę pana. Niech pan to da na cele dobroczynne.

Mac skinął głową. Mały człowieczek chwycił walizki i oddalił się. Nagle zatrzymał się i odwrócił.

- Przepraszam pana, panie O'Brien.
- Słucham? - Mac zdziwił się, skąd zna jego nazwisko.
- Czy mogę coś zasugerować?
- Proszę.
- Może przedstawi pan pana Morgana swojej przyjaciółce?
- Mały człowieczek mrugnął i odszedł bez słowa.
- Tak, mój drogi. Przedstaw nas sobie - zagruchała Ashley.

Mac spojrział na Reginalda Morgana, na jego grube wargi i dołek w brodzie. Potem na Ashley i jej naszyjnik. Zastanawiał się, jak ma tego dokonać, nie wypowiadając jej imienia.

Zauważył, że Ashley przygląda się grubym pierścieniom z brylantami na palcach Reginalda. Reginald pocił się. Jego szyja i kilka podbródków nad ciasno zapiętym kołnierzykiem poczerwieniały. Miał na sobie różową koszulę, a na szyi gruby złoty łańcuch z medalionem.

Mac nie mógł dłużej zwlekać. Patrzyli na niego wyczekująco.

- Reginald Morgan, a to moja stara znajoma.
- Mac, mój drogi, wiesz, że nie lubię, gdy nazywa się mnie starą.
- Bardzo niedelikatnie, chłopie - wtrącił się Morgan.
- Jak można nazwać starą tak uroczą osobkę? Nie ma z pewnością więcej niż dwadzieścia lat.
- Dziękuję panu, Morgan - odezwała się słodko Ashley. Mężczyźni w typie Reginalda napełniali ją obrzydzeniem, ale robiła wyjątek dla paskudnych mężczyzn z wielkimi pieniędzmi.
- Mac potrafi być czasem bardzo niedelikatny. Nazywam się Ashley Tate - powiedziała, wyciągając do Morgana filigranową dłoń.

Reginald ucałował ją.

- Jakże miło mi poznać panią, Ashley.

Mac nie poruszył się. Z bezchmurnego nieba uderzył piorun i rozległ się grzmot.

Na twarzy Ashley pojawił się dziwny wyraz. Cofnęła rękę, jakby ją poraził prąd. Spojrzała na Maca, w jej oczach odmalował się nagły lęk i coś jakby żal. A potem uśmiechnęła się. Dotknęła twarzy Reginalda czubkami palców i pogładziła go po wypomadowanych włosach. Drugą rękę wsunęła mu pod marynarkę i przesunawszy ją po przepoconej koszuli położyła na jego ramieniu. Przynęła się bliżej i unosząc głowę, pocałowała w usta.

Mac nie wierzył własnym oczom. Miał ochotę rozdzielić tę dziwną parę. Ashley była okropna, ale czy zasługiwała na kogoś takiego jak Reginald?

Dotknął jej ramienia.

- Chodź, Ash. Odprowadzę cię do mieszkania. Uderzyła go po ręce.
- Idź sobie - wysyczała i znów pocałowała Reginalda.
- O Boże. Ależ z ciebie tygrysica - wydyszał Morgan, z trudem łapiąc oddech.

- Ożeń się ze mną, a będę tylko twoja - wyszeptała, liżąc jego ucho.
- Mam dom w Vegas - jęknął Reginald. - Możemy tam być w kilka godzin.
Całowała jego oczy i nos.

- Chcę mieć okrągłe łóżce, czerwone tapety i wszędzie lustra, mnóstwo luster.

- Dla ciebie wszystko, kochanie.

- Pospieszmy się - wydyszała Ashley.

Otoczyła go ramionami i jeszcze raz pocałowała namiętnie w usta.

Dookoła zebrał się tłum gapiów. Nie wiadomo skąd pojawili się reporterzy; Mac usłyszał trzask aparatów fotograficznych. Cofnął się do samochodu, otworzył drzwi i wsiadł. Spojrzał na obrotowe drzwi budynku. Mały człowieczek stał obok i uśmiechał się do niego. Mrugnął okiem i wmieszał się w tłum.

Mac spojrzał w niebo. Zamknął oczy.

- Dzięki ci, Panie - wyszeptał.

RS

Rozdział piętnasty

Kathleen otworzyła oczy. Słońce późnego ranka wpadało przez okno do jej pokoju. Nie spała już od dawna. Myślała o Macu, o tym, jak bardzo go pragnęła. A teraz należał do niej. Zamknęła oczy i wspominała ich pierwsze spotkanie.

Była już po rozmowie ze starszym redaktorem i wydawcą pisma „Back Country”; teraz miała się spotkać z człowiekiem, którego zdjęcie wycięte z „Fortune” trzymała w biurku. Ale dla kogo chciała pracować? Dla McKenna Publishing czy dla samego McKenna CTBriena?

Zastukała do drzwi. Usłyszała „proszę”, ale miała ochotę rzucić się do ucieczki. Otarła wilgotne dłonie w granatową spódnicę i wyprostowana wkroczyła do pokoju. Mężczyzna ujął jej wyciągniętą dłoń i zdecydowanie uściśnął. Spojrzała mu w oczy. Te same szaroniebieskie oczy, o których marzyła od lat.

- A więc chce pani pracować w McKenna Publishing? - zapytał.

- Tak, proszę pana.

- Powiedziano mi, że chce pani zostać redaktorem.

- Nie, proszę pana. Chcę być niezależnym wydawcą, własnego pisma.]

- Ach, tak. Chce pani zacząć od samego szczytu.

- Nie, proszę pana. Na razie nie chcę pańskiego stanowiska.

Uśmiechnęła się na wspomnienie tych dawno minionych dni. Ale dlaczego teraz, gdy jej sny nareszcie się spełniły, czuła się tak nędznie?

Otarła pot z karku i ścisnęła dłońmi skronie. Starła się pozbyć pulsującego bólu głowy. Najprzyjemniejsze myśli nie były w stanie zmienić jej podłego samopoczucia.

Słońce świecące prosto w oczy tylko dodawało jej cierpienia. Zagrzebała się w pościeli, zapadła w miękkie materace i ponownie zasnęła.

- No, no, no, panie O'Brien. Wygląda pan po prostu okropnie - orzekła Merry, gdy Mac ukazał się w drzwiach.

Był nie ogolony, w ciągu ostatnich trzydziestu sześciu godzin przespał tylko jedną. Wyglądał strasznie i czuł się paskudnie. Jedyne, co dodawało mu otuchy, to ciągle powracająca myśl: Uwolniłem się od Ashley.

- Czy możesz dać mi coś do jedzenia?

- Oczywiście, proszę pana. Jedna chwila, a postawię na stole coś gorącego i pysznego.

- Masz może trochę ciasteczek czekoladowych? - spytał, opadając na fotel przy kominku.

- Pewnie, że mam. Niech pan sobie posiedzi i odpocznie. O kłopotach porozmawiamy przy jedzeniu.

- Nie mam kłopotów, Merry. Prawdę powiedziawszy, sprawy ułożyły się doskonale.

Oczy Merry zabłysły.

- To świetnie, proszę pana. Cudownie. Proszę teraz zamknąć oczy i myśleć o przyjemnych rzeczach.

Pospieszyła do kuchni, nucąc kolędy.

Mac odetchnął. Poczul zapach cynamonu i jabłeczniaka. Zamknął oczy i oparł głowę na oparciu fotela.

Przypomniał sobie pierwsze spotkanie z Kathleen, gdy stanęła w drzwiach jego gabinetu ubrana w granatowy kostium z krzywo zapiętym złotym guzikiem. Uśmiechnął się, wspominając dotyk jej chłodnej, wilgotnej dłoni. Była to jedyna chwila, gdy brakowało jej słów. Zapamiętał zwłaszcza jej oczy, spoglądające na niego z tęsknotą i nabożnym podziwem. A potem uderzyła go odwaga i inteligencja tej dziewczyny. Czy wtedy właśnie się w niej zakochał?

- Przepraszam pana. - Merry oparła mu dłoń na ramieniu. - Lunch gotowy. Wołałam pana, ale pan mnie nie słyszał.

- Byłem myślami daleko stąd.

- Z kobietą, z którą pojechał pan do domu matki? Skinął głową z uśmiechem.

- Tak, powinienem tam prędko wracać.

- W takim razie niech pan szybko coś zje. Na stole czeka gorące danie.

- Zjesz ze mną?

- Ho, ho, ho, młody człowieku. Nie mogę ciągle przy panu przesiadywać. - Wymachując miotełką z piór, wskazała mu drogę do kuchni.

Pchnął wahadłowe drzwi i poczuł wspaniałą woń świeżo upieczonego chleba i ciasteczek. Na stole stała miska z dymiącą zupą z ziemniaków i sera, obok półmisek z cienko pokrojonym białym chlebem i kostką masła. Po drugiej stronie nakrycia czekała szklanka mleka, a na środku taca z czekoladowymi ciasteczkami. Uczta dla spragnionego człowieka, pomyślał. Spragnionego miłości Kathleen.

Usiadł i zabrał się do zupy. Oparł łokcie na stole. W rodzinnym domu nie pozwalano mu na to. Gorąca zupa, świeży chleb, czekoladowe ciasteczka i myśl o Kathleen - oto, co koło jego skołataną duszę.

Zapatrzył się w miskę z zupą i zamyślił się nad dawno minionymi dniami.

- Wyjeżdżam z panną Tate na rok do Europy - powiedział jej wtedy.

Kathleen spojrzała na niego wielkimi niebieskimi oczami. Nie chciał jechać do Europy, nie chciał rozstawać się z Kathleen, nie chciał psuć tego, co wytworzyło się pomiędzy nimi w ciągu lat wspólnej pracy. Ale musiał. Ashley twierdziła, że dał się opętać tej dziewczynie. To było coś więcej niż opętanie. Mieli odmienne zdanie na wszystkie możliwe tematy: od polityki i praw kobiet po kolor nieba nad głową. On twierdził, że jest niebieskie, ona - że błękitne. Kathleen przywracała mu wtedy chęć do życia. Tak samo jak teraz.

Jadł zupę i myślał, że za parę godzin znowu ją zobaczy; znów spojrzy w jej stęsknione oczy.

Mac otworzył drzwi i wszedł do zaciemnionego pokoju. Matka powiedziała mu, że kazała opuścić zasłony wczesnym popołudniem, skoro Kathleen ciągle spała.

Goście pani O'Brien zazwyczaj nie sypiali tak długo. Ale słyszała nocną wymianę zdań między synem a dwiema kobietami i widziała, jak Mac wyjechał samochodem z Ashley. Miała nadzieję, że nigdy więcej nie zobaczy tej kościstej blondynki. Chętnie godziła się, by zadzierzysta kasztanowłosa spała do późna.

Mac przyglądał się śpiącej Kathleen, jej włosom rozsypanym na białej wykończonej koronką poduszce. Słuchał jej oddechu. Nie poruszyła się, gdy się pochylił i delikatnie pocałował ją w usta. Rozebrał się i położył obok niej. Dobry Boże, wyszeptał, pozwól, bym zawsze sypiał u jej boku. Zamknął oczy i zasnął.

Kathleen obudziło głośne posapywanie tuż przy uchu. Przekreśliła głowę, by spojrzeć w twarz leżącego obok mężczyzny. Pocałowała lekko jego zamknięte oczy. Uniósł powieki.

- Cieszę się, że już nie śpisz - wyszeptał. Przyciągnął ją bliżej i powiódł palcem po jej wargach.

Pocałował ją delikatnie w usta. A potem w ucho. Była rozgrzana i taka bliska.

Kathleen najchętniej by go odsunęła, tak bardzo była obolała, ale nie chciała psuć nastroju chwili. Pragnęła ust Maca na swym ciele rozplomienionym gorączką i pożądaniem. Pogładziła go po muskularnych plecach.

- Zdaje się, że przespałam całutki dzień - wyszeptała mu do ucha.

- Najwyraźniej. Głodna jesteś?

Burczało jej w brzuchu. Usiadła, potrząsnęła głową i natychmiast opadła na chłodne poduszki.

- Cóż, ja umieram z głodu. Pozwolisz, że pójde coś zjeść? - spytał Mac.

- Idź. Ale ja nie mam zamiaru ruszać się z łóżka.

- Przejrzę lodówkę i przyniosę tu tacę. - Cmoknął ją przelotnie i wyskoczył z łóżka. Spojrzał w lustro i przyglądał włosy. - Chryste, wyglądam okropnie.

Kathleen roześmiała się.

- To moja kwestia. Popatrzył na nią z czułością.

- Zapewniam cię, Kate, jesteś ucztą dla oczu.

- Można? - zapytał Mac przez uchylone drzwi. Kathleen siedziała na łóżku w zbyt obszernym, zrobionym na szydełku szlafroku.

- Proszę - odpowiedziała.

- Cholera. Miałem nadzieję, że powiesz „nie”. - Zamknął drzwi nogą. W rękach miał tacę napełnioną przysmakami z kuchni: pieczony kurczak, czekoladowe ciasto, sałatka ziemniaczana, niskokaloryczna cola oraz resztki krewetek i kraba z przyjęcia. - Mniem, czy nie wygląda to wspaniale?

- Postawił tacę na łóżku i usiadł obok Kathleen. Wziął udko.

- Maggie doskonale piecze kurczęta. Chcesz kawałek?

- Nie, dziękuję. - Westchnęła, czując mdłości. - Ashley wyjechała?

Skinął głową.

- Jesteś pewien?

- Absolutnie. Przyjrzał się jej twarzy. Włosy na skroniach miała lepkie od potu. Położył dłoń na czole.

- Jesteś chora. Czemu nic nie powiedziałaś?

- Nienawidzę chorować. Nie chcę sprawiać kłopotu. Odłożył udko na tacę, wytarł ręce i objął Kathleen, odgarniając włosy z jej twarzy.

- Chcesz wracać do domu?

- Mógłbyś mnie odwiedzić? Wiem, że to długa podróż, a ty chciałeś spędzić tu cały weekend.

- Cii. - Położył jej palec na ustach. - Dla ciebie wszystko.

Kathleen przespała całą drogę. Zbudziła się dopiero, gdy Mac zatrzymał samochód przed jej domem. Pomógł jej wysiąść. Oparta o samochód, czekała, aż wypakuje walizki z bagażnika.

- Chodźmy, kochanie. Położę cię do łóżka.

- Mogę to zrobić sama. Wiem, że chcesz wracać do domu.

- Nie zostawię cię. A poza tym, kto powiedział, że chcę do domu? Wolę być z tobą.

- Ale okropnie wyglądam.

- Wyglądasz pięknie. A teraz chodź. Im prędzej znajdziesz się w łóżku, tym lepiej.

Otworzył drzwi wejściowe i wprowadził Kathleen na klatkę schodową. Podszedł do windy i zauważył kartkę z napisem „NIECZYNNNA”.

- Cholera! - Postawił walizki na podłodze. - Na którym piętrze mieszkasz?

- Na piątym.

- Nie ćwiczylem od kilku tygodni, więc nie śmieję się, jeżeli będę musiał zatrzymać się dla złapania tchu.

- O czym ty mówisz? - spytała Kathleen, zwisając na jego ramieniu.

Nie odpowiedział, po prostu wziął ją na ręce.

- Jesteś leciutka jak piórko, dziecino.

- Postaw mnie.

- Nie. Najpierw wniosę cię na piąte piętro. Muszę udowodnić, że nie jestem stary.

- Nie jesteś stary. A teraz postaw mnie.

- Cii. Zniosę cię do łóżka.

- Uparciuch.

- Zamknij oczy i nie komentuj, gdy będę sapać na schodach. Kathleen oparła głowę na jego ramieniu, otoczyła rękami szyję. Liczyła stopnie do czterdziestu dziewięciu, bo tyle lat przeżył Mac, a potem straciła rachubę. Daleko mu do starości, pomyślała. Słuchała jego oddechu, równego i spokojnego, jakby wspinanie się po schodach z obciążeniem było dla niego czymś całkowicie zwyczajnym.

Dotarł do piątego piętra lekko zaspany. Niesienie jej sprawiało mu przyjemność, lubił się o nią troszczyć. Chciałby, aby tak było zawsze.

Gdy wkładał klucz do zamka, usłyszeli, że winda drgnęła i ruszyła. Jej drzwi otworzyły się i wyrzwał mechanik.

- Cześć, ludzie. Mam nadzieję, że nie sprawiłem wam kłopotu. Zreperowałem ją... zaraz, niech sprawdzę - spojrział na zegarek - pół godziny temu. Zapomniałem zdjąć kartkę i pojechałem do przyjaciela na górę. Właśnie sprawdzam, czy zatrzymuje się na każdym piętrze. Dobranoc - pożegnał się i odjechał.

Mac spojrział na Kathleen z szerokim uśmiechem.

- I tak bym cię wniósł - powiedział, zapalając światło w mieszkaniu. - Którędy do sypialni?

- Już mi lepiej, Mac. Proszę, puść mnie.

- Mówiłem ci, nie puszczę, dopóki nie położę cię do łóżka. Nie kłóć się. Którędy?

- Korytarzem prosto, drugie drzwi po prawej stronie. Zamknął drzwi i ruszył dalej. Weszli do sypialni Kathleen.

Zapalił światło.

- Teraz rozumiem, dlaczego nie chciałaś, żebym tu wchodził.

- Co? - Kathleen otworzyła oczy i zobaczyła bałagan, który zrobiła wyjeżdżając.

- Zapomniałam ci powiedzieć, że nienawidzę sprzątanego.

- Nie wspominałaś ani słowem. Nigdy bym się nie domyślił - drażnił się z nią.

- Postaw mnie na podłodze. Proszę.

- Dobrze, madame. Zdaje się, że nie mam wyboru. Nie widzę ani kawałka wolnego miejsca na twoim łóżku.

Pomimo osłabienia Kathleen udało się szturchnąć go łokciem w pierś, zanim ją puścił.

- Przestań się ze mnie wyśmiewać. Ty też nie jesteś bez skazy.

- Moje wady są zbyt liczne, by je teraz wymieniać. - Postawił Kathleen na podłodze, ale nie była w stanie utrzymać się na nogach. Przytrzymał Kathleen jedną ręką, a drugą chwycił brzeg narzuty i ściągnął ją z łóżka wraz z leżącymi na niej ubraniami.

- Przepraszam - powiedziała Kathleen.

- Nie ma za co. Jesteś chora. To wszystko. - Posadził ją na łóżku, zdjął tenisówki i skarpetki. Zabrał się do rozpinania dżinsów.

Kathleen chwyciła jego dłoń, ale była zbyt osłabiona, by go powstrzymać.

Usiadł obok i przytknął usta do jej rozpalonego czoła.

- I tak cię wkrótce obejrzę. Pozwól, że cię wygodnie ułożę. - Odsunął jej rękę, odpiął guzik i suwak. Ostrożnie ściągnął z niej dżinsy, przytrzymując jedwabne majteczki, by nie ześlizgnęły się wraz ze spodniami. Od dawna usiłował wyobrazić sobie, jak wygląda rozebrana, i tylko gorączka trawiąca ciało Kathleen hamowała jego pożądanie. Postara się, by szybko wyzdrowiała, a wtedy zdejmie z niej ubranie w zupełnie innym nastroju.

Kathleen zamknęła oczy, nie dbając już, że Mac manipuluje przy jej ubraniu. Jego palce były chłodne, ich dotyk sprawiał jej ulgę. Pragnęła, by dotknął jej czoła.

Niezręcznie rozpiął bluzkę i zdjął ją. Kathleen była cała rozpalona, ale zupełnie inaczej niż Mac, kiedy rozpiął haftki biustonosza. Miał wielką ochotę przyjrzeć się jej, ale prędko okrył ją prześcieradłem. Odgarnął opadające na czoło włosy.

Jego dotyk był taki chłodny, taki kojący. Kathleen chciała, by ręka Maca pozostała na jej czole. A potem dotknął ustami policzków dziewczyny, oczu i warg. One także chłodziły rozpaloną skórę. Poczula, że Mac odsuwa się i wstaje.

- Nie odchodź - wyszeptała.

Spojrzał na jej zaczerwienione, zmęczone oczy.

- Nigdzie nie idę, kochanie. Zamknij oczy i staraj się zasnąć. Położę ci mokry ręcznik na czole. Może w ten sposób zwalczymy tę gorączkę.

Kathleen zamknęła oczy i zasnęła.

Bzzz!

Kathleen przewróciła się na bok i wcisnęła guzik budzika.

- O, Boże. Nie chcę wstawać.

- Nie wstaniesz, nawet gdybyś bardzo tego chciała. Otworzyła oczy. Usiadła zbyt gwałtownie i poczuła zawroty głowy. Mac położył ją i okrył prześcieradłem pod samą brodę.

Stał obok jej łóżka, z ręcznikiem Julie na biodrach. Na ręczniku był wzór przedstawiający Piękną i Bestię. Pomimo mdłości Kathleen wpatrywała się w jego brzuch, który tak często głaskała w marzeniach. Płaski, muskularny - taki, jak sobie wymarzyła. Nie. Piękniejszy.

Chłodne palce Maca spoczęły na jej czole.

- Spałaś prawie dwadzieścia cztery godziny, ale gorączka nie spada. Chcesz coś zjeść? A może się napić?

Chora potrząsnęła głową. Kropla wody kapnęła ze świeżo umytych włosów Maca. Osiadła na piersi, popłynęła między żebrami, po brzuch i zginęła w zagłębieniu pępka.

Kathleen podniosła głowę i napotkała spojrzenie Maca. Odetchnął głęboko i wstrzymał oddech. Zacisnął szczęki. Jego oczy miały dziwny wyraz, którego nie rozumiała.

- Nikt jeszcze nie patrzył na mnie w taki sposób - wyszeptał.

Oczy Kathleen znów błędziły po ręczniku. Miała bardzo wyraziste spojrzenie. Po prostu go pragnęła. Dlaczego tak się rozchorowała? Chciała, by odrzucił ręcznik. Chciała mieć Maca obok siebie, w łóżku. Ale jak mogłaby czerpać przyjemność ze wszystkiego, co robiliby kochając się po raz pierwszy, skoro nie miała dość siły, by poruszyć choćby dłonią?

- Podoba mi się twoje ubranie - powiedziała ze słabym uśmiechem.

Spojrzał na ręcznik.

- Podoba ci się ten ręcznik, czy może ten facet?

- Najbardziej podoba mi się bestia pod ręcznikiem. Zamknął oczy i westchnął, przyglądając włosy.

- Chryste, Kathleen. Co ty wyprawiasz?
 - Prawdopodobnie to samo, co ty robisz ze mną. Leżę tu na łożu śmierci, a ty masz czelność paradować przede mną w wilgotnym ręczniku, który niczego nie pozostawia domysłom. Nic dziwnego, że mam gorączkę.
 - Dobrze ci tak. Jak myślisz, co czułem, rozbierając cię poprzedniej nocy?
 - Wcale nie chciałam, żebyś mnie rozbierał. A poza tym przekonywałeś mnie, że jesteś rycerski i troskliwy. Nie sądziłam, że zrobię na tobie takie wrażenie. Mac usiadł na brzegu łóżka i pochylił się nad chorą. Ucałował jej gorące czoło, czubek nosa, blade policzki.
 - Coś ci powiem - wyszeptał, patrząc w jej oczy. - Nikt nigdy nie był mi bliższy niż ty. Chciałbym móc powiedzieć, że zdejmując z ciebie ubranie, nic nie czułem. Ale to nie prawda. Czuję coś za każdym razem, gdy cię dotykam i gdy na ciebie patrzę.
- Bzzz!
- Przeklęty budzik - zaklął i odsunął się od Kathleen, żeby go wyłączyć. Położyła dłoń na jego ramieniu.
 - Muszę wstać.
 - Nie. Musisz zostać w łóżku.
 - Mam dziś rano konferencję prasową.
 - Ja ją poprowadzę.
- Kathleen spojrzała na niego z niedowierzaniem.
- Nie możesz prowadzić za mnie konferencji.
 - Mogę i poprowadzę. Jesteś zbyt chora, by wstać z łóżka. Kathleen usiadła, trzymając się jego ramienia.
 - Ty przecież nie lubisz „Sukcesu”. Nie powiesz o nim dobrego słowa.
 - To twoje czasopismo, ale moje wydawnictwo. Wyobrażasz sobie, że zniszczę coś, co ma mi przynieść pieniądze?
- Uśmiechnęła się, pogłaskała go po szyi i położyła głowę na jego piersi.
- Jesteś pewien tego, co mówisz?
 - Oczywiście. Nie będę szkodził temu pismu.
 - Nie, powiedziałeś co innego. Po pierwsze, że „Sukces” jest moim pismem. Po drugie, że przyniesie pieniądze.
 - Przejęzyczenie - zażartował.
 - Wierzysz w to pismo, prawda?
 - Czy w nie wierzę? - Ujął Kathleen za ramiona i ułożył na poduszce. - Wierzę w ciebie.

Rozdział szesnasty

Siedział w gabinecie, czytając przemówienie, które Kathleen przygotowała na konferencję prasową. Skreślił niektóre jej słowa i dodał własne. Przeczytał tekst kilka razy, a potem zgniótł i wyrzucił do kosza.

Przycisnął guzik na biurku i po chwili do gabinetu weszła Grace.

- Czy dziennikarze już są? - zapytał.

- Tak, proszę pana. Czekają w sali konferencyjnej. Spojrzał na zegarek.

- Mam jeszcze piętnaście minut, prawda?

- Piętnaście minut miałyby panna Flannigan. Na pana poczekają dłużej.

- Dziękuję, Grace. Poproś Lynn Miller, żeby zaczęła. Ja złożę oświadczenia końcowe.

- Dobrze, proszę pana. - Ruszyła ku drzwiom. Zatrzymała się i dodała: - Czy pan już wie, co im pan powie?

- Nie mam najmniejszego pojęcia.

- Jest u mnie teczka z informacjami o czasopiśmie. Założyła ją panna Flannigan. Może przyda się panu?

- Czy jest tam coś, czego jeszcze nie widziałem?

- Nie jestem pewna, proszę pana. Powiedziałam jej, że podoba mi się jej pomysł, a ona pokazała mi, co planuje na przyszłość.

- I co pani sądzi o jej planach?

- Są wspaniałe, proszę pana. To niesłychanie twórcza osoba.

- Hmm. Przynieś mi tę teczkę i powiedz Lynn, żeby zaczynała. Niech ich zajmie, dopóki nie przyjdę.

- Dobrze, proszę pana.

Mac wkroczył do sali konferencyjnej, gdy Lynn podawała ostatnie informacje. Od lat pozwalał, by prasą zajmowali się specjaliści z biura prasowego. Ale ta konferencja była inna. Chciał zrobić coś dla Kathleen.

- Panie, panowie - zwrócił się do dziennikarzy. - Wiem, że panna Miller wykonała doskonałą robotę, zasypując was informacjami na temat „Sukcesu”. Teraz chcę wam powiedzieć coś, czego jeszcze nie wiecie. „Sukces”, jak każde inne pismo, jest dziełem zbiorowego wysiłku wielu utalentowanych ludzi. Obecni tu znają mnie od lat. Rzadko wymieniam kogoś z imienia chociaż wierzę, że właśnie wkład jednostki we wspólne dzieło sprawia, że McKenna Publishing tak dobrze się rozwija. Ale kobieta, która kierowała powstaniem „Sukcesu”, włożyła w tę pracę całe swoje serce i duszę. Dzięki nowatorskim pomysłom Kathleen Flannigan „Sukces” będzie prosperował, gdy inne tego typu pisma poniosą porażkę lub z trudem przetrwają.

Panna Flannigan wykazała, że możliwe są rzeczy niemożliwe. Czy ktokolwiek słyszał, by wytworne sklepy z Piątej Alei reklamowały się w tym samym czasopiśmie co domy towarowe? Cóż, panna Flannigan dokonała tego. Sądzącie

pewnie, że wywiad z Barbrą Streisand uzyskać może wyłącznie Barbara Walters. I tu się mylicie. Kathleen Flannigan zwabiła Barbrę Streisand wraz z grupą występujących w teatrze studentek, które marzą o sukcesie. Przeczytajcie artykuł, a zobaczycie, jak Barbra Streisand opowiada o triumfach i porażkach.

Ujmując wszystko razem. Trafione czasopismo potrzebuje utalentowanych wydawców, pisarzy, artystów, specjalistów od reklamy oraz ludzi, którzy czuwają, by rachunki zostały opłacone, listy przepisane, a spotkania doszły do skutku. Ale jeszcze potrzebniejsze są zdecydowanie, wytrwałość i entuzjazm człowieka, który wierzy w ideę pisma i który potrafi zarazić resztę personelu taką samą wytrwałością, entuzjazmem i zdecydowaniem.

Takim człowiekiem jest panna Flannigan. Niestety zachorowała i nie mogła tu przybyć, gdyż inaczej zaraziłaby także was. Dostaniecie teraz egzemplarze „Sukcesu”. Przeczytajcie je. Obejrzyjcie. Będę niecierpliwie czekał na wasze recenzje.

Dziękuję wszystkim za przybycie.

- Przepraszam pana. Czy zechce pan odpowiedzieć na pytania prasy?

Mac spojrział na Morrisa Andersona z „The Tattler”. Pytania Morrisa mogły okazać się kłopotliwe, ale pozostali dziennikarze niecierpliwie czekali na tę część konferencji.

- Dobrze, Morris. Niech pan pyta.

- Czy panna Flannigan to kobieta ze zdjęcia zrobionego przy wyjściu z hotelu Plaża, ta sama, z którą widywano potem pana na kilku oficjalnych spotkaniach?

- Tak. - Mac nie czuł potrzeby dalszych wyjaśnień. Czekał na kolejne pytania.

- W pańskim przemówieniu przedstawił pan pannę Flannigan jako wydawcę. Co się panu bardziej podoba: pismo czy panna Flannigan?

Mac roześmiał się i pochylił w stronę dziennikarzy. Nie potrzebował mikrofonu. Głos miał silny i donośny.

- Pracowałeś u mnie, Morris, prawda?

- Tak.

- Więc znasz moje upodobania. Owszem, panna Flannigan podoba mi się. Jesteśmy osobiście związani. A jeśli chodzi o pismo, to na początku nie podobało mi się, ale panna Flannigan krok po kroku zwalczyła wszelkie moje opory, aż się poddałem, bo prawie wszystkie jej pomysły w ciągu dziesięciu lat były trafione. Przeczytałem pismo od deski do deski. I jest dobre. Jest cholernie dobre. Radzę panu, by pan również przeczytał je od deski do deski.

- Panie O'Brien - odezwał się głos w trzecim rzędzie.

- Słucham, Dorothy. - Mac rozpoznał dziennikarkę pisma „Womankind”.

- Czy nie sądzi pan, że rynek jest dostatecznie nasycony pismami dla kobiet? I jak pan zamierza się utrzymać, skoro tyle innych pism wypada z obiegu?

- To prawda. Rynek jest nasycony - przyznał Mac. - Ale czy zauważyła pani, gdzie wiele z nich leży w sklepach? Na najniższej półce, z tyłu za artykułami spożywczymi. Już wspomniałem, aby wydobyć pismo na pierwszy plan, trzeba wielkiej pomysłowości i wytrwałości. Panna Flannigan pracowała z ludźmi od

marketingu i zapewniła „Sukcesowi” miejsce tuż obok „People”, „Woman's Day” i „Family Circle” - na wyeksponowanych miejscach. Zamieściliśmy pełnostronicowe reklamy w najpoczytniejszych pismach i zrobiliśmy kampanię pocztową obejmującą cały kraj.

Przy okazji, Dorothy. Czytałem pani artykuły. Są dobre. Naprawdę dobre. Mógłbym wykorzystać pani talent w McKenna Publishing. Proszę zadzwonić, jeśli jest pani zainteresowana. Przyjmę panią osobiście. Czy są jeszcze jakieś pytania? - Mac rozejrzał się po sali. Nikt nie podniósł ręki. Tylko Dorothy uśmiechała się.

- Chce pani o coś zapytać, Dorothy?

- Spytałem, gdy mnie pan przyjmie osobiście. Mac roześmiał się.

- Jeszcze raz dziękuję za przybycie. Życzę miłego popołudnia.

- Jak poszło? - spytała Kathleen, gdy Mac pojawił się na progu. Przyniósł zakupy z delikatesów na rogu i bukiet świeżych kwiatów.

- Jak na chorą jesteś niezwykle ożywiona. - Położył kwiaty na nocnym stoliku. - Masz jakiś wazon, do którego mógłbym je wstawić? Pomyślałem sobie, że ożywią ten pokój.

- W kuchni, nad zlewem.

- Mhm. Kuchnia, jeszcze jeden niebezpieczny obszar.

- Mac! - krzyknęła i rzuciła w niego poduszką.

- Oszczędzaj siły.

- Dlaczego?

- Bo musisz zająć się czasopiśmem.

- Tylko tyle? - spytała uwodzicielskim, choć zmienionym przez gorączkę głosem.

- Chcę, żebyś wstała z łóżka. Wtedy będę cię mógł zabrać do łóżka. I pobawić się w coś innego niż pielęgnacja chorej.

- Uhm.

- Idę po ten wazon. Mam nadzieję, że włożyłaś na siebie szlafrok. Okropnie mnie męczy to ciągle naciąganie prześcieradła.

- Idź po wazon, Mac. Pokażę ci, co mam na sobie, jak wrócisz.

- Obiecanki cacanki.

Przeszukał półkę i znalazł wysoki szklany wazon za wiklinowym koszem i maszynką do pop-cornu. Nappełnił wazon wodą, wstawił kwiaty i rozejrzał się po katastrofalnie zabałaganionej kuchni. Prawdziwe piekło. Roześmiał się i nalał do zlewu gorącej wody i płynu do zmywania. Wstawił tam brudne naczynia. Póki jest chora nie mam nic lepszego do roboty. Mogę wypróbować swoje umiejętności.

Wrócił do sypialni pogwizdując.

- To dla ciebie, najdroższa - powiedział z ukłonem, pokazując kwiaty.

- Dziękuję ci, moja bestio. - Przycisnęła dłonie do obolałych skroni i padła na poduszkę.

- Ciągłe boli?

- Niestety.
- Może po prostu odrzucasz moje zaloty?
- Jak tylko poczuje się lepiej, otrzymasz, co ci się należy.
- Trzymam cię za słowo. Mam dokładnie zaplanowany weekend.
- Nie zapomnij, że w niedzielę odbieram Julie.
- Nie zapomniałem. Chcesz się dowiedzieć, co było na konferencji?
- Tak. Jak poszło?
- Powiedziałem im, że jesteś moją dziewczyną i ostrzegłem, że będzie lepiej, jeśli napiszą o twoim piśmie same dobre rzeczy.
- Nie wierzę ci.
- Dobrze. Powiedziałem im, że lepsza z ciebie redaktorka niż gospodyni domowa. Czy wiesz, że masz w kuchni stertę brudnych naczyń, z których część porosła już pleśnią?

Kathleen wzniosła oczy do nieba.

- Nie mam służącej tak jak niektórzy. Wiesz o tym. Jestem sama i nie spodziewałam się, że będziesz tu jadł i spał. Gdybym wiedziała, zrobiłabym porządki.

Usiadł na łóżku i pogładził ją po policzku.

- Żartuję, kochanie. Nie dbam o brudne naczynia ani o porozrzucane na podłodze ubrania. Jeżeli zechcesz, znajdę ci służącą.
- Ciii. - Położyła mu palec na ustach. - Nie chcę, żebyś najmował dla mnie służącą. Dam sobie sama radę. Po prostu nie mam nastroju do żartów. Boli mnie głowa i wszystkie mięśnie. I chcę się dowiedzieć, jak przebiegła dzisiejsza konferencja.

Ucałował jej rękę.

- Nie ma powodu do niepokoju. Poszło świetnie.
- A moje przemówienie? Pracowałam nad nim dniami i nocami. Mam nadzieję, że nie musiałeś wprowadzać zbyt wielu poprawek.
- W ogóle go nie wykorzystałem.
- Co? - Przerazona zamknęła oczy i cofnęła dłoń. - Nie musiałeś pisać nowego. Co zrobiłeś? Poszedłeś tam zupełnie nie przygotowany?

Mac pokręcił głową.

- Grace dała mi twoją teczkę.
- Nie, to były moje prywatne notatki!
- To wspaniała robota. Szczególnie spodobało mi się to, co napisałaś o aroganckim samcu. Mam nadzieję, że ta historia znajdzie szczęśliwe zakończenie.
- Ty arogancki...

Uciszył ją pocałunkiem. W pierwszej chwili opierała się, a potem uległa jego serdeczności i czułości. Tulił ją, póki się nie uspokoiła, a potem wypuścił z ramion.

- Jesteś chora. Przestań mnie kusić.
- Jak tylko wyzdrowieję, powetujemy sobie wszystkie wyrzeczenia.

- Mam nadzieję.

Rozdział siedemnasty

Mac nie pomylił się na konferencji prasowej. Mówiono, że „Sukces” w ciągu roku uplasuje się wśród dziesięciu najlepiej sprzedawanych czasopism. W czwartek, gdy Kathleen wróciła do pracy, jej terminarz wypełniony był datami spotkań. Ludzie prosili o rozmowę, mając nadzieję, że zamówi u nich artykuły do jednego z kolejnych wydań. Nie musiała się ubiegać o zamieszczenie ogłoszeń. Błagano ją o miejsce na reklamy. A Pierwsza Dama zaprosiła ją na lunch wraz z kilkoma innymi kobietami, które także odniosły sukces.

Kathleen czuła się jak w raju. Za pięć minut do jej drzwi zapuka McKenna O'Brien i pojedą do niebiańskiego domku w lesie, który wynajął na weekend. I to będzie szczyt szczęścia.

Była już spakowana. Mac chciał wyjechać już w piątek, ale Kathleen była zbyt zajęta. Umówili się na ósmą rano w sobotę i dobrze wiedziała, że będzie u niej punktualnie co do minuty.

Wrzuciła do torby szczoteczkę i pastę do zębów. Ręcznik z Piękną i Bestią wisiał starannie złożony, tak jak zostawił go Mac. Jeszcze nigdy w jej mieszkaniu nie panował taki porządek. Przez dwa dni, gdy ona chorowała, on sprzątał.

Zdumiona słuchała, jak pogwizdywał, krzątając się po mieszkaniu z miotełką do kurzu. Jej serce radowało się, bo w ciągu zaledwie kilku tygodni mężczyzna, którego pożądała, zmienił się w kogoś, kogo mogła kochać.

Z firmowego pudełka Saksa wyjęła cieniutki szlafroczek z białego atłasu i wrzuciła do walizki. Nadchodząca noc będzie niezwykła. Zaczarowana. Nie mogła się doczekać chwili, gdy narzuci na siebie atłasowy szlafroczek, a Mac spojrzy na nią oczarowany.

Usłyszała stukanie do drzwi. Położyła dłoń na piersi i poczuła przyspieszone bicie serca. Czy nadejdzie taka chwila, kiedy myśl o Macu przestanie przyprawiać ją o drżenie? Gdy jako siwi staruszkowie zasiądą obok siebie w fotelach na biegunach, jej serce uspokoi się wreszcie, ale z całą pewnością będzie tego mężczyzny pragnęła równie mocno jak teraz.

Zdjęła łańcuch, odsunęła zasuwę i otworzyła drzwi. Stał przed nią wysoki, męski, pachnący. Patrzyła na niego z nie ukrywanym zachwytem, a on spoglądał na nią z miłością.

Miała na sobie lekko przetarte na kolanach, sprane dżinsy, różową koszulkę i znoszone kowbojskie buty. Mac czuł, że na całym świecie nie znajdzie istoty równie kochanej. Nie była to zapierająca dech w piersiach piękność, którą zabrał ze sobą na bal, ale dziewczyna, której pragnął przez wiele lat. Oczarowała go i chciał, by została z nim na zawsze.

- A więc tak wygląda kobieta, którą zechciała poznać Pierwsza Dama Ameryki?
 - Nie do wiary, prawda? Mnie? Kathleen Flannigan. Córkę właściciela rancho w Corvallis w Montanie - powiedziała.
 - Tak, ciebie. Córkę ranchera z Corvallis w Montanie. Inteligentną, odnoszącą sukcesy twórczynię pisma, które niebawem stanie się równie popularne jak „People”.
 - Naprawdę tak myślisz?
 - ~ Tak. Naprawdę. A teraz bierzmy twój bagaż i uciekajmy od cywilizacji.
 - Cieszysz się, że sprawy tak się potoczyły, prawda? Tak, cieszył się. Ale jednocześnie martwił. Jak teraz poprosi, by z nim zamieszkała? Jak ją poprosi o rękę i o to, by zrezygnowała ze wszystkich splendorów, na które tak ciężko zapracowała?
 - Czy moja opinia ma dla ciebie znaczenie?
 - Jest najważniejsza.
 - Ważniejsza niż to, co napiszą w gazetach? Niż to, co] powie Pierwsza Dama?
 - Cóż - uśmiechnęła się - nie mogę się doczekać, co ona | powie.
 - Najważniejsze jest to, co ty sama czujesz. Jesteś dumna z tego, co osiągnęłaś. I o to chodzi.
 - Tak.
 - Więc moje zdanie nie ma znaczenia. - A potem dodał coś, czego nie chciał powiedzieć: - Chyba będziemy musieli porozmawiać o obiecany awansie. Wzięła wiatrówkę i podała Macowi walizkę.
 - Nie mówmy dziś o awansie. Nie mówmy o interesach. Z wdzięczności za to, że opiekowałaś się mną przez cały tydzień, będę dla ciebie zwykłą Kathleen, córką ranchera.
 - Dziękuję. Nie wiesz nawet, jak bardzo pragnąłem to usłyszeć.
- Po trzech godzinach jazdy zatrzymali się przed chatą, którą Mac wybrał na ich weekend we dwoje. Merry powiedziała, że to doskonale schronienie. Żadnych słupów telegraficznych, żadnych linii wysokiego napięcia. Domek, podobny do szałasów górskiego, był całkowicie odcięty od świata. Nie ruszając się z za kierownicy, Mac przyglądał się chatce. W przysłoniętych kolorowymi firankami oknach stały doniczki z czerwonymi i różowymi pelargoniami. Od wysypanego żwirem podjazdu do frontowych drzwi wiodła wyłożona kamieniami ścieżka. Wśród polnych kwiatów przed domem stał jeleń z cementu. Nie był to dom w męskim guście, lecz doskonale miejsce na zdobywanie serca romantycznej kobiety.
- Kathleen przyglądała się twarzy Maca. Co on teraz myśli? Może to samo co ona? Nareszcie sami. Nikt im nie przeszkodzi. Tylko ich dwoje. Nadszedł czas rozmów o uczuciach.
- Jak tu pięknie. - Położyła mu rękę na kolanie i poczuła, jak drgnął.
- Od owego ranka, gdy stanął przed nią okryty jej wilgotnym ręcznikiem, tęskniła za jego ciałem. Miała nadzieję, że już niedługo przyjdzie jej czekać.
- Chodźmy zobaczyć, czy w środku jest równie ładnie - zaproponowała.

- Chodźmy.

Wysiedli z samochodu i trzymając się za ręce, szli wolno ścieżką wyłożoną kamieniami. Mac włożył klucz do zamka, otworzył drzwi i ich oczom ukazał się widok jak z dziecięcej książeczki. Masywny kamienny kominek z polanami drewna. Miękkie, wielkie fotele. Kolorowe półki ozdobione rzeźbionymi listkami i serduszkami. W rogu koń na biegunach wystarczająco duży dla dorosłego człowieka. Na poddaszu, dokąd wiodła drabina, łóżko nakryte grubą, puszystą kołdrą i stertą poduszek.

- Lepiej niż w niebie - wyszeptała Kathleen z roziskrzonymi oczami. - Jak to znalazłeś?

- Poleciała mi to moja gospodyni, ona gustuje w takich miejscach.

- Och, Mac. Podziękuj jej po powrocie do domu, tu jest cudownie.

- Chciałbym tu zostać na zawsze - powiedział z nieśmiałym uśmiechem. A potem spojrzał na przechadzającą się po pokoju Kathleen. Dotykała porcelanowych świeczników, białego płóciennego obrusa. Podeszła do kominka i zdjęła z gzymsu małą srebrną ramkę.

- Śliczna. Ktoś umieścił w niej zdjęcie Świętego Mikołaja. Mac roześmiał się.

- Może to jego domek.

Posłała mu czarujący uśmiech, który poruszył jego serce.

- Obejrzyj sobie wnętrze, a ja przyniosę bagaże. - Wybiegł z domku i wciągnął w płuca pachnące sosnami powietrze. Cholera. Zachowywał się jak nastolatek tracący rozum na widok pięknej kobiety. Słyszał jej kroki na drewnianej podłodze. Czy nadejdzie taka chwila, że nie będzie już pragnął dotykać jej, tulić, spać obok niej?

Podszedł do samochodu. Otworzył bagażnik i wyjął dwie torby podróżne i wiklinowy kosz, który przygotowała dla nich Merry. Ciekaw był, co znajduje się w walizce Kathleen. Jedwab. Koronki. Przypomniał sobie jej majteczki, na które usilnie starał się nie spoglądać, gdy ją rozbierał. Bładoróżowe obszyte koronką.

Kobieta pełna sprzeczności. Twarda w pracy. Nieskomplikowana piękność w dzinsach i butach kowbojskich. Dama z hotelu Plaża. Za każdym razem inna, a jednak ta sama. Och, jakże pragnął zdjąć z niej ubranie i przytulić tę ponętą istotę, której prowokujący uśmiech i uwodzicielski głos tak bardzo go fascynowały. Kathleen wyjrzała z domu. Wydawało jej się, że Mac wyszedł bardzo dawno temu. Nie chciała tracić go z oczu. Podszedł do niej obładowany bagażem.

W koronach drzew zaszumiał nagły poryw wiatru. Słońce zakryły czarne chmury. Na nos Kathleen upadła kropla deszczu, a potem niespodziewanie lunęło.

Mac wbiegł do chaty, a Kathleen prędko zamknęła drzwi. Ledwie zdążyli.

- Wygląda na to, że będziemy musieli rozpalić ogień w kominku - powiedział Mac, odstawiając bagaże. Kosz umieścił na bufecie oddzielającym pokój od kuchni.

Kathleen poszła za nim. Położyła dłoń na jego ramieniu.

- Jakie pyszności spakowała twoja gospodyni?

- Sprawdźmy. - Podniósł pokrywę koszyka. - Kurczak, sałatka ziemniaczana, chipsy, ciasteczka czekoladowe. A w termosie?

Odkręcił korek.

- Pachnie sokiem jabłkowym.

- Nie ma wina ani piwa?

- Ona nie schlebia moim złym nawykom.

- Mądra kobieta. Chodź - powiedziała - usiądziemy przy kominku. Robi się chłodno.

- Jeśli chcesz, mogę cię szybko rozgrzać bez pomocy ognia.

- Nie miałbyś z tym trudności. - Kathleen łagodnie go odsunęła. - Ale obiecałeś mi długą, szczerą rozmowę, a obawiam się, że gdybyś zaczął mnie rozgrzewać, nie porozmawialibyśmy.

- Tylko proponowałem. A zresztą już prawie wszystko powiedziałem. Moglibyśmy przeczekać ulewę kochając się.

Spojrzała na niego błagalnie.

- Rozpal w kominku, proszę. Nie był w stanie jej odmówić.

Wstawiła do lodówki kurczaka i sałatkę ziemniaczaną. Poszperała w kredensie i znalazła duże naczynie na chipsy oraz półmisek na ciasteczka. Przeznaczyła ciasteczka na później. Wysypała chipsy do miski i zaniósła do pokoju. Usiadła na kanapie i patrzyła, jak Mac przesuwając drwa pogrzebaczem. Jego inteligentną, myślącą twarz oświetlały płomienie.

Było zaledwie południe, lecz słońce skryło się za grubą warstwą chmur. I tylko w pobliżu kominka było jasno. Odstawił pogrzebacz, wstał i zbliżył dłonie do ognia. Kathleen podziwiała grę mięśni jego pleców i ramion.

Odwrócił się i spojrzał w kierunku kuchni. A potem napotkał wzrok Kathleen i widząc wyraz jej twarzy, omal się nie zarumienił. Pragnienie. Żądza. Czekał. Wszystko naraz.

- Pomóż mi zdjąć buty - zażądała i wyciągnęła ku niemu nogę. Złapał za jeden i pociągnął. - Następny proszę.

Kokietowała go nogami. Jak miał jej nie dotykać, skoro tak go zachęcała?

Ściągnął drugi but i ustawił oba na podłodze. Usiadł na krześle naprzeciw niej.

- Nie usiądziesz koło mnie?

- Nie. Tutaj jest doskonale. - Sięgnął po chipsy. - Chcesz trochę?

- Później, teraz chcę porozmawiać. - Podwinęła nogi pod siebie. Powoli dotarło do niej ciepło kominka.

- Wyglądasz bardzo poważnie.

- Jestem poważna. Nie powiedziałam ci czegoś tamtej nocy na balu.

Zmarszczył brwi. Co chciała mu powiedzieć? Nie chciał słuchać o ojcu Julie. Przełknął ślinę.

- Słucham.

- Zacznę od tego, jak bardzo mnie uraziłeś, wyjeżdżając do Europy.

- Mówiliśmy już o tym, Kath.

- Wiem.

Przysunął się do kanapy i pochylił ku Kathleen.

- Chcę, żebyś to sobie dobrze zapamiętał i już nigdy mnie nie opuszczał. A teraz pragnę ci podziękować za to, że wyjechałeś.

- To bez sensu. Dlaczego miałabyś mi dziękować?

- Bo gdybyś nie wyjechał, nie byłoby ze mną Julie. Zastygł.

- Nie dziękuj mi za to, Kath. I wcale nie musisz opowiadać mi o tym, co zaszło. Kathleen roześmiała się.

- Ale i tak ci opowiem.

- Wcale mnie nie obchodzi, z kim sypiałaś.

- Zamknij się, po prostu słuchaj. Nigdy nie miałam romansu z twoim ojcem. Nie miałam żadnego romansu. McKenna Publishing nie zostawia czasu na nadobowiązkowe zajęcia.

- Nie zapomniałem o roli mężczyzny w akcie poczęcia. Prawda? - zażartował Mac, przypominając jej własne słowa.

- Nie. Ale zapomniałeś o adopcji. Uśmiech zastygł na twarzy Maca.

- To znaczy, że przez cały ten czas pozostawiłaś mnie w przekonaniu...

- W niczym cię nie pozostawiłam. Nigdy mnie nie pytałeś. Wszyscy dookoła wiedzieli. Włącznie z twoją ukochaną Ashley. Ale ty byłeś tak cholernie uparty, że postanowiłeś mnie nie pytać.

- W porządku, przestanę być uparty.

- Wątpię.

Mac znów się uśmiechnął.

- Opowiedz mi o Julie. Chcę wiedzieć wszystko. - Przesiadł się na kanapę, objął Kathleen, a ona położyła głowę na jego ramieniu.

- Matka Julie to moja przyjaciółka z liceum. Przyjechała do mnie. Była modelką. Właśnie zaczęła odnosić sukcesy, gdy okazało się, że jest w ciąży. Nie chciała wychodzić za męża. Nie chciała mieć dziecka. Roztrząsałyśmy wszystkie możliwości. Czas płynął, możliwości kurczyły się coraz bardziej, a ona stawała się z dnia na dzień grubsza. - Kathleen zamknęła oczy wspominając, jak zazdrościła przyjaciółce. - Tak mnie to wciągnęło, że nie wiedząc kiedy, zaczęłam kupować dziecięce ubranka i mebelki. Wtedy uświadomiłam sobie, że chcę mieć dziecko.

- Czy ona nadal jest w Nowym Jorku?

- Nie. Nie utrzymujemy kontaktów.

- Czy Julie wie?

- Tak.

Powoli podniósł jej dłoń do ust i długo trzymał.

- Chyba do końca życia będę cię prosił o przebaczenie.

- Obiecuj, że oduczysz się podejrliwości.

- Spróbuję. Nie zrobię ci krzywdy. Zanim cię kocham. Patrzyła na niego urzekająco niebieskimi, pełnymi łez oczami.

Zmarnował już tyle lat, że nie chciał tracić ani chwili. Z całych sił przytulił Kathleen, ale się opanował. Chciał od niej znacznie więcej niż tylko cielesnej miłości. Chciał posiadać ją bez reszty, mieć jej serce, duszę, całe życie.

Ujął w dłonie twarz Kathleeni zajął w jej błękitne oczy.

- Wyjdź za mnie, Kath. Wyjdź za mnie, a dam ci wszystko, co w ludzkiej mocy.

Zacisnęła palce na jego rękach i przycisnęła je do serca.

- A co z Julie?

- Zawsze pragnąłem mieć dzieci. Po prostu zacznę od nieco starszego. Będzie moją córką.

- Myślę, że pokocha cię równie mocno jak ja.

- Czy to oznacza, że mnie poślubisz? Skinęła głową.

Zamknął ją w ramionach. Żar płonącego na kominku ognia nie umywał się do ich palącego pocałunki Mac opadł na kolana, ułożył Kathleen na dywaniku i podłożył jej pod głowę poduszkę.

- Omal nie umarłem, gdy rozbierałem cię poprzednim razem. Teraz będzie znacznie przyjemniej.

- Więc się pospiesz. - Podniosła ręce i Mac ściągnął z niej podkoszulek. Kathleen rozpięła zatrzaski jego koszuli.

Ukląkł nad nią. Oczy pałały mu pożądaniem, krew wrzała. Wyciągnął koszulę ze spodni, zdjął i odrzucił na kanapę. Pochylił się nad ukochaną. Objęła go ramionami za szyję. Ich usta spotkały się. Pocałunki Maca były zawsze niebiańskie, ale ten wprawił ją w skrajny zachwyty. Mac nie zamknął oczu. To, co w nich zobaczyła, spodobało jej się. Nigdy w życiu nie była aż tak kochana. McKenna O'Brien dawał jej więcej niż miłość. Dawał siebie.

Kathleen poczuła gorące pocałunki na szyi i pod koronką bielizny. Mac rozpiął haftkę i zdjął z niej biustonosz. Uniósł głowę i spojrzał na kobietę w jego ramionach. Ideał. Skórę miała zaróżowioną od ciepła kominka i jego pieczyt. Pogłaskał ją po szyi, a potem przesunął palce ku wzniesieniu piersi. Dotknął ich. Skóra była ciepła, delikatna i gładka. Wstał i podniósł Kathleen.

Pocałowali się. Rozkoszowali się tą chwilą. Głaskali się nawzajem. Rozpięli dzinsy i zrzucili ostatnią dzielącą ich przeszkodę.

Odstąpili od siebie i przyglądali się swoim ciałom. Ich oczy przesuwwały się od stóp do głów, pełne zachwyty nad wspaniałą nagością partnera.

Kathleen położyła dłoń na piersi Maca i poczuła, że jego serce bije równie szybko jak jej.

Mac trzymał dłonie na piersiach ukochanej. Jak dobrze było je dotykać! Pieścił palcami sutki.

Uśmiechali się na myśl o ich radosnej miłości. A potem Mac ułożył Kathleen na dywaniku, i gdy jej głowa spoczęła na poduszce, położył się obok i zaczął całować piersi. Pieścił językiem sterczące sutki. Zapomniał już, jak bardzo przyjemna może być ta część gry wstępnej. Zaczął posuwać się niżej, aż poczuł, że Kathleen napina mięśnie. Uniósł się i spojrzał w jej pełne wahania oczy.

- Chcę cię całą, Kath. Proszę. Nie zabraniaj mi tego.

Nie była w stanie się rozluźnić, ale pozwoliła mu badać swoje najintymniejsze zakątki ciała. Nikt jej jeszcze tak nie dotykał. Jego język pieścił, a usta ssały, wprawiając ją w uniesienie. Nie chciała, żeby przestał. Pragnęła, by dotykał jej tak już zawsze. A potem Mac uniósł się i patrząc w jej pełne miłości oczy, wszedł w nią, wypełniając ją gorącym pożądaniem.

Ciasno. Ciepło. Czuł się w niej jak w niebie. Głęboko, jeszcze głębiej. Ciągłe mu było mało. Chciał stopić się z nią w jedno i zatrzymać przy sobie na zawsze. To było coś więcej niż namiętność i żądza. Pragnął ją całować, patrzeć w te piękne błękitne oczy, gdy wspólnie wzlatywali w niebiosa. Chciał mieć pewność, że ona kocha go także, równie głęboko jak on ją. Jednocześnie, idealnie zsynchronizowani, i osiągnęli szczyt miłości i radosnymi okrzykami powitali spełnienie.

Mac odgarnął z twarzy Kathleen wilgotne włosy i ucałował skronie. Przytulili się mocniej i zasnęli w ciepłe płonącego na kominku ognia.

RS

Rozdział osiemnasty

- Umieram z głodu - stwierdziła Kathleen.
 - Jesteś wiecznie nie nasycona - drażnił się z nią Mac, wciągając skarpetki.
 - Wykończyłeś mnie, McKenna O'Brien. I nie okazałeś się dżentelmenem, przez sześć godzin nie dałeś mi nic do jedzenia.
 - Za to ty nasyciłaś mnie, kochanie. I żadna potrawa nie może się z tobą równać. Złapała za poduszkę i rzuciła w niego, a potem zakryła twarz rękami spodziewając się, że ją odrzuci. Mac jednak stanął przed nią ze swym najbardziej złośliwym i lubieżnym uśmiechem na twarzy. Był nagi.
 - Dobrze, nakarmię cię. Zostań tutaj.
- Poszedł do kuchni, a Kathleen śledziła każdy jego ruch. Och, jakże go kochała! Nigdy w życiu nie zdarzyło jej się tak cudownie zatracić w miłości. Sześć godzin głaskania, badania, smakowania, odnajdywania najwrażliwszych miejsc, poszukiwania nowych sposobów dawania sobie rozkoszy, aż doszli do kresu wytrzymałości. Teraz trzeba było porozmawiać o przeszłości, nadziejach i marzeniach.
- Grosik za twoje myśli. - Podał jej talerz z jedzeniem i zajrzał w oczy.
 - Wyjawienie moich tajemnic jest znacznie bardziej kosztowne.
 - Kawalek kurczęcia?
 - Mniem, wygrałeś. - Sięgnęła po talerz, ale Mac zabrał go. - Och, daj spokój. Jestem głodna. Nie drażnij się ze mną.
 - Nakarmię cię. Ale znajdziemy lepsze miejsce niż podłoga.
 - Przy stole?
 - Nie. Przy stole siądziemy później, jak będziemy zmęczeni łóżkiem.
 - Przestań!
 - Dobrze, co powiesz o koniu na biegunach?
 - Zwariowałeś?
 - Rozglądałem się za czymś odpowiednim. Jest wystarczająco duży dla dwóch osób.
 - Straciłeś rozum. Nie wsiądę na tego konia.
 - Proszę - powiedział, tłumiąc śmiech i przybierając dziecinny wyraz twarzy.
 - Już dobrze.
- Zaczęła dosiadać konia. Mac powstrzymał ją.
- Odwrotnie.
 - Dlaczego odwrotnie?
 - Wtedy będziemy mogli jeść z jednego talerza.
 - To głupie, ale jestem gotowa na wszystko, byle tylko dostać coś do jedzenia...
 - Grzeczna dziewczynka. - Wsiadł na konia, ułożył sobie jej nogi na udach tak, że mogła oprzeć się plecami o końską szyję.
 - Wygodnie ci?
- Skinęła głową i roześmiała się.

- Nawet podczas jedzenia muszę obejmować cię nogami.

- Ciii. - Wziął udko kurczaka i przyłożył do ust Kathleen.

Obgryzali kość na przemian. Mac cieszył się, że jest tak blisko niej.

- Opowiedz mi o Julie.

- Jest kochana. Ma długie czarne, zupełnie proste włosy i wielkie brązowe oczy. Jej buzia jest pyzata z dołeczkami w policzkach. Lubi bohaterów „Ulicy Sezamkowej” oraz Piękną i Bestię. Nie mogę się doczekać, kiedy ją zobaczę.

- Tęsknisz za nią?

Skinęła głową. Wzięła widelec, nabrała sałatki i podała mu do ust.

- Moi rodzice przepadają za nią i często mówią o tym, że dobrze byłoby, gdybyśmy wróciły do nich do Montany. To o wiele odpowiedniejsze miejsce dla dziecka niż Nowy Jork.

- Dlaczego?

- Czyste powietrze. Dużo przestrzeni.

- Teraz będzie miała McKenna House. I jeżeli zechcesz, kupimy także dom w Montanie.

Pochyliła się i pocałowała go. Koń lekko się zakołysał.

- Chciałabym.

- Wiesz, na co mam ochotę?

- Na co?

- Zatańczyć z tobą. Roześmiała się.

- Masz już dość konnej jazdy?

- Nie. Po prostu poczułem nagłą ochotę, by wziąć cię w ramiona i zatańczyć walca.

- Widziałeś ten stary gramofon?

- Stąd ten pomysł. Spróbuję go uruchomić, a ty przebierz się w coś odpowiedniejszego.

- Bałam się, że nigdy o to nie poprosisz.

Zsiadł z konia i podał jej rękę. Kathleen wzięła walizkę i zamknęła się w łazience. Wyrzała przez uchylone drzwi i zapewniła ukochanego mężczyznę:

- Zaraz będę gotowa.

- Wracaj prędko. Nie mogę bez ciebie wytrzymać. Zamknęła drzwi, a Mac zajął się gramofonem. Nigdy takiego nie miał, ale widywał je w wielu starych filmach. Pokręcił korbą i postawił igłę na płycie. Zagraj proszę, błagał gramofon. Jeszcze raz zakręcił korbą. Drzwi łazienki otworzyły się.

Usłyszał tylko trzaski i odwrócił się ku swojej przyszłej żonie. Biały atlasowy szlafrok był jeszcze piękniejszy niż suknia, którą miała na sobie w hotelu Plaża. Bardziej podniecający niż ta, którą włożyła na bal. Żadna kobieta na świecie nie mogła się równać z Kathleen.

Trzaski ustały i rozległ się pełen słodczy głos. Bing Crosby śpiewał „Białe Boże Narodzenie”. Mac podszedł do Kathleen. Wziął ją w ramiona i pocałował w usta. Zatańczyli. Zdał sobie sprawę, że nie czuje już najmniejszej niechęci do Bożego Narodzenia. Chciał zachować tę chwilę w pamięci do końca życia.

Pomyślał nawet, że przyjemnie byłoby świętować Boże Narodzenie co dzień, jeżeli wszystkie dni miałyby się okazać równie przyjemne.

Na zewnątrz panowała cisza. Tańcząc zbliżyli się do okna; Mac wyjrzał. Pod czarnym niebem lśnił okrywający ziemię śnieg.

- Spójrz - powiedział. Dziwne. Śnieg w lipcu.

Mac roześmiał się.

- Mój anioł stróż czuwa.

- Lubię twoich aniołów. Czy potrafią czynić inne cuda?

- To one sprawiły, że jesteśmy razem.

- Nie. To było nam pisane.

Mac obudził się i objął Kathleen. Otworzyła oczy Odgarnął kosmyk włosów opadający jej na usta.

- Dzień dobry, śpiochu. Już ranek. Przeciągnęła się i ziewnęła.

- Nie sądziłem, że kiedykolwiek trafi mi się tak miłe, ciepłe i wygodne łóżko.

- Może wydaje ci się takie dzięki mojej obecności?

- Możliwe. Ale tylko troszeczkę.

Trzymając Kathleen w ramionach, ułożył się na plecach.

- Lubię, kiedy leżysz na wierzchu.

- Pasujemy do siebie, prawda?

- Pod każdym względem. Wypróbowaliśmy wszelkie sposoby. - Pocałował ją. - Jesteś bardzo apetyczna.

- To dobrze. Mam nadzieję, że tak zostanie do końca naszych dni. - Usiadła na nim okrakiem i spojrzała na jego nie ogoloną twarz.

- Nie chcę stąd wyjeżdżać, ale musimy wracać do miasta.

- I przerwać to, co właśnie zaczęliśmy? - Spojrzała pytająco. Czowała, jak Mac twardnieje.

- Daję ci pięć minut. - Przycisnął ją do siebie. Całując przeturlał się i znalazł nad nią.

- Mam zamiar w pełni je wykorzystać.

- A więc, co sądzisz o zamieszkaniu w posiadłości McKenna? Zawsze myślałem, że wspaniale byłoby znów tam zamieszkać.

Jechali w ciepłym, porannym słońcu. Połowę drogi mieli już za sobą. Kiedy opuszczali chatę, nie było śladu po ulewie i śnieżycy. Może były tylko wytworem ich wyobraźni? W każdym razie dodały uroku ich wspólnej nocy.

Kathleen wyobrażała sobie życie w rezydencji McKenna. Cudowne. Zwłaszcza dla Julie. Świeże powietrze, mnóstwo miejsca do zabawy. Babcia w zasięgu ręki. Ale tak daleko od miasta, od pracy.

- Pamiętasz, że mamy się pobrać?

- Oczywiście.

- Ale nie będziesz pracować, jak już będziemy małżeństwem, prawda?

Nie spodziewała się takich słów.

- Czy to dla ciebie problem?

- Po prostu pomyślałem sobie... - Zjechał na bok i zatrzymał samochód. - Nie rozmawiajmy dziś o tym. Nie psujmy sobie dnia.

Ale wspaniały nastrój Kathleen minął bez śladu. Mac nie chciał, żeby pracowała. Nigdy nie chciał i prawdopodobnie nie zechce. W głębi serca wiedziała, że ją o to poprosi. Jak mogła pozwolić, by miłość zaślepiła ją do tego stopnia, że zapomni o najważniejszej sprawie? Kochała Maca. Ale kochała również swoją pracę.

- Kath? - Uniósł jej podbródek. Poglądził po ustach. Spojrzał w oczy i spostrzegł ból, który jej zadał. Ale najbardziej w życiu pragnął mieć żonę i dzieci. Kogoś, do kogo będzie wracał wieczorem. Wyrzekł się tego dla Ashley i nie chciał powtarzać tego samego błędu.

- Mówiłem ci, jestem samolubny. Nie chcę, żebyś pracowała. Chcę, żebyś była w domu. Rozumiesz mnie?

- Nie. - Potrząsnęła głową. - Nie rozumiem, tak samo jak ty nie możesz zrozumieć mnie. - Spojrzała na jasne, słoneczne niebo, ale w jej sercu panował mrok.

- Chcę zrozumieć. Myślałem, że zechcesz przebywać w domu z Julie.

- Już ci mówiłam. Kocham swoją pracę.

- A co z Julie? Co ze mną? Kochasz nas?

- Jak możesz o to pytać?

- Pytam, bo chcę wiedzieć.

- Kocham Julie. I to bardzo. Dawaliśmy sobie radę przez całe pięć lat. Ona nie ma mi za złe, że pracuję. Myślę, że dzięki temu jestem lepszą matką. Ciebie także kocham. Ale... - Po policzkach popłynęły łzy. Nie starała się ich powstrzymać. - Przekonałam się już, że mogę bez ciebie żyć. Nie chcę tego, ale teraz też sobie poradzę.

- Teraz łączy nas znacznie więcej. Wcale nie chcesz żyć beze mnie. A ja nie chcę żyć bez ciebie. - Spojrzał na spływające z jej oczu łzy. - Kocham cię.

- Wiem. Ale lepiej będzie jeszcze raz przemyśleć nasze plany małżeńskie. Zawieź mnie do domu, proszę.

Wracali w milczeniu. Mac zatrzymał samochód przed domem Kathleen, sięgnął po leżącą na tylnym siedzeniu walizkę i otworzył drzwi.

- Zostań, Mac. Nie idź ze mną. Rozstańmy się tutaj.

- Do diabła, Kath. Ja wcale nie chcę się rozstawać.

- Ale ja chcę. Proszę, pozwól mi zdecydować przynajmniej tym razem.

Słyszał, co powiedziała, ale nie chciał się z tym pogodzić. Nie chciał jej stracić.

- Pojedziemy razem po Julie. Potrząsnęła głową.

- Wysłuchaj mnie. Przeżyliśmy niezwykłą noc i nigdy jej nie zapomnę. Pożegnajmy się i rozstańmy, zanim poczujemy do siebie nienawiść.

- Nigdy się nie znienawidzimy. I nie możemy się rozstać. Obiecałaś, że za mnie wyjdiesz.

- Nie obiecywałam ci, że rzucę pracę. A ty powiedziałeś mi kiedyś, że nie zgodzisz się na żadne kompromisy.

- Otarła łzy z twarzy. - Nie wyjdę za ciebie. Wracam do mojego dawnego trybu życia. Tylko ja i Julie.

- To znaczy, że w twoim sercu nie ma dla mnie miejsca?

Chwyciła walizkę i otworzyła drzwi samochodu. Pozostaniesz w moim sercu na zawsze. Na zawsze. Wysiadła. Zatrzasnęła za sobą drzwi. Wbiegła po schodach i zniknęła. Mac siedział sam, zagubiony. Po policzkach spływały mu łzy.

RS

Rozdział dziewiętnasty

Mac wszedł do mieszkania. Było w nim ciemno i zimno. Zapalił światło. Ani śladu Merry. Nie było jej fotela na biegunach ani serwetek, ani dywanu, ani zdjęć przedstawiających dzieci.

Na gzymsie kominka, obok fotografii ojca, znalazł czerwoną kopertę. Otworzył ją drżącymi rękami i wyjął list.

Najdroższy McKenna - przeczytał. - Odchodzą ze smutkiem, moje dziecko, gdyż pokochałam Cię jak własnego syna. A jednak serce przepelnia mi radość, bo wiem, że znalazłeś wymarzoną kobietę. Prawdziwa miłość jest rzadka i cenna. Trzeba o nią dbać. A przede wszystkim ofiarowywać siebie, nie oczekując niczego w zamian. Będzie mi Ciebie brakowało, drogi chłopcze, ale na zawsze pozostaniesz bliski memu sercu.

Merry

Mac przemierzał pokój, czytając list. „Nie oczekuj niczego w zamian”. Te słowa sprawiły mu ból.

Wszedł do kuchni. Nalał sobie szklanekę mleka i wraz z talerzem ciastek zaniósł do salonu. Zasiadł w wielkim, krytym skórą fotelu. Jaki błąd popełnił? Chciał poślubić Kathleen i ofiarować jej wszystko: piękny dom na wsi, gdzie będzie mogła wychowywać Julie, dobrobyt bez konieczności pracy. Co jeszcze mógł jej dać?

Ale Merry nie pisała o tym, co należy dawać. „Nie oczekuj niczego w zamian”. A on oczekiwał. Chciał, żeby zrezygnowała z pracy.

Zastanawiał się, jak on by się poczuł, gdyby ktoś zażądał, by zrezygnował z pracy? Nie roztrząsał tego zbyt długo. On przecież nie lubił swojego zajęcia. Nie dawało mu radości ani satysfakcji. Przeciwnie niż Kathleen.

Pierwsza Dama Ameryki chciała zjeść z nią lunch. Nie mógł zapomnieć pełnych podniecenia oczu Kathleen. Czują, że dokonała czegoś wielkiego i zostanie uhonorowana przez osobę, którą darzy szacunkiem. Wiele to dla niej znaczyło.

Nie narzekała, że ma zbyt mało czasu dla Julie. Nie chciała porzucić pracy. To, że spędzała w biurze sześćdziesiąt lub siedemdziesiąt godzin tygodniowo, nie przeszkadzało jej być dobrą matką. Przypomniawszy sobie przyczepione do lodówki obrazki. Zrobione kredką rysunki przedstawiały małą dziewczynkę i jej matkę w parku na huśtawkach. Na wszystkich było napisane: „Kocham cię, Mamusiu”. Kocham cię - magiczne słowa.

Do diabła! Nie podda się teraz, gdy osiągnął tak wiele. Chciał być z Kathleen i Julie. Ale co mógł poradzić, gdy każde z nich miało zamiar postawić na swoim? Kathleen uważnie przyglądała się pasażerom wychodzącym po odprawie lotniczej. Oczy miała zaczerwienione i zapuchnięte. Całym godzinami opłakiwała utraconą miłość.

Na widok małej ciemnowłosej dziewczynki prowadzonej przez stewardesę krzyknęła z radości. Chwyciła Julie w ramiona, huśtała ją i całowała po włosach, policzkach, czole, a potem przytuliła mocno i rozplakała się ze szczęścia.

- Tęskniłam za tobą, mamusiu.

- Ja też, skarbie. Ojej, wydaje mi się, że znowu urosłaś.

- Witam.

Kathleen odwróciła się na dźwięk głosu Maca.

- Witam.

- Mamusiu? - Julie przyciągnęła małymi rączkami głowę matki i wyszeptala jej do ucha: - Kto to jest?

- Mój przełożony.

- Bardzo bliski przyjaciel - poprawił ją Mac. - Nazywam się McKenna O'Brien - powiedział, ujmując dłoń Julie i rycersko całując czubki jej palców. - Możesz mi mówić Mac.

- Mamusia mówi, że to nieuprzejme. Będę do pana mówić pan O'Brien. - Spojrzała na matkę. - Jedziemy do domu?

- Oczywiście, kochanie.

- Na zewnątrz czeka mój samochód. Pomyślałem sobie, że będzie wam wygodniej niż w taksówce.

- Dziękuję, ale poradzimy sobie same.

- Ja chcę jechać samochodem. - Julie zaczęła wyrywać się z ramion matki.

- Chodźmy po bagaże - powiedział Mac, biorąc dziewczynkę za rękę. Spojrzał przelotnie w smutne oczy Kathleen. Julie ciągnęła go i Mac pospieszył za nią.

Odebrali bagaże i wyszli na zatłoczoną ulicę. Przy drzwiach czekał na nich szofer. Mac oddał mu walizkę i Julie natychmiast chwyciła go za rękę. Ruszyli w kierunku białej limuzyny.

Wsiedli i oczy dziecka zaślniły.

- Tu jest telewizor, mamusiu. Czy mogę obejrzeć jakiś program?

Kathleen pytając spojrzała na Maca.

- Oczywiście. Spójrzmy, czy znajdziemy coś wartego oglądania. - Wziął do ręki pilota. - Umiesz się tym posługiwać?

Julie pokręciła głową.

- W domu mamy inny.

- Pokażę ci. - Wziął ją za rękę i przyciskał guziki jej małym paluszkiem. - Ten nastawia głośność, ten nastraja głos, tym wybierasz programy. Przyciskaj go, aż znajdziesz coś, co chciałabyś oglądać.

- Dziękuję panu, panie O'Brien. Kathleen nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Umiesz postępować z dziećmi.

- Lepiej sobie radzę z dziećmi niż z dorosłymi.

- To nieprawda.

Otarł palcem łzę z jej policzka.

- Czy mogę was zabrać na lunch?

Już miała odmówić, ale spojrzała na Julie. Dziewczynka potrzebowała ojca, a Mac rozpaczliwie pragnął dziecka. „Sukces” w ciągu tygodnia znajdzie się w sprzedaży, a ona przeżyje swoją chwilę chwały. Zje lunch z Pierwszą Damą Ameryki. Może to jej musi wystarczyć? Może powinna przekazać pismo komuś innemu, niech kontynuuje jej dzieło. Trudno było o tym myśleć, ale nie wyobrażała sobie życia bez Maca.

- Pójdziemy z przyjemnością - odparła, unikając jego wzroku. Bezpieczniej było patrzeć na Julie. Objęła dziewczynkę i przytuliła mocno.

- Zabieram ciebie i mamę na lunch - zwrócił się Mac do dziewczynki. - Czy masz jakieś ulubione miejsce?

- Czy możemy pójść... wiesz gdzie? - spytała Julie zwracając się do matki.

- Nie wiem, kochanie, czy panu O'Brienowi spodobałoby się.

- Na pewno. Powiedźcie mi gdzie.

- Do zoo. Mamusia zawsze mnie tam zabiera. Kupujemy sobie hot-dogi i wateę na patyku.

- Karmicie zwierzęta?

- Nie, one nie lubią hot-dogów. Pójdzie pan do zoo?

- Strasznie dawno tam nie byłem. Pokażesz mi wszystko?

- Jasne. Najbardziej lubię tygrysy. Ale pokażę panu także słonie, zebry i żyrafy.

- Dzisiaj tylko krótki spacer, kochanie - wtrąciła Kathleen. - Pan O'Brien miał ciężką noc i pewnie zechce prędko wrócić do domu - dodała, patrząc na Maca.

Uśmiechnął się.

- Mama ma rację, Julie. Zjemy hot-dogi i wateę na patyku, a potem prędko obejrzymy tygrysy i wrócimy do domu.

- Dobrze, proszę pana.

Zajęła się oglądaniem telewizji, a Mac powiedział szoferowi, żeby zawiózł ich do zoo.

Wziął Kathleen za rękę i uściskał mocno. Nie odwzajemniła uścisku. Boże, pomyślał, nie pozwól, bym ją teraz utracił.

Julie zaprowadziła Maca do budki, gdzie sprzedawano hot-dogi. Kathleen przyglądała się, jak Mac podaje dziewczynce bułkę z parówką, a potem serwetką wyciera jej buzię z musztardy. Był stworzony na ojca. Uszczęśliwiony oglądał wszystko, co pokazywała mu Julie, nie tylko tygrysy.

Po czterech godzinach Mac wziął ją na ręce. Dziewczynka oparła mu głowę na ramieniu i zasnęła.

- Wracajmy do domu - powiedział, spoglądając na Kathleen.

Poczuła ściskanie w gardle.

Zajechali pod dom Kathleen i Mac zaniósł Julie do jej sypialni. Kierowca i Kathleen wnieśli bagaże. Mac troskliwie ułożył dziecko na łóżku. Zdjął jej buty i skarpetki, a potem okrył lekkim kocikiem. Schylił się i pocałował ją w czoło.

Kathleen stała w drzwiach i przyglądała się tej scenie. Duży mężczyzna, a taki czuły. Julie potrzebowała właśnie kogoś takiego.

Mac przeszedł do salonu i objął Kathleen.

- Nie bój się. Nie mam zamiaru zostać. Wiem, że chcesz być sama. - Pocałował ją w czoło tak samo jak Julie.

- Czy możemy jutro zjeść razem kolację? Ty, ja i Julie? Potrząsnęła głową.

- Nie, jutro pracuję do późna. Może we wtorek? Uśmiechnął się. To było zawieszenie broni. Chciała się z nim spotkać.

- Czy we wtorek jesz lunch z Pierwszą Damą? Skinęła głową.

- Tak. Więc nie spodziewaj się, że będę normalna, spokojna i opanowana.

- Wolę, jak nie jesteś opanowana. Jak wczoraj w nocy. Pamiętasz?

- Pamiętam. - Odprowadziła go do drzwi, otworzyła je i wyszła z nim na korytarz.

- Kto zajmie się dzieckiem?,- Opiekunka. Mieszka na tym samym piętrze.

- Och, myślałem, że mógłbym ją zabrać do siebie. Roześmiała się.

- Co byś robił z pięcioletnią dziewczynką?

- Nie wiem. Pewnie poszedłbym na huśtawki.

- A co z pracą?

- Jestem szefem. Nie muszę tam przesiadywać. Do pracy wynajmuję sobie ludzi takich jak ty.

- Zapomniałam. - Oparła głowę o framugę i spojrzała mu prosto w oczy.

- To jak? - zapytał.

- Och, sama nie wiem. Ona lubi chodzić do Tjpiekunki.

- Może polubiłaby mnie. Zawsze byłem przekonany, że jestem doskonałym towarzyszem zabaw. - Uniósł brwi. - Pomyśl o tym. Zadzwoń jutro rano. Ucałował palec i przytknął do jej nosa.

- Kocham cię - powiedział i odwrócił się, by odejść.

- Mac?

Spojrzał w jej stronę.

- Ja też cię kocham.

Oddechnął głęboko. Dzięki ci Boże, pomyślał.

Mac zadzwonił, Kathleen wahała się tylko przez chwilę. Jego głos brzmiał tak błagalnie. Nie mogłaby mu odmówić. Kiedy powiedziała o tym Julie, dziewczynka rozpromieniła się.

- Cały dzień z panem O'Brienem?

- Uhm. Cieszysz się?

- Kupi mi lody?

- Oczywiście. Jeśli tylko zechcesz.

- Lubię go, mamusiu. Czy on zostanie moim tatusiem? To pytanie zaskoczyło Kathleen. O, dziecięca niewinność!

Oczy dziecka widzą znacznie więcej, niż tobie wyobrażają dorośli.

- Nie wiem, kochanie.

Mac zabrał Julie swoją limuzyną, a Kathleen uparła się, że pojedzie do pracy autobusem. Nie nalegał. Dał jej tylko numery telefonów do swojej matki, adwokata i lekarza. „Na wszelki wypadek”, jak się wyraził.

- A więc, młoda damo - powiedział Mac, gdy siedzieli już w samochodzie - co powiesz na „Ulicę Sezamkowa”?

- Może być. Czy lubisz Wielkiego Ptaka?

- Oczywiście, że tak. I Ciasteczkowego Potwora także. - Widział zdjęcia wszystkich bohaterów programu, ale nie miał pojęcia, o co w nim chodzi. Po godzinie był już jego wielbicielem. Jeździli po mieście, aż nadeszła pora na drugie śniadanie.

Zjedli coś, a potem poszukali sklepu z zabawkami. Pograli w gry telewizyjne. Zręczność Juliet zadziwiła Maca. Kupił grę, aby poćwiczyć w domu, chociaż nie miał telewizora. A potem zobaczyli podobizny bohaterów „Ulicy Sezamkowej” i też musiał je kupić.

Na lunch zjedli pizzę z wszelkimi dodatkami z wyjątkiem anchois, których Julie nie chciała, twierdząc, że są zbyt słone i niezdrowe.

W sklepie ze sprzętem elektronicznym Mac kupił telewizor z dużym ekranem, odtwarzacz, kamerę video, kilka filmów Disneya, „Muppet Show”, „Małą Syrenkę” oraz, oczywiście, „Piękną i Bestię”.

Poszli na lody do zoo i Mac sfilmował Julie, gdy dawała orzeszki słoniom.

Czuł się wspaniale, chciał, żeby ten dzień nigdy się nie skończył, ale oddał Julie jej matce dokładnie o siódmej wieczorem, tak jak obiecał.

- Wcale nie wyglądasz na wykończonego - stwierdziła Kathleen.

A potem córeczka złożyła jej sprawozdanie.

- Mac kupił mi Wielkiego Ptaka i Ciasteczkowego Potwora, robił mi zdjęcia w zoo. I chce, żebym spędziła z nim jutrzejszy dzień. Mogę? Mamo?

Cóż mogła odpowiedzieć? Nie chciała łamać jej serca.

- A czy pan O'Brien na pewno chce tego?

- Och, na pewno chce. - Juliet objęła go za nogi i spojrzała z niewinną miną. - Prawda?

- Prawda. - Mac w roztertaniu pogłaskał jej lśniące włosy i patrzył na Kathleen. - Świetnie się bawiłem. Nie miałem pojęcia, że poza pracą jest tyle ciekawych zajęć.

- Mamusiu? - Julie spojrzała pytająco na matkę.

- Co, kochanie?

- Zjemy jutro kolację z panem O'Brienem?

- Tak planowaliśmy. A dlaczego pytasz?

- Bo on ma zamiar zabrać nas do jakiegoś naprawdę eleganckiego lokalu.

- Jak bardzo eleganckiego? - spytała Kathleen spoglądając na Maca.

- Naprawdę eleganckiego.

- Ale...

- Wiem, co chcesz powiedzieć. - I naśladując ją dodał:

- Ale ja nie mam co na siebie włożyć! Roześmiała się.

- Masz rację.

- Suknia, którą miałaś w Plaża, w zupełności wystarczy. A dla niej - wziął Julie na rękę i podniósł wysoko do góry - wybierzemy coś jutro.

- Nie mogę na to pozwolić - zgorszyła się Kathleen.
- A dlaczego to?
- To zbyt wielki wydatek. Spojrzał na nią i potrząsnął głową.
- Kathleen, kochanie. Wiem, że nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale nie jestem bez grosza. Stać mnie na kupno sukienki.
- Wiem, ale nie powinienes. To znaczy...
- Słucham?

Jak mogła mu odmówić? Córeczka wpatrywała się w nią wielkimi ciemnobrązowymi oczami. Dziewczynka uważała go za kogoś w rodzaju Świętego Mikołaja. Mac także na nią spojrział szaroniebieskimi oczami. Kathleen pragnęła, by już zawsze tak na nią patrzył.

- W porządku. Ale przecież nie masz pojęcia, jak się wybiera sukienkę dla małej dziewczynki.
- Nie uwierzyłybyś, jak wspaniale kupowało się nam wczoraj. Prawda, dziecinko?

Julie kiwnęła głową. Kathleen poczuła ściskanie w gardle. Jej ojciec kiedyś tak samo zwracał się do niej.

Mac został jeszcze kilka minut. Julie trzymała się dzielnie, ale chętnie poszła spać. Miała wielkie plany na następny dzień.

Następnego dnia Mac przywiózł ze sobą śniadanie i starał się schodzić z drogi Kathleen, która jak szalona biegła po mieszkaniu próbując odnaleźć buty, kupione wraz z kostiumem na wizytę w Białym Domu. Przez pół nocy nie zmrużyła oka, rozmyślając o lunchu z Pierwszą Damą. Przez drugie pół myślała o tym, jak bardzo miły i czarujący jest Mac. I taki dobry dla Julie. Idealny materiał na ojca.

Mac szperał pod kanapą, podczas gdy Kathleen upinała włosy w swój zwykły kok. Znalazł drugi but, podał go Kathleen wraz z pocałunkiem i uściskiem na szczęście, a potem wyciągnął spinki i rozpuścił jej włosy.

- Na spotkanie z Pierwszą Damą powinnaś rozpuścić włosy. Nie ukrywaj swojej urody, Kath.

Wzięła go za rękę i przycisnęła je do ust.

- Nie chciałbyś, żeby twoja żona prowadziła takie życie, prawda?
- Nie każda żona bywa na lunchu w Białym Domu. Jestem z ciebie dumny.

W oczach Kathleen zabłyśły łzy.

- To dla mnie znacznie więcej niż lunch. Uśmiechnął się.
- Wieczorem opowiesz nam, jak było, a my opowiemy ci, jak spędziliśmy nasz dzień, i zobaczymy, kto się lepiej bawił.
- Myślę, że tego nie da się porównać. To zupełnie co innego.
- To zależy czyimi oczami spojrzymy. Pogładziła go po policzku.
- Jesteś taki miły. Słodki.
- Naprawdę? Nie próbowałaś mnie już dwa dni, może skwaśniałem.
- Nie, stałeś się jeszcze słodszy.
- Chcesz mnie spróbować?

- Nie kuś mnie. - Kathleen wzięła torebkę, ucałowała Julie i podeszła do drzwi.
 - Spotkamy się o siódmej?
 - Punktualnie. Nie martw się o Julie. Zajmę się wszystkim. Twój szef pozwoli ci jutro pospać dłużej.
 - To nie takie proste. - Wyszła, a Mac patrzył, jak biegnie korytarzem.
 - Dlaczego mamusia płacze, gdy patrzy na ciebie? - spytała Julie. Stała obok Maca, ściskając w objęciach Wielkiego Ptaka.
 - Płacze? Skinęła głową.
 - Cóż, czasem ludzie płaczą ze szczęścia. Myślę, że mama cieszy się, że zje lunch w towarzystwie żony prezydenta, i z tego, że wieczorem idziemy razem na kolację.
- Wczoraj żałowała, że nie bawiła się razem z nami. Myślę, że dziś z przyjemnością do nas dołączy.
- Wczoraj, kiedy wyszedłeś, też płakała. Myślałam, że może ty ją zasmucasz. Podniósł Julie i przytulił.
 - Za nic na świecie nie zasmuciłbym twojej mamusi. Ani ciebie.
 - Ty mnie uszczęśliwiasz. Lubię być z tobą.
 - Dziękuję ci, kochanie. Ja także lubię być z tobą. Zaczęli od sklepu Neiman-Marcus. Szukali naprawdę niezwykłej sukienki dla pięcioletniej dziewczynki, a także bucików, torebki i bielizny. Mac kupił kilka dodatkowych ubranek, które podobały się Julie, a potem poszli obejrzeć meble.
 - Nie widziałaś jeszcze mojego mieszkania tu, w Nowym Jorku - powiedział, gdy chodzili wśród kanap, lamp, stołów i mnóstwa innych sprzętów.
 - Jak tam jest?
 - Raczej okropnie. Pełno czarnej i białej skóry. A także szkło i chromy. Nie jestem tym zachwycony. Może pomogłabyś mi wybrać parę rzeczy, które ci się spodobają.
- W ciągu trzech godzin kupili nowe meble do mieszkania Maca. Gabinet, którego nie zaprojektowała Ashley, pozostawili bez zmian. Skóra, szkło i chromy zastąpione zostały ciepłym drewnem, tweedem i kocami w szkocką kratę w kolorach zieleni oraz różnych odcieniach niebieskiego i różowego. Mac upewnił się, że wszystko zostanie dostarczone przed upływem tygodnia, a potem poszli obejrzeć wyposażenie sypialni, żeby zorientować się, jak Julie urządziłaby swój pokój.
- Późnym popołudniem wstąpili do mieszkania Maca. Dziewczynka biegała po pokojach, podczas gdy Mac przebierał się w smoking. Wyszedłszy z sypialni, znalazł ją w gabinecie. Siedziała na kanapie z pluszowym misiem ze sklepu Jemioła w ramionach i z otwartym albumem na kolanach.
- Znalazłaś coś ciekawego?
 - Album ze zdjęciami. Czy to ty, kiedy byłeś chłopcem? Usiadł obok niej.
 - Wygląda na to, że ja.
 - A to twoja mamusia i tatuś? - spytała, wskazując mężczyznę i kobietę stojących obok chłopca.

- Przed domem, w którym mieszka moja matka i babcia.

- A gdzie mieszka twój tatuś? - Spojrzała na Maca szeroko otwartymi oczami, czekając na odpowiedź.

- Umarł i poszedł do nieba.

- Dawno?

- Niedługo potem, jak ty się urodziłaś.

- Mamusia mówi, że gdy ktoś umiera, na jego miejsce rodzi się ktoś nowy. Czy myślisz, że ja zastąpiłam twojego tatusia?

Mac powstrzymał napływające do oczu łzy.

- Tak, myślę, że przyszłaś na miejsce mojego tatusia. - Posadził ją na kolanach i przytulił. Pogłaskał po włosach i pocałował w czoło.

- Chodźmy, małeńka, bo się spóźnimy; mamusia nie byłaby zadowolona. Wprowadził ją do sypialni, wypakował bieliznę i piękną sukienkę, którą kupili.

- Umiem się sama przebrać - stwierdziła Julie. - Ale ty możesz pozapinać guziki.

- Dobrze, zaczekam za drzwiami. Zawołaj, jeśli będę potrzebny.

Po dziesięciu minutach wyszła i odwróciła się plecami, żeby pozapinał małe guziczki. Niezdarnie zawiązał kokardę i okręcił dziewczynkę dookoła.

- Doskonale. - Wziął ją za rękę. - Gotowi? Julie uśmiechnęła się.

- Chciałabym, żebyś był moim tatusiem.

- Ja też, kochanie.

Kathleen otworzyła drzwi. Wyglądała jeszcze piękniej niż owego wieczoru w hotelu Plaza. Mac i Julie weszli do mieszkania.

- Czy moja sukienka nie jest śliczna, mamusiu?

- Śliczna. Sama ją wybrałaś?

- Nie, pan O'Brien mi pomógł. Powiedział, że dobrze mi w różowym. Ja wołałam niebieską, ale pomyślałam, że wezmę tę, która jemu się podoba.

Mac roześmiał się.

- Nie powiedziałaś mi, że wolisz niebieski.

- To jej ulubiony kolor, Mac - powiedziała Kathleen. - Wkrótce się tego nauczysz.

- Mam coś dla ciebie.

- Ofiarowałeś mi już tak wiele.

- Ciii. - Wyjął z kieszeni długie aksamitne pudełko i otworzył je.

Oczy Kathleen napełniły się łzami.

- Piękny.

- Staralem się dobrać do bransoletki, ale nie mogłem odnaleźć tamtego sklepu. Byłem pewien, że pamiętam, która to ulica. Ale sklep po prostu zniknął.

- Ależ, Mac, dobrałeś go idealnie.

Mac spojrział na naszyjnik w pudełku. Sznur pereł z brylantowym zameczkiem. Perły tak białe jak te z ostryg z Morza Północnego. Jak w bransoletce. Wyjął naszyjnik z pudełka i przysunął do światła. To nie był ten naszyjnik, który

kupił. Tamten nie miał aż tak białych pereł. Ale cóż znaczył jeszcze jeden cud w życiu pełnym niezwykłych zdarzeń.

Kathleen odgarnęła włosy z szyi i stanęła przed Makiem.

- Włożysz mi go?

Pocałował ją w kark. Poczł zapach jej perfum, a także woń cynamonu, mięty i choinki. Drżącymi palcami zapiął naszyjnik, który lśnił nawet w mroku. Położył dłonie na ramionach Kathleen, nachylił się ku niej i powiedział:

- Jest piękny tak samo jak ty.

- Dziękuję ci, moja bestio - wyszeptała tak cicho, że tylko on ją słyszał.

Limuzyna czekała przed domem. Kierowca otworzył drzwi przed olśniewającą parą i śliczną dziewczynką. Julie szczebiotała, opowiadając, jak spędziła dzień z Makiem. Kathleen i Mac wpatrywali się w siebie z zachwytem. Przepelniające ich uczucia napawały ich niepokojem.

Samochód zatrzymał się. Mac wysiadł pierwszy. Ciekaw był, jak Kathleen zareaguje, gdy zobaczy, dokąd ją przywiózł. Na widok tysiąca mrugających światełek otaczających jacht w przystani jej twarz rozjaśniła się, a oczy rozbłysły. Patrzyła uradowana na Maca.

Poprowadził swoje ukochane kobiety na pokład, do nakrytego na trzy osoby stolika. Środek stołu ozdobiły czerwone róże. Płomienie trzech wysokich świec drgały w lekkim powiewie. Pianista w smokingu cicho grał „Zaczarowany wieczór”, a kelner odsuwał dla nich krzesła.

- Och, Mac. To cudowne.

- Dla ciebie i Julie tylko to, co najlepsze. - Skinął na kelnera. Pojawił się drugi kelner z wózkiem zastawionym srebrną zastawą. - Wasze ulubione dania.

Kelner odkrył tacę z zestawem potraw, jakie Kathleen zamówiła w hotelu Plaža

- Fettucine, krab, krewetki, nawet eklerki z czekoladą.

Obsłużył ich i odszedł.

- Czekam - powiedział Mac.

- Na co?

- Nie masz zamiaru opowiedzieć mi o lunchu w Białym Domu?

- Było cudownie. Pierwsza Dama jest taka miła, inteligentna i pełna wdzięku.

Powiedziała mi, że zawsze chciała zostać dziennikarką, i zapytała, czy może napisać coś do „Sukcesu”. Powiedziałam, że oczywiście.

- Wygląda na to, że doskonale do siebie pasujecie.

- Nawet nie wiesz, jak dobrze czułam się w jej towarzystwie.

- Masz to wypisane na twarzy. Wiedziałem, odkąd po ciebie przyszedłem.

- Wyraz twarzy zawdzięczam nie tylko Pierwszej Damie.

- Nie?

- Oczywiście, że nie. Twoja obecność też zrobiła swoje.

- Dziękuję, cieszę się, że stawiasz mnie w jednym rzędzie z żoną prezydenta.

- Wiesz, co mi zaproponowała?

- Co?

- Powiedziała, że przepada za Bożym Narodzeniem, i spytała, czy nie chciałabym poświęcić jednego numeru na przedstawienie Świąt w Białym Domu.

- I ty już pewnie wszystko obmyślałaś?

- Mam już cały sztab, który nad tym pracuje. Nie mogę przegapić takiej okazji. Mac uśmiechnął się wyrozumiale. Dawno temu on także był w Białym Domu, ale nie chciał teraz o tym wspominać. Ten wieczór należał do Kathleen. Opowiadała o wszystkim z najdrobniejszymi szczegółami. Słuchał z uwagą, ale nie mógł się nadziwić, czemu Pierwsza Dama podsunęła jej temat Bożego Narodzenia. Wyglądało na to, że Święta wkroczyły w jego życie na dobre. Poświęcił już nawet trochę czasu, by omówić z Grace gwiazdkowe przyjęcie dla personelu. Obiecał jej także, że przebierze się za Świętego Mikołaja.

Jedli, śmiali się i śpiewali do późna. Mac wziął Julie na rękę i zatańczył z nią, a Kathleen omal się nie rozplakała. Jeszcze nigdy nie czuła się tak szczęśliwa.

Wieczór upłynął szybko. O północy trzeba było położyć Julie spać. Mac stał w drzwiach mieszkania Kathleen. Miał wielką ochotę zostać u niej na noc, ale wiedział, że to niemożliwe.

- Jeżeli chcesz jutro dłużej pospać, to usprawiedliwię cię u szefa - powiedział.

Kathleen roześmiała się i przyglądała włosy.

- Nie mogę. Przyspieszyliśmy termin wydania „Sukcesu”.

- Tak dobrze poszło?

- Oczywiście. Gdybyś spędzał więcej czasu w swoim biurze, wiedziałbyś o tym.

- O wiele lepiej bawię się z Julie. Ale chciałbym czasem być tylko z tobą. Może jutro?

- Nie...

- Wiem. Masz zbyt wiele pracy. Więc kiedy?

- W piątek wieczorem?

- Świetnie. U mnie. O ósmej. Przygotuję kolację. Znajdziesz kogoś, kto zaopiekuje się Julie?

- A co będziemy robić?

- Nie mam żadnych konkretnych planów. Pozwolę, by sprawy toczyły się bez nadmiernej ingerencji z mojej strony.

Kathleen stała przed drzwiami Maca. Bała się zastukać. Czuła się tak jak dziesięć lat temu, gdy po raz pierwszy przyszła do jego biura. Chciała go zobaczyć i bała się, że rozklei się, gdy spojrzy mu w oczy.

Podniosła dłoń i lekko zastukała. Drzwi otworzyły się. Oto stał przed nią. Wyglądał absolutnie cudownie w czarnym garniturze. Miała ochotę go rozebrać.

Wziął ją za rękę i wprowadził do środka. Nie widział jej od trzech dni, ale czuł się tak, jakby to były lata. Nie całował się z nią od pięciu dni, ale doskonale pamiętał smak jej ust. Miała na sobie czarną jedwabną sukienkę. Krótka, obcisła, bez ramiączek. Podobną do białej, w której była w hotelu Plaža. Na

rękach czarne, sięgające powyżej łokcia rękawiczki. Czarne pantofle na wysokich obcasach oraz perłowy naszyjnik i bransoletka dopełniały stroju.

- Wiem, że to, co powiem, nie jest oryginalne, ale wyglądasz pięknie.

- Tylko dla ciebie.

Westchnął, starając się zachować dystans i spokój. Jeszcze nie pora, by brać ją w ramiona. Miał wielką ochotę, ale czekał na właściwy moment. Kobieta, którą kochał nad życie, zachowywała się zmysłowo, w ogóle się o to nie starając. Taka była i w dzinsach, i naga w jego ramionach, i teraz w kosztownej sukni.

- Coś nie w porządku? - spytała.

- Nie w porządku? Nie. Chodźmy, pokażę ci mieszkanie. Wziął ją za rękę i poprowadził do salonu. Ze zdumienia zapało jej dech. Spodziewała się czegoś nowoczesnego, a ujrzała wnętrze ich chaty. Gramofon. Koń na biegunach. Zamknęła oczy, potem znów otworzyła, ale przedmioty nie zniknęły. Przyjrzała się stojącej nad kominkiem fotografii.

- To ja z rodzicami - powiedział Mac. - Julie znalazła to zdjęcie w albumie. Śmieszne, chowa się takie zdjęcia, a potem zapomina o nich.

Kathleen spojrzała na inne. Przedstawiało Julie i Maca w zoo.

- Zrobiliśmy je wczoraj. Potrzebne mi jest jeszcze nasze.

- Och, Mac. Tu jest wspaniale. Nie spodziewałam się, że tak mieszkasz.

- Było zupełnie inaczej. Kupiliśmy całe umeblowanie z Julie podczas jednej z naszych wypraw do miasta. To dziecko ma dobry gust.

- Czy to ona wybrała konia na biegunach? - spytała Kathleen. Z przyjemnością dotknęła pomalowanego drewna.

- Nie. To był mój pomysł. Ona go nawet nie widziała. - Wziął Kathleen za rękę.

- Zaprosiłem cię na kolację. Mam nadzieję, że jesteś głodna.

- Zawsze.

- Świetnie. - Wprowadził ją do jadalni, którą oświetlało sto świec. Spojrzał na uśmiechniętą twarz Kathleen. Stół był fiakryty na dwie osoby. Białe płótno i koronki, biała porcelana, delikatne szkło i lśniące srebra.

Odsunął dla niej krzesło i poczekał, aż usiądzie. Na nakryciu Kathleen leżała biała róża i koperta ozdobiona literą M. Uniosła różę, zamknęła oczy i wdychała jej cudowną woń. Spojrzała mu w oczy. Słowa podziękowania były zbędne. Wzrok mówił znacznie więcej.

- Mam otworzyć teraz?

Skinął głową i podszedł do swego krzesła. Kathleen wyjęła kartę.

Gratuluję Ci sukcesu. Niechaj przyszłość pełna będzie podobnych osiągnięć. Z miłością, Mac.

- Odniosłam sukces, prawda?

- Tak.

- Nie jesteś zły? Chodzi mi o to, że jesteś mi winien awans.

- Nie, nie jestem zły. I, owszem, mam zamiar cię awansować.

- Ale...

- Och, do diabła! - Wstał i rzucił serwetkę na talerz.

- Co się stało? - zdumiała się Kathleen.
 - Nic. Ale nie jestem głodny. W każdym razie nie teraz. - Złapał ją za rękę i pociągnął. - Chodź tutaj.
 - Dokąd mnie prowadzisz?
 - Do salonu. Musimy porozmawiać. - Posadził ją na kanapie, a potem ukląkł przed nią. - Panno Flannigan?
 - Tak. - Przełknęła ślinę.
 - Odniosłem w życiu wiele sukcesów. Wszystko, czego dotknąłem, zamieniało się w złoto. Słyszałaś o tym? Cóż, to prawda. Ale nigdy nie miałem szczęścia w miłości, dopóki nie spotkałem ciebie. Zmieniłaś moje życie. Nigdy o nic mnie nie prosiłaś. Dałaś mi swoją miłość, a ja w zamian żądałem jeszcze więcej.
 - Zażądałeś tylko jednego i ja uznałam, że miałaś rację.
 - O czym mówisz? - Zmarszczył brwi.
 - Zdecydowałam się opuścić McKenna Publishing. Chcę wyjść za ciebie i mieszkać w waszej rezydencji. Zajmować się filantropią i jadać kanapki z rzeżuchą.
 - Nie, tak nie będzie.
 - Ale ja chcę zostać twoją żoną.
 - Będę twoim mężem, ale na innych warunkach.
 - Jakich?
 - Ja się wycofuję. Mam tego powyżej uszu. Chodzić do pracy dzień w dzień. Mogę kierować wszystkim z domu. Mam wspólników, prawników oraz wiceprezesa. Mogą prowadzić przedsiębiorstwo beze mnie. Wystarczy mi, że będę przewodniczącym zarządu.
 - I co będziesz robił, kiedy się wycofasz? Przecież nie lubisz nic nie robić?
 - Nie mam zamiaru nic nie robić. Jeśli nie będziesz się śmiała, opowiem ci o moich planach.
 - Nie będę się śmiała.
 - Dobrze. Mam zamiar kupić rancho w Montanie i zostać kowbojem.
 - Wspaniale. Ale Montana jest daleko od Nowego Jorku.
 - Część czasu będę spędzał tutaj. W mieszkaniu i rezydencji McKenna.
 - A co ze mną i Julie? Czy jest dla nas miejsce w twoich planach?
 - Zajmujecie tam najwięcej miejsca. Zacznijmy od Julie. Będzie miała ojca na każde zawołanie.
- Kathleen roześmiała się.
- Uważasz, że to śmieszne?
 - Uważam, że to cudowne. Ale jesteś pewien?
 - Kath, przepadam za spędzaniem czasu z tym dzieckiem. Wiem, że nie zawsze będzie idealnie, ale chcę się nią zajmować. To znaczy dla mnie o wiele więcej niż prowadzenie firmy.
 - Dobrze, a co ze mną?
 - Będzie tak, jak sobie wymarzyłaś dziesięć lat temu. Ponieważ ja idę na emeryturę, w McKenna Publishing potrzebny jest nowy prezes.

Tym razem nie roześmiała się. Po prostu wpatrywała się w niego z otwartymi ustami. Wyjął z kieszeni długie, powleczone aksamitem pudełko i podał jej.

- Otwórz to.

Uniosła wieczko. W pudełku leżała tabliczka na drzwi z wrytym napisem: „Kathleen Flannigan O'Brien - Prezes”. Do oczu napłynęły jej łzy. Ujęła jego twarz w dłonie, przyciągnęła ku sobie i ucałowała w usta.

- To najwspanialszy prezent, jaki kiedykolwiek dostałam.

- Chyba również najkosztowniejszy.

- Och, Mac.

- Uwielbiam, jak mówisz „Och, Mac”. Ale z tym awansem związane są pewne warunki.

Patrzyła na niego czekając, co powie.

- Chcę, żebyś pracowała krócej i spędzała wieczory ze mną i Julie.

- Ten warunek mogę spełnić.

- Podróżować będziemy razem. Nie mam zamiaru budzić się w pustym łóżku.

Znowu skinęła głową.

- Ja także nie chcę być z dala od ciebie.

- I ostatni, ale wcale nie najmniej ważny warunek. Chcę mieć więcej dzieci. Zawsze będę kochał Julie, ale chcę mieć McKenna juniora. A być może i więcej.

- Czy możemy zacząć tej nocy?

- A jak myślisz, po co kupiłem konia na biegunach? Nie wypróbowaliśmy go w czasie naszego weekendu.

- Mac?

- Słucham.

- Ty klęczysz. Czy masz zamiar znów mi się oświadczyć?

- Odrzuciłaś moje poprzednie oświadczyzny. Te są ostatnie. Jeśli powiesz „tak”, trzymam cię za słowo.

Kathleen wzięła go za rękę.

- Czekam.

- Panno Flannigan, ofiarowuję ci moją miłość, życie i... - roześmiał się - stanowisko. Nie żądam niczego zamian. Tylko miłość do końca moich dni. Czy zostaniesz moją żoną?

Skinęła głową.

- Tak - wyszeptala i zsunęła się w jego ramiona. Przytulił ją mocno, zamknął oczy i pomyślał: Dzięki ci, Boże.

Epilog

MacKenna O'Brien stał w oknie i spoglądał na padający śnieg. Tego roku śnieg spadł późno, lecz ranek wigilii Bożego Narodzenia był słoneczny i ziemię pokrywała gruba warstwa śniegu, który spadł poprzedniej nocy. Wczoraj zjeżdżali z Julie na jej nowych saneczkach, śpiewając kolędy. Kathleen stała na wzgórzu i cieszyła się wraz z nimi.

Wspólnie przygotowali pop-corn i żurawiny, żeby rozwiesić je na wielkim drzewku ustawionym w holu rezydencji McKenna. Dołączyły do nich matka i babcia Maca. Och, jakże cieszyły się, że w domu jest dziecko! Mac także był uszczęśliwiony. Nie pamiętał, by choć raz w ciągu minionych pięciu miesięcy pożałował swej decyzji zrzeczenia się funkcji prezesa.

Obejrzał się; w łóżku leżała piękna kobieta o kasztanowych włosach, rozsypanych na poduszce. Jego żona, matka nie narodzonego jeszcze dziecka, którego ruchy poczuł tej właśnie nocy. Kathleen przycisnęła jego dłoń do swego lekko zaokrąglonego brzucha. Omal się nie rozplakał, czując leciutkie kopnięcie tego cudu, który wspólnie stworzyli.

Ostatnie pół roku było nieustannym pasmem cudów i Mac czuł się naprawdę szczęśliwy.

Usłyszał dźwięk dzwoneczków. Wyjrzał przez okno, ale niczego nie dostrzegł. Tylko padający śnieg. Kathleen poruszyła się w łóżku. Usiadł koło niej, troskliwie otulił ją kołdrą i pocałował w czoło. Znowu usłyszał dzwoneczki, a potem stukanie na dachu. Być może wiewiórka przebiegła po dachówkach.

Chciał wrócić do łóżka, gdy znów usłyszał dźwięki, tym razem dochodziły z dołu. Może to Julie wstała z łóżka, aby obejrzieć świąteczne prezenty. Podeszedł do drzwi i otworzył je. Przysiągłby, że przez moment mignęło mu światło koło choinki, a potem w kominku. Ale to chyba tylko wyobraźnia.

Zszedł po schodach. Koń na biegunach kołysał się leciutko. Rozejrzał się, ale nikogo nie dostrzegł. Na fotelu na biegunach zobaczył czerwoną kopertę.

Merry? Mikołajek? Uśmiechnął się. Nigdy nie opowiadał Kathleen o swojej czyniącej cuda gospodyni. Prawdopodobnie uwierzyłaby mu, bo wierzy w cuda. Ale Mac wolał zachować istnienie Merry w tajemnicy. Niezwykła kobieta, która zawsze pozostanie drogą jego sercu.

Podniósł kopertę, otworzył i wyjął list. Do oczu napłynęły mu łzy. Uśmiechnął się na myśl o starszej damie, która przywróciła mu chęć do życia. Przeczytał:

Młody człowieku, niechaj w Twym sercu panują nieustające Święta Bożego Narodzenia. Niechaj twoje życie wypełniają szczęśliwe czary, a marzenia obrócą się w rzeczywistość.